



Harlequin™

Przenieś się
w krainę marzeń...

Książki Harlequin, to ogrody miłości...

Samotne, niezależne życie odpowiada Willy.
Ale nagle niezgrabnie wkracza w nie Bain,
który przypomina niedźwiedzia
liżącego zranioną łapę
i atakującego każdego, kto podejdzie bliżej.
Willy boi się miłości,
bo wie, jak bardzo może ona
być niszcząca.



Cena: 15.000,-

Isbn 46 356948

Desire™

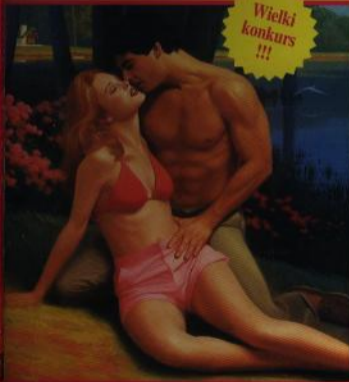


Harlequin™

Desire™

1'92

Wielki
konkurs
!!!



Dixie Browning
WYPATRYWANIE BURZY

DIXIE BROWNING

WYPATRYWANIE BURZY

ROZDZIAŁ 1

Willy mogła wymyślić tuzin powodów, dla których powinna wstać i wziąć się do roboty, a tylko dwa, dla których mogła jeszcze zostać w hamaku. Ubiegłej nocy przyплыw zabrał jej znowu trochę piasku, w zlewie na pierwszym piętrze leżały talerze z dwóch dni. fotografie lotnicze, za które tyle zapłaciła, rozrzucone na stoliku do kawy i czekały na przejrzenie - czekały już tak prawie od tygodnia.

Z drugiej jednak strony, jak często w samym środku sierpnia można ochłodzić się na północno - wschodnim wietrze? A poza tym musiała pilnować samolotu, prawda?

Zerknęła ukosem na stado wron, które przysiadły na rosnącym nieopodal dębie, aby dalej prowadzić swoją kłótnię.

Czy rzeczywiście dosłyszała dźwięk nadlatującego samolotu?

- Zamknijcie się, dobrze?

Wrony zerwały się gniewnie, urażone tak rzadko okazywaną przez Willy irytacją. To był samolot. I wcale nie samolot inspekcyjny.

Willy niechętnie spuściła swe smukłe, piegowate nogi z szerokiego hamaka. No cóż, jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden dolar.

W tym przypadku jednak chodziło o czas dłuższy niż jeden dzień i o zdecydowanie poważniejszą sumę niż jeden dolar. Kluczyki miała w samochodzie, a buty stały na ganku. Założyła je po drodze. Gdyby przylatywali ludzie z Audubona, nie zawracałyby sobie głowy butami, ale tym razem spodziewała się jednego z tych tajemniczych typów z Departamentu Stanu. Mógł to być każdy - od członka gabinetu poczynając, kończąc zaś na jakimś osobistym sekretarzu senatora. Nigdy tego nie wiedziała i nigdy nie pytała. Kiedy jej lokatorem był jakiś facet z Waszyngtonu, starała się wyglądać szacownie, przynajmniej przez kilka pierwszych dni.

Bainbridge Scott odczekał, aż lekki samolot zatrzyma się całkowicie, zanim rozpiął pasy i sięgnął po laskę. Miał za sobą koszmarny dzień, w czasie którego musiał wypisać się ze szpitala, wykonać ostatnie telefony, wymknąć się natrętnemu reporterowi i zamknąć na lato mieszkanie.

No i musiał dotrzeć aż tutaj. Podróż zorganizowano mu od początku do końca - musiał jedynie wrzucić trochę swoich rzeczy do torby. Poleciał samolotem wojskowym aż do Langley i ta część drogi nie była wcale zła, ale potem został wpakowany do czteroosobowej Cessny 172. Ból w nodze doprowadzał go do szaleństwa.

Do diabła, niepotrzebnie dał się namówić Thatcherowi na ten wyjazd. Równie dobrze mógł parę miesięcy rekonwalescencji spędzić w Aleksandrii. Albo pozostać w szpitalu. Łóżko było wygodne, jedzenie znośne. Teraz, kiedy przestał być użyteczny, nie mógł oczekiwać od Departamentu ingerencji za każdym razem, kiedy jakiś natrętny młody dziennikarz spróbuje zarobić dolara, roztrząsając pod innym kątem wczorajsze nowości.

Dobra, żadnych reporterów, telefonów ani rozmów w ciągu całych dwóch miesięcy. Tylko dużo wypoczywać, codziennie spacerować milę albo więcej i próbować doprowadzić do porządku nerwy. Departament Spraw Wewnętrznych miał w różnych miejscach wiele ustronnych kryjówek do dyspozycji rozmaitych szyc, potrzebujących krótkiego wypoczynku. Scotta trudno było jednak uznać za taką szycę, a i okres pobytu musiał być nieco dłuższy. Thatcher, przez którego kontaktował się z IAA, musiał uruchomić rozmaite sprężyny, żeby wynająć mu dom, załatwić transport i wszelkie niezbędne udogodnienia. Teraz Scott musiał jedynie pozbyć się skurczów w nodze i zapomnieć, że cokolwiek słyszał o ideologicznej przepychance w Ameryce Środkowej.

- Czy ktoś ma na pana czekać? - Pilot postawił podniszczoną, skórzaną walizkę na asfalcie.

- Agent, od którego będę wynajmował dom. - Bain wziął teczkę i spróbował unieść się z fotela. Mięśnie uda schwycił gwałtowny skurcz. Zaklął krótko, widząc jak duża odległość dzieli go od ziemi.

- Spokojnie, kolego, pomogę - pilot wyciągnął rękę, odebrał bagaż, a wtedy Bain zdołał wydostać się na zewnątrz.

- Dzięki - mruknął, rzucając w stronę pilota spojrzenie, w którym mieszały się ból, złość i zakłopotanie. Lotnik dostrzegł w niemal młodzieńczej twarzy oczy starego człowieka i to potwierdziło jego przypuszczenia. Bain uśmiechnął się do niego chłodno, a potem odwrócił, słysząc dźwięk nadjeżdżającego pojazdu.

- Oto pański środek lokomocji - stwierdził lakonicznie pilot. - Gdybym się nie obawiał, że palnę głupstwo, mógłbym przysiąc, że to przerobiony mercedes.

Bain, opierając się mocno na lasce przyjrzał się krótkiemu samochodzikowi plażowemu na grubych, balonowych oponach, który zatrzymał się koło pasa startowego. Choć zabiegi wykonane za pomocą palnika acetylenowego zatarły oryginalne linie karoserii, to jednak było w tym aucie coś, co zdradzało bardzo szacowny rodowód.

Kiedy kierowca ruszył spokojnym krokiem w ich stronę, uwaga obu mężczyzn natychmiast przeniosła się z pojazdu na osobę, która go prowadziła. Była to bardzo piegowata młoda kobieta o sennych, zielonych oczach, rozjaśnionych słońcem blond włosach i figurze

sprawiającej, że bawełniana spódniczka i podkoszulek wyglądały, jakby pochodziły od Fredericksa z Hollywoodu.

Ale nie tylko jej wygląd spowodował, że przymrużyli z podziwu oczy. Fascynujący był również jej sposób chodzenia - leniwy i rozluźniony. Dzięki temu proste zadanie przejścia od punktu A do punktu B przekształcało się w idealnie zharmonizowaną symfonię ruchu.

- Rany boskie, nawet przeguby na łożyskach kulkowych nie byłyby w stanie pracować tak bezbłędnie jak jej nogi - westchnął z podziwem pilot.

Wykonawczynie tej subtelnej kadencji rytmów bez najmniejszego zakłopotania zatrzymała się tuż przed nimi.

- Pan Scott? - zapytała. - Jestem Willy Faulkner, pańska gospodyni. Mam nadzieję, że miał pan dobrą podróż.

- Witam, panno Faulkner - odparł krótko Bain. Było mu gorąco, czuł się zmęczony i obolały, koszula lepiła mu się do ciała i nie miał najmniejszej ochoty na wymianę uprzejmości.

W czasie gdy Bain i jego gospodyni stali, patrząc na siebie badawczym wzrokiem, pilot zaniósł obie torby do samochodu. Uśmiechając się pod nosem, wspiął się do Cessny i zasalutował im niedbale na pożegnanie. Nie zauważyli tego.

- Powodzenia, kolego - zawołał. .

Bain odwrócił się gwałtownie i skierował w stronę wozu, kulejąc o wiele bardziej, niż mu się to zdarzało w ciągu minionych tygodni. Powiedziano mu, że w miejscu zamieszkania będzie miał własny środek transportu, ale jeżeli to miał być egzemplarz okazowy, to wygodniej będzie kuśtykać na piechotę albo nie ruszać się wcale.

Zerknął podejrzliwie na kobietę, która twierdziła, że jest jego gospodynią, poszukując najmniejszego choćby objawu współczucia. „Nie znalazł go i poczuł zupełnie bezsensowny przypływ irytacji. Do diabła, czy nic jej to nie obchodzi? A może nawet nie zauważyła, że utyka jak trzynogi bawół? Wprawdzie po pobycie w szpitalu miał już dosyć kobiet, które wciąż się nad nim roztkliwiały, ale to wcale nie oznaczało, że nie mogłyby choć odrobinę zainteresować się jego stanem. Przecież nie jest jeszcze starcem, jest w kwiecie wieku, na litość boską!

- Będziemy w domu za pięć minut - Willy poinformowała swego pasażera, zapinając pas bezpieczeństwa.

Po drugiej stronie skrzyżowania drogi z lotniska z szosą znajdował się niewielki sklepik. Na parkingu przed nim stały najrozmaitsze pojazdy, z których sterczały wędki albo deski surfingowe. Bain obrzucił zawistnym spojrzeniem zdrowych osobników stojących

przed sklepem. Byli to przeważnie surferzy. Ich muskularne ciała i wypłowiałe od słońca włosy sprawiły, że poczuł się, jakby miał nie trzydzieści siedem lat, lecz przynajmniej dwa razy tyle.

- Hej, chłopcy - zawołała przez szosę Willy, zmieniając biegi i zakręcając. - Potrzebuję paru worków piasku.

- Nie ma sprawy, Willy - odparł chór nierównych głosów.

- Będziemy, jak się ściemni - zawołał chłopak o dziecięcej buzi i ramionach chyba na metr szerokich.

- Dziękuję, Maurice.

Skierowali się na północ. Bain podziwiał jej umiejętność przyspieszania bez narażania jego niepewnej równowagi. Minęły już dwa miesiące od chwili, kiedy przewieziono go samolotem do szpitala w Stanach, dwa miesiące rozmaitych operacji i zabiegów. Wciąż jednak czuł koszmarny lęk, że przy wstawaniu mógłby upaść prosto na twarz.

- O ile wiem, w umowie o wynajem domu przewidziany jest również środek transportu?

- Jeep z napędem na cztery koła. - Willy miała ochotę kopnąć się w kostkę, gdy tylko to powiedziała. Spojrzała na niego przepraszająco, zastanawiając się jednocześnie, co u licha będzie mogła zaoferować człowiekowi z chorą nogą. Miała dwa samochody, ale żaden z nich nie był wyposażony w automatyczną skrzynię biegów. - Mogę zresztą pana wozić - zaproponowała.

Bain przełknął przekleństwo cisnące się na usta i rzucił:

- Mniejsza o to. I tak powinienem dużo chodzić. Thatcher pewnie dlatego urządził wszystko w taki sposób, żeby mnie zmusić do spacerów.

Willy skręciła na piaszczystą drogę prowadzącą pod drzewami, w stronę dwóch domów stojących samotnie na siedemdziesięciu pięciu akrach ziemi. Obydwa należały do niej, mieszkała w jednym, a wynajmowała drugi. Dwa razy do roku umieszczała ogłoszenia w biuletynie obserwatorów ptaków. Dzięki przyjacielowi jej zmarłego męża, Franklinowi Smithowi, urzędnikowi państwowemu niższego szczebla, znajdowała się na wyselekcjonowanej liście osób dostarczających umeblowane mieszkania dla rządowych dygnitarzy, którzy potrzebowali tygodnia albo dwóch samotności.

O tym człowieku nigdy dotąd nie słyszała, Bainbridge Scott? Nazwisko nic jej nie mówiło, Ale to i tak było bez znaczenia. Nie słyszała o połowie osób, które Frank jej przysyłał. Powiedziano jej tylko, że Scott jest osobą prywatną, wyświadczył rządowi pewne usługi, został ranny i potrzebuje miejsca na paromiesięczny pobyt.

- Nie będę udzielać schronienia żadnym zbiegom, prawda, Frank? - spytała go.

- Scott nie jest zbiegiem, kochanie. Jest kimś, kogo można by nazwać dobrze poinformowanym źródłem. Właśnie skończono jego przesłuchania, wszystkie sieci od ABC do XYZ zrobiły z nim wywiady i teraz potrzebuje miejsca bez telefonów, gazet i kłopotów. Co ty na to?

Wyglądało to dość prosto. Wyłączyła telefon z gniazdka i zaniósła do swojego domu. Jeżeli zechce dzwonić, wystarczy, że ją poprosi. Podjechała najbliższej jak mogła do piętrowego domku o ścianach wyłożonych cyprysowym drzewem i wyłączyła silnik.

- Niech pan posłucha - rzekła z wahaniem i odwróciła się, aby popatrzeć na siedzącego obok niej mężczyznę. - To trochę niezręczna sytuacja dla nas obojga. Nie wiedziałam... Frank nic mi nie wspominał, że pan...

- Jest kaleką?

Część sympatii Willy ulotniła się.

- Przechodzi rekonwalescencję po kontuzji nogi - poprawiła go. Nie cierpiała uzalania się nad samym sobą i mogłaby przysiąc, że siedzący obok niej mężczyzna podziela te uczucia. Ale wygląd może czasem mylić.

- W porządku, panno Faulkner, nie owijajmy sprawy w bawełnę. Lekarze są zdania, że moja noga powinna już do tej pory całkowicie wyzdobrzeć, ale z jakiegoś powodu mam trudności ze zmuszeniem jej do normalnego funkcjonowania. A więc wszelkiego rodzaju niedogodności są tymczasowe i nie potrzebuję żadnych tkliwych eufemizmów. Kiedy noga mi dokucza, chodzę o lasce. I niech pani nie robi takiej zakłopotanej miny. Jak dotąd daję sobie radę z wchodzeniem na schody i nie potrzebuję, by ktokolwiek załamywał nade mną ręce. Czy wyraziłem się jasno, panno Faulkner?

- Jasno, panie Scott. A przy okazji, jestem panią Faulkner. Jeżeli jest pan gotów, pokażę teraz dom i zostawię pana samego. Smith prosił, o usunięcie telefonu, ale jeżeli pan woli, mogę go przynieść.

- Nie, dziękuję.

- Doskonale. Włączyłam go do gniazdka na dole, żeby zdążyć odebrać. Nie jestem dość szybka i nie dobiegnę w porę do aparatu na piętrze.

O, do diabła! Wcale nie miała zamiaru być nietaktowna.

Chodziło o to, że jej domek również był dwupiętrowy. Mieszkała na piętrze, na dole zaś znajdowały się spartańskie pokoje gościnne, a telefon miał zwyczaj dzwonić zawsze, kiedy była nad brzegiem morza.

- Zaopatrzyłam pana w podstawowe produkty. Jeżeli przygotuje mi pan listę, mogę

jutro zrobić zakupy. Nie znałam pańskich gustów i dlatego sama wybrałam. Świece i latarka znajdują się w szufladzie po lewej stronie, a lampę na stole napełniłam naftą. Elektryczność wyłączają nam tu dość często. A jeśli woli pan spać na kanapie, to da się ją rozłożyć na całą szerokość. Mogę panu posiać...

- Dziękuję, pani Faulkner - oznajmił stanowczo Bain. Zmęczenie głębokimi liniami pobruździło jego smagłe, zapadnięte policzki, a szare oczy pociemniały od bólu.

Zaniepokojona Willy wahala się, czy może zostawić go w takim stanie, ale najwidoczniej miał już dość jej towarzystwa.

- Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował - powiedziała - wystarczy zawołać mnie przez okno. Usłyszę, chyba że będzie bardzo silny wiatr.

- Pani Faulkner, bardzo dziękuję, ale nie będę pani potrzebował. - Bain potarł grzbiet swego orlego nosa dwoma palcami. - Gdyby było inaczej, bardzo wątpię, czy byłbym w stanie zawołać przez okno. Innymi słowy, pani Faulkner, mam nadzieję, że dam sobie radę sam. Jeszcze raz dziękuję za przywiezienie. O ile wiem, należność została zapłacona z góry do piętnastego września, prawda? A więc, jeśli to już wszystko, żegnam panią.

Mówiąc te słowa prowadził ją w stronę drzwi. Willy, wycofując się na frontowy ganek, z zakłopotaniem uświadomiła sobie kilka rzeczy związanych z tym mężczyzną. Mimo posępnego wyrazu twarzy, dość agresywnego sposobu bycia i paskudnego humoru był wyjątkowo przystojny. Używał mydła o sosnowym zapachu, a nie wody kolońskiej, najprawdopodobniej golił się dwa razy dziennie i nosił koszulę chyba rozmiar siedemnaście, dopasowaną do jego wąskiej talii.

- Do widzenia, pani Faulkner - oznajmił stanowczo Bain i Willy uświadomiła sobie, że się na niego gapi.

Odwróciła się, zbiegła po trzech drewnianych stopniach i wsiadła do samochodu plażowego. Ponad sto metrów, dzielących oba domy pokonała na drugim biegu, coraz wyraźniej uświadamiając sobie, że Bainbridge Scott w ciągu dwudziestu minut wywarł na niej większe wrażenie niż jakikolwiek mężczyzna w ostatnich latach.

Nie mogła określić istoty tego uczucia i dręczyło ją to. Jego paskudny nastrój z całą pewnością zniweczył cień rodzącej się sympatii.

- Boże, ależ ten facet jest wredny. Mam nadzieję, że potknie się o swoją laskę i stłucze głowę - mruknęła, wyłączając silnik. Żałowała, że samochód nie ma drzwi, którymi mogłaby trzasnąć.

Zanim weszła do środka, by zająć się obiadem, jej uraza prawie zniknęła. Ten człowiek cierpiał, wskazywały na to bruzdy tworzące się wokół jego ust. Dość atrakcyjnych

ust, przyznała, zastanawiając się, czy kiedykolwiek gości na nich uśmiech.

Willy zanurzyła łyżkę w zupie, którą gotowała. Dmuchała delikatnie, aż stała się wystarczająco chłodna by ją spróbować. Mmmmm, bez wyrazu. Czegoś jej brakowało.

Przekroiła cytrynę i wycisnęła połówkę do garnka.

- I może kropelkę oliwy - mruknęła pod nosem, wędrując na bosaka do spiżarni.

- Spot, nie masz za grosz rozumu, żeby wiedzieć, że tu jest gorąco? - Otworzyła szerzej drzwi spiżarni i popchnęła irlandzkiego setera czubkiem bosego palca.

- Idź na werandę, za chwilę przyniosę ci trochę zupy rybnej.

Pies spojrział na nią z wyrzutem i ruszył z miejsca. Potem powędrował do najchłodniejszego miejsca w całym domu - wychodzącej w stronę cieśniny werandy na drugim piętrze.

Godzinę później Willy delektowała się swoim dziełem i zastanawiała, czy jej lokator znalazł sobie coś do jedzenia. Zaopatrzyła go w jajka, mleko, kawę, chleb i parę puszek zupy. Zazwyczaj jej goście przyjeżdżali tu we dwoje i sami załatwiali swoje sprawunki oraz codzienne czynności domowe. Niekiedy jednak prosili ją, aby postarała się o pokojówkę, ale ponieważ praca ta była sporadyczna, początkowo miała kłopoty ze znalezieniem kobiety, która mogłaby na każde wezwanie podjąć te obowiązki.

Problem okazał się zadziwiająco łatwy do rozwiązania. Chłopcy, którzy spędzali na wyspie lato, zajmując się surfingiem, bardzo chętnie podjęli się takich prac, jak mycie naczyń, ślanie łóżek, drobne sprzątanie i generalne porządki w przerwach między przyjazdami poszczególnych lokatorów. W okolicy nie było zbyt wiele zajęć, za które dostawaliby gotówkę, a tak mieli jeszcze dość czasu na uprawianie swojej pasji, czyli surfingu. Płaciła im stałą tygodniówkę, którą mogli podzielić według uznania, i niekiedy częstowała przygotowanym naprędce obiadem.

- Gdyby zachowywał się choć odrobinę przyzwoiciej, Spot, mógłby zjeść z nami obiad. Mam nadzieję, że smakuje mu rosół z puszki.

Chłopcy przyjechali jeszcze przed zmrokiem. Przygłuszony ryk ich hondy w kolorze wyblakłej czerwieni zburzył spokój letniego wieczoru.

- Pół tuzina powinno wystarczyć - zawołała z ganku Willy. - Muszę mieć również coś, co mogłabym wepchnąć obok worków, żeby nie zmył ich przyptyw. Czy macie jakiś pomysł?

- Żadnego zgodnego z prawem - krzyknął w odpowiedzi Maurice. Napiął mięśnie ciężarowca i schylił się, żeby otworzyć jeden z worków do obroku wyżebranych przez Willy u miejscowego właściciela stajni. - Mogę wpaść na wysypisko i poszukać tam jakiegoś złomu albo tarcicy.

- Dziękuję. Buddy, weź tę drugą łopatę - ma lepszą rączkę.

Patrzyła, jak trzech chłopców w wieku od siedemnastu do dwudziestu jeden lat napełniło piaskiem i zawiązało sześć worków. Zrzucili je sobie na ramiona i na bosaka poszli przez zarośla do miejsca, w którym brzeg zaczął się osypywać.

Początkowo ubytek był niewielki. Willy wrzuciła tam pokruszone betonowe płyty i miała nadzieję, że to pomoże. W czasie następnych miesięcy próby latania wyrwy przekształciły się w regularną wojnę z erozją. Oczywiście mogła wezwać fachowca i po uzyskaniu niezbędnych zezwoleń zlecić mu zabezpieczenie całej linii brzegowej. Uznała jednak tę sprawę za wyzwanie rzucone jej osobiście. Być może życiowa pustka, której doświadczała w ostatnich kilku latach, podziałała na nie znaną jej dotąd część własnej osobowości. Była zdecydowana powstrzymać swoją erozję i zrobić to po swojemu. Bez ekspertów i zezwoleń. Miała pieniądze, ale zabezpieczenie dwustu metrów wybrzeża po sto dwadzieścia dolarów za metr mogło poważnie nadweryżyć jej budżet.

Willy występowała przeciwko połączonym siłom przyrody i rządu. Jej przeciwnicy mieli do dyspozycji zwiad lotniczy. Ale Willy miała czas i wystarczająco dużo sprytu, który zresztą doskonalili się wraz ze wzrastającymi trudnościami. Wiedziała dokładnie, co na terenach podmokłych i graniczących z wodą można, a czego nie można. Prawo było prawem i musiało być stosowane bezstronnie. Napawało ją jednak goryczą, że piasek, który prawnie do niej należał, mógł być jej skradziony przez przyptyw, a mimo to nie miała prawa go odzyskać.

Kieł na pewno dopełniłby wszystkich formalności i wynajął całą armię ekspertów. Polegał na ich doświadczeniu, Willy zaś lubiła wyzwania. Z nieco smutnym uśmiechem przypominała sobie, jakie zaciekle boje toczyli niekiedy o podobne sprawy. Późniejsze pojednania były cudowne.

- Och, Spot, czasami tak mi go brakuje, że miałabym ochotę umrzeć - westchnęła ciężko, a potem wstała i wzięła psią miskę. Łzy zamglily na chwilę jej wzrok, otarła je ze zniecierpliwieniem. Dlaczego tak ją to zabolalo? Przecież minęły już ponad cztery lata. W końcu już się z tym pogodziła i ułożyła sobie jakoś życie. Sprzedała dom, zakupiony przed zatonięciem ich jachtu w czasie niespodziewanego sztormu koło Virginia Capes. Kieł zdołał uratować małżeństwo w średnim wieku, płynące z nim z Maine do Oregon Inlet, ale sam utonął.

Krażąc po sypialni, po raz pierwszy od wstania z łóżka, spojrzęła w lustro. Nachyliła twarz do światła, szukając oznak starzenia się i znalazła ich zaskakująco niewiele. Wszędzie wszechwładnie panowały piegi skrywające wszelkie drobne zmarszczki. Było zbyt gorąco i

wilgotno, by się malować, od czasu do czasu używała jednak szminki i dobrego środka nawilżającego. Zawahała się na moment z dłonią wyciągniętą do szminki, ale w końcu tylko parsknęła szyderczo. Zamiast tego wzięła do ręki fotografię przedstawiającą Kiela przy sterze ich jachtu.

Czasami odnosiła wrażenie, że jej małżeństwo zdarzyło się w innym życiu. Ile razy człowiek żyje? Przeżyła jedno życie na Florydzie, które skończyło się późniejszą ucieczką na północ w poszukiwaniu nowego początku. Potem krótki, cudowny czas spędzony z Kielem. A teraz co? Czy oczekują ją lata gospodarowania i romantycznych prób walki z erozją? Lata rozmów z ptakami i zwierzętami, ciągłego poszukiwania motywacji do pracy?

Willy niepokoiło nawiedzające ją ostatnio niejasne uczucie niezadowolenia. Zastanawiała się, czy teraz rzeczywiście przypomina sobie twarz Kiela, czy jest to jedynie niewyraźny obraz utrwalony na fotografii. Coraz trudniej było jej przypomnieć sobie brzmienie jego głębokiego głosu i to, co czuła, kiedy się kochali.

Pod wpływem impulsu, którego nawet nie próbowała zrozumieć, wsunęła fotografię do górnej szuflady. Kochała Kiela rozpaczliwie. Zawsze go kochała, ale niekiedy zdawało się jej, jakby... czekała na to, co przyniesie przyszłość.

Na przykład ten szmat ziemi, który kupili, by go zagospodarować. Wybudowała dwa domy i nagle zwolniła tempo. Jeszcze tylko je umeblowała. Potem ogarnęła ją całkowita apatia. Potrafiła spędzać czas, śniąc na jawie w hamaku albo zajmując się swoją ławicą ostryg, walcząc codziennie z erozją, spacerując całymi milami - latem po brzegu od strony cieśniny, a po plaży nad oceanem kiedy ostre, surowe zimy przepędzały turystów.

Odruchowo wzięła szczotkę i przesuwiała nią po włosach długich do ramion, aż rozczesła wszystkie poplątane kosmyki. Następnie wsunęła na stopy gumowe japonki, wyszła przez rzadko używane frontowe drzwi i poczekała na Spota. Połączy sprawę, którą miała załatwić z wieczornym spacerem Spota.

- Panie Scott, czy jest pan w domu? To ja, Willy - zawołała z dziedzińca. Wyciągnęła rękę, urwała pachnący liść mirtu i wsunęła go za obrozę psa. Ktoś jej kiedyś powiedział, że to podobno odpędza pchły.

Drzwi otworzyły się i Bain poirytowanym głosem zapytał, czego jeszcze sobie życzy.

- Czy żądam zbyt wiele, pani Faulkner, gdy proszę, żeby pozostawiono mnie w spokoju?

Ku zaskoczeniu Willy, Spot rzucił się na stojącego w wejściu mężczyznę z takim entuzjazmem, że omal go nie przewrócił.

- Do diabła, może by pani zawołała to swoje zwierzę?

- Spot! Wracaj, wracaj tutaj. Spot, do nogi, kochanie - wołała pieśczośliwie Willy, zastanawiając się, co wstąpiło w selera. Zazwyczaj był niewiarygodnie leniwy, a biegał tylko wtedy, gdy miał na to wyraźną ochotę. - Bardzo pana przepraszam... Spot, czy możesz łaskawie przestać oblizywać tego pana? Panie Scott, obiecuję panu... Spot!

Pies przemknął obok rozżłoszczonego mężczyzny i objął w posiadanie najwygodniejsze miejsce w całym domu, niską, miękką sofę, znajdującą się bezpośrednio pod zawieszonym na suficie wentylatorem.

- Proszę go stąd zabrać - powiedział stanowczo Baki. Na jego humor źle wpłynęła i harmider wywołany przez bandę, która ją odwiedziła wcześniej tego wieczoru, i przygotowany właśnie posiłek. Wodnisty rosół i rozgotowany makaron nie odpowiadał jego wyobrażeniom o znośnym jedzeniu. A teraz, kiedy było mu gorąco, czuł się zmęczony i umierał z głodu, jego cierpliwość się kończyła.

Willy próbowała ściągnąć za obrozę leciwego psa z sofę. Spot szeroko, niezgrabnie rozstawił długie Sapy, wbił je głęboko w narzutę i nie dawał się ruszyć z miejsca.

- Jeżeli nie potrafi pani panować nad swoim zwierzęciem, nie zasługuje pani na to, by je posiadać - oznajmił pouczającym tonem Bain.

- Uwielbia tę sofę z powodu pierza - mruknęła Willy, wyciągając rękę, żeby podtrzymać przewracającą się lampę.

- Chyba nie chce mi pani wmówić, że poduszki są wypchane przepiórczym puchem - powiedział ironicznym tonem Bain, opierając się o dębowy słup podtrzymujący balkon piętro wyżej.

Willy rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie i wreszcie zdołała ruszyć psa z sofę.

- Nie ja je wypychałam, więc nie wiem, ale obiecuję, że Spot nie będzie już panu przeszkadzać, nawet jeśli będę musiała na nim siedzieć.

- Mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za impertynenta, pani Faulkner, jeżeli zapytam, dlaczego u diabła nazwała pani irlandzkiego setera Spot? Czy uważa to pani za zabawne?

Spot, słysząc swoje imię, skrzył w stronę Baina i wsunął nos w zwisającą luźno dłoń. Dopiero teraz Willy uświadomiła sobie, że stojący przed nią mężczyzna jest nagi do pasa i bosy.

Dłoń mimowolnie pogłaskała psi pysk i Willy ochłoneła na tyle, aby próbować bronić wyboru imienia.

- Wcale nie chcieliśmy być zabawni - odparła sztywno. - Było to jedyne imię, na jakie reagował. Chciałam nazwać go Kelly, a mój mąż - Callahan. Nasz sąsiad miał jednak pointera, który wabił się Spot. Za każdym razem kiedy go wołał, nasz uparciuch niemal

przewracał płot.

Bain pociągnął za jedwabiste uszy i ten prosty gest w nieoczekiwany sposób przyniósł mu ulgę. Fakt, że są na tym świecie istoty, którym jest wszystko jedno, ile nóg ma człowiek i jak bardzo jest ambitny, napawał otuchą.

- Lubisz rosół z kluskami, Spot? - mruknął i uśmiechnął się na widok powiewającego ogona w kształcie, pióropusza. - No to chodź ze mną, będziesz mógł skończyć moją kolację.

Willy stała niepewnie przy drzwiach wejściowych, Bain zaś podszedł kulejąc do barku oddzielającego kuchnię od saloniku. Spot trzymał się jego nogi, zupełnie jakby był wzorowym absolwentem psiej szkoły, a nie uciekinierem od hycła. Obserwowała mężczyznę, jak wlewa zupę do plastikowej miski i stawia ją na podłodze. Dopiero wtedy przypomniał sobie o jej obecności.

- Czy chciała się pani ze mną zobaczyć w jakiejś konkretnej sprawie, pani Faulkner, czy jest to tylko wizyta towarzyska? - Pełna goryczy napastliwość była mniej wyczuwalna, ale wciąż brzmiała w jego głosie.

- O tej porze dnia wychodzimy zawsze ze Spotem na spacer, panie Scott. Zazwyczaj spacerujemy po plaży, ale chciałam się dowiedzieć, czy życzy pan sobie żeby ktoś przychodził rano posłać łóżka, zmyć naczynia i zrobić wszystko co potrzeba. Chyba że woli pan...

Bain czekając, aż seter skończy chleptać zupę, stał, wsparty o blat stołu i patrzy! na swoją gospodynię. Czy rzeczywiście jest tak prostolinijna, na jaką wygląda? Gdy chodziło o kobiety, nauczył się nie dowierzać pierwszemu wrażeniu. Im bardziej wydawały się bezbronne, tym silniej reagował jego wewnętrzny radar. W tej właśnie chwili dzwonił jak alarm pożarowy.

- Byłoby doskonale. Czy to już wszystko, pani Faulkner?

Willy nabrała głęboko powietrza w płuca, starając się zapanować nad chęcią wysiania go do wszystkich diabłów. W końcu ten człowiek miał prawo do prywatności. Już ona dopilnuje, żeby mu jej nie zabrakło.

- To wszystko, panie Scott - zmusiła się do uśmiechu, w nadziei, że jest on tak jadowity, jak tego pragnęła. - Chodź, Spot, popluskamy się trochę. - I dodała, żałując, że nie może wymyślić na pożegnanie jakiejś uszczypliwej uwagi.

- Chłopcy będą przychodzili do pana przed południem zrobić porządki. W razie jakichś zastrzeżeń, znajdzie mnie pan w domu.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy Willy narzucała widłami sterty wodorostów na worki z piaskiem, powietrze wczesnego ranka było cudownie rześkie. Chciała załatwić dwie sprawy - ochronić plecione, plastikowe worki przed słońcem oraz przed bystrym wzrokiem pilota, który dokonywał regularnych fotów inspekcyjnych. Ludzie z Biura Zarządu Wybrzeża bardzo niechętnie zapatrywali się na wszystkie prace prowadzone na brzegu.

Spot hasał po płycznach, aż przemoczył Willy do nitki. Potem ułożył się na stercie wyschniętej trawy morskiej, wsunął nos pod przednią łapę, żeby osłonić go przed zielonymi muchami, i zasnął.

Willy oparła się na widiach i odpoczywała. Patrzyła na cieśninę, nad którą dwa brązowe pelikany leciały w stronę małej zatoczki, trzepocząc niezgrabnie skrzydłami. Było spokojnie. Takie właśnie życie wybrała. Dlaczego więc ostatnio czuła dręczący niepokój? Dlaczego tego ranka niemal do samego świtu rzucała się i wierciła na swoim olbrzymim łóżku?

- Bo umieram z ciekawości, kim jest Bainbridge Scott - przyznała. Z natury szczerą, była również uczciwa w stosunku do samej siebie.

Znowu zabrała się do pracy. Uważnie patrzyła pod nogi, żeby nie nastąpić na połamane skorupy muszli wystające z piasku. Szczekanie przemykającego obok Spota uświadomiło jej dopiero, że nie jest już sama.

- Dzień dobry, panie Scott. - Podparła się zapiaszczoną ręką w pasie i wyprostowała. Mrużąc oczy popatrzyła pod słońce. - Dobrze pan spał?

Bain Scott zignorował jej uprzejme pytanie i z ponurą miną spojrział w dół z wysokiego, zadrzewionego urwiska. Jego poza, nawet kiedy stał wsparty na lasce, była wciąż agresywna.

- Sądzę, że wolno spacerować po plaży?

- Proszę czuć się jak u siebie - oznajmiła Willy. Jej nastrój przy ponownym zetknięciu z impertynencją lokatora szybko się zmieniał. Na litość boską, czy ten facet uważa, że padłby natychmiast trupem, gdyby się uśmiechnął?

- A jak u diabła mam tam zejść? Zeskoczyć? Spokojnie, Wilhelmino, ten człowiek jest inwalidą, pomyślała.

- Jeżeli spojrzy pan w prawo, dostrzeże pan ścieżkę przez las. Proszę nią pójść, a wyjdzie pan na plażę.

Zdrajca Spot popędził do nowego towarzysza zabaw, zachowując się zupełnie jak szczeniak. Być może nieco jego beztrioskiej radości udzielił się Bainbridge'owi Scottowi.

Willy przysiadła na pobielającym korzeniu dębu, który dawno temu stał się ofiarą przyptyków. Przysłoniła oczy dłonią i zaczęła obserwować wysoką, szczupłą postać utykającego Bainbridge'a i hasającego setera, który wyszukiwał rozmaite skarby i domagał się pochwał.

Mężczyzna sprawiał wrażenie samotnego. Ta myśl przyszła Willy do głowy zupełnie niespodziewanie i instynktownie ją odrzuciła, Bainbridge Scott, samotny? Jeżeli istotnie tak było, to najprawdopodobniej na to zasłużył. Przyjaciół łatwo znaleźć, jeżeli człowiek zdobędzie się choć na minimum uprzejmości.

Willy miała na wyspie mnóstwo przyjaciół. Ale mimo to musiała przyznać, że doskwierało jej uczucie pustki, ukryte tuż pod powierzchnią życia nieprzyjemne połączenie apatii i wewnętrznego niepokoju. To zupełnie zrozumiałe, pomyślała. Ból, jaki przeżyła, był straszny, ale w końcu jednak się wypalił, pozostawiając po sobie najpierw gniew, a potem ośpienie.

O, do diabła, to musi być wpływ pogody! Wiatr zmieniał kierunek na wschodni i wilgotność wzrastała z minuty na minutę. Gdy wskazówka barometru opadła, Willy zawsze miała podły nastrój. Przecież nie było żadnego powodu, żeby czuła się nieszczęśliwa. Była zdrowa. Miała dwa domy, duży kawał ziemi, na którym mogła pracować, psa, nowego jeepa i starego 450SL, którym jeździła od lat. Karoseria przetrzymała w nim dawno temu i została przerobiona na nadwozie samochodziku plażowego. Miała wszystko... no, może prawie wszystko. Jeżeli wydawało się jej, że życie jest puste, sama musiała je czymś wypełnić.

W końcu worki z piaskiem pokryła warstwa świeżych wodorostów, gruba przynajmniej na ćwierć metra i Willy była gotowa wrócić już na hamak. Przekroczyła poranną normę zużycia energii, ale przynajmniej odzyskała zwykłą pogodę ducha. Poleżyła pięć minut w hamaku, a potem wejdzie do domu i przygotuje coś specjalnego na śniadanie.

Prawie spała, kiedy Spot wilgotnym nosem dotknął jej gołego brzucha. - Oooj! Nigdy tego nie rób, stary draniu! - Poderwała się z hamaka.

- Gdybym był pani mężem, już bym telefonował po inżyniera - oświadczył Bain. Kulejąc, szedł uparcie przez głęboki piasek. Laskę trzymał pod pachą. - Nie wiem, ile ziemi do pani należy, ale sądząc po tym, co widziałem, traci ją pani w dość szybkim tempie.

- Co pan powie - odparła ironicznie Willy, układając się ponownie na hamaku. Bainbridge stał nad nią z posępną miną. Czy on w ogóle ma jakąś mimikę, pomyślała leniwie, czy to jego jedyny wyraz twarzy? Na pomarszczone czoło Scotta spadał gruby kosmyk

czarnych włosów, nadając mu nieoczekiwanie młody wygląd. Wrażenie to trwało, dopóki nie zakłócił go widok ponuro zaciśniętych ust.

- Pani o tym wie? - powiedział z wymówką w głosie. .tego jasne, szare oczy błędziły po jej skąpych, różowych szortach w kwiecisty wzór i wyblakłym, czerwonym staniku, i także po rozległych połaciach skóry pokrytej zabawnymi piegami.

- Oczywiście, że wiem - odparła spokojnie i żeby rozkołysać hamak, pociągnęła za linę, która przymocowana była do położonego nie opodal cedru. - A po co, według pana, tkwiłam tam od świtu przerzucając tony wodorostów?

Bain zmienił pozycję, przenosząc ciężar ciała na zdrową nogę. Zorientował się, że podziwia połączenie bezbłędnych rysów piegowanej twarzy i idealnego ciała, które wyróżniałoby się na zlocie modelek.

Zmarszczki na jego czole pogłębiły się, gdy próbował gwałtownie zmienić przedmiot zainteresowania.

- Czy sądzi pani, że ta odrobina' wodorostów powstrzyma erozję?

- Spodziewam się, że to, co jest pod wodorostami, opóźni ją do chwili, kiedy podejmę decyzję, co robić dalej - wyjaśniła, leniwym ruchem ręki odganiając siedzącego na udzie komara.

Szyderczy wyraz twarzy Scotta był niezwykle wymowny.

- Albo pani mąż jest idiotą, albo ma cholernie dobre układy z towarzystwem ubezpieczeniowym.

- Mój mąż zginął w wypadku na morzu cztery lata temu. Z całą pewnością nie był głupcem ani nie miał żadnych układów z towarzystwem ubezpieczeniowym. A teraz, przepraszam pana!.. - Willy zsunęła się z hamaka jednym zręcznym ruchem.

Szła w stronę domu i czuła, jak jego spojrzenie wbija się jej w plecy. Zawsze było jej niezręcznie wyjaśniać te okoliczności, ale powinna się już do tego przyzwycząić.

- Chodź, Spot, zjemy śniadanie - zawołała. Kątem oka zobaczyła, że Bainbridge waha się.

W chwili gdy zawołała na psa, dochodził do domu i na dźwięk jej głosu, odwrócił się. Chce ja przeprosić. O Boże, nie ma ochoty na żadne przeprosiny. Chce tylko...

Przyszła jej do głowy pewna myśl i zatrzymała się gwałtownie w drzwiach. Chyba się nie przesłyszał i nie uznał, że to j e g o woła na śniadanie? *Chodź, Scott?*

- Jestem pewna, że już jadł pan śniadanie, panie Scott. Jeżeli nie, byłoby mi miło, gdyby pan się do nas przyłączył.

Trzymając rękę na klamce ażurowych drzwi, Willy zerknęła ukradkiem przez ramię i

przekonała się, że Bainbridge też się waha. Uszczęśliwiony Spot biegał między nimi tam i z powrotem, zupełnie jakby była to nowa, podniecająca gra.

- Jadł pan śniadanie, prawda? - spytała z rezerwą. Spot zaszczekał z nadzieją.

- Rzadko kiedy zawracam sobie głowę śniadaniem - skłamał Bain. Prawdę mówiąc, rano upuścił na podłogę chyba z tuzin jajek i do tej pory nie mógł się zmusić, żeby posprzątać cały ten bałagan. - Czy Spot lubi jajka?

- Uwielbia, szczególnie po meksykańsku.

- Tortillas, pomidory, chili? - próbował zgadnąć Bain. Jego głęboki głos brzmiał niemal marząco.

- I olej, czosnek, cebula i mnóstwo sera - wyliczała to wszystko kusząco, mimowolnie zniżając głos niemal do gardłowego pomruku.

- Zawsze gotuję aż za dużo, może więc przyłączy się pan do nas? - Wyciągnęła rękę i zerwała uschły liść z rosnącego w kącie ganku krzewu.

Bain obserwował pełen wdzięku ruch Willy. Przesunął wzrokiem po jej delikatnie zaokrąglonych kształtach i niejasno uświadamiał sobie, że gdzieś głęboko ukryty w nim głód ma niewiele wspólnego z jedzeniem.

- Jeśli jest pani pewna, że nie sprawię kłopotu... Od ubiegłej nocy chyba wciąż jestem głodny. Niezbyt przepadam za zupami.

Ze względu na chorą nogę Scotta Willy poprowadziła go do drzwi frontowych, a nie przez parter i po stromych schodach.

- W takim razie powinien pan spróbować moich rozmaitych zup z darów morza.

Poszedł przodem, żeby otworzyć przed nią drzwi. Zaburczało mu w brzuchu i Willy uśmiechnęła się ukradkiem. Mężczyźni! Kieł był taki sam... Po sprzeczce mógł wypaść rozwścieczony z domu, ale wracał pokorny, z czapką w ręku, kiedy zapach jego ulubionego dania dobiegł przez okno do miejsca, w którym rąbał drewno. Oboje mieli swoje sposoby wyzbywania się złości - Kieł rąbał drewno, Willy gotowała.

Willy poprosiła Scotta, żeby się rozgościł i poszła do łazienki zmyć z siebie piasek i morską sól. - Zazwyczaj jem na werandzie - zawołała kilka minut później, kiedy przygotowała już bekon i zaczęła szatkować cebulę i chili.

Bain wyszedł na zadaszony taras, ciągnący się wzdłuż całego frontonu budynku. Wierzchołki dębów, drzew lauowych i sosen częściowo przysłaniały widok podmywanego brzegu. Czy rzeczywiście zrozumiała już swoje problemy? Czy miała już jakieś rozwiązanie, czy też należała do tych fanatycznych ekologów, którzy nie zgadzali się na przeszkadzanie przyrodzie w jej działaniu?

Delikatny wiatr sprawiał, że narastający upał był łatwiejszy do zniesienia i Bain ostrożnie usiadł w wiklinowym fotelu. Boże, czy ta kobieta zdaje sobie sprawę, co posiada? Przecież tu jest niemal jak w niebie. Jedynymi dźwiękami, jakie słyszał, był odgłos smażonego bekonu i jazgot stada zięb.

Może Thatcher rzeczywiście miał rację... Może istotnie potrzebował tylko paru tygodni na odludziu, gdzie delikatnych odgłosów przyrody nie zakłócały nieoczekiwane serie z broni maszynowej i wybuchy, które mogły sprzątnąć człowieka z tego świata, zanim zdążył się pomodlić.

- Jak ostro przyprawione pan lubi? - zawołała z kuchni Willy. - Jeżeli jest pan połykaczem ognia, to mam tu parę *serranos*.

- To pani gotuje, ale skoro i Spot jest zaproszony, może lepiej by było, gdyby pani nie przesadziła z chili.

Setter, słysząc swoje imię, zaczął machać szaleńczo ogonem. Bain uśmiechnął się i nagle uświadomił sobie, że od bardzo dawna tego nie robił.

- Proszę - oznajmiła Willy w parę minut później. Postawiła na niskim stoliku kopiasty talerz i kubek z kawą, a potem przysunęła wszystko do miejsca, w którym drzemał Bain.

- Przepraszam, dawałem odpocząć oczom. - Przyjęcie jej zaproszenia nie było zbyt rozsądnym pociągnięciem. Wciąż czuł ból po ucieczce Suzanne. Znał siebie jednak wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że wkrótce zacznie brakować mu kobiety. Ta zaś najwidoczniej nie miała ochoty na taką grę. Robiła wrażenie, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy ze swego wyglądu i nic w jej zachowaniu nie stanowiło tego specyficznego, wyraźnego sygnału.

Z drugiej jednak strony, wiele wody upłynęło od chwili, gdy zaproszony był na przyzwoity, domowy posiłek. Upił łyk z kubka pełnego parującej czarnej kawy i przez chwilę podziwiał stojące przed nim kolorowe dzieło.

- Gdzie się pani nauczyła tak gotować? - zapytał. Willy, która właśnie wносиła następne dwa talerze, wzruszyła lekko ramionami.

- To żadna sztuka. Lubię się tym zajmować i to wszystko. - Postawiła jeden talerz na podłodze, a drugi na stole. Przysunęła sobie krzesło i uśmiechnęła się. Jej zielone oczy z ciężkimi powiekami były równie przyjazne i szczere jak bursztynowe oczy Spota.

Kiedy trzy talerze były już puste, Bain usiadł głębiej w fotelu i westchnął. Podczas posiłku wcale nie rozmawiali. Z przyjemnością jednak ją obserwował. Jadła jak dziecko, z radością i całkowicie bez żenady. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i uśmiechała się do niego.

- To było wspaniałe - stwierdził. - Jeżeli karmi pani wszystkich swoich gości równie dobrze, spodziewam się, że ma pani rezerwacje na wiele lat.

- Stołowanie lokatorów nie przyszło mi do głowy. Zazwyczaj sami organizują sobie wyżywienie. I nie wynajmuję pierwszemu lepszemu z ulicy. Dwa razy do roku daję ogłoszenie do biuletynu obserwatorów ptaków. To doskonali lokatorzy. Druga grupa to ludzie z Waszyngtonu, zazwyczaj potrzebują intymności. Bez obrazy - dodała lekko.

- Oczywiście - Bain obserwował jej profil w świetle sączącym się przez listowie. Wysokie, pięknie sklepione czoło, krótki, prosty nos, podbródek okrągły, ale zdecydowany. Podobnie jak usta...

Była młoda jak na wdowę. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia cztery czy dwadzieścia pięć lat. Baina mimo wszystko zaintrygowała ta kobieta, która miała być jego sąsiadką i najprawdopodobniej jedynym kontaktem z inną ludzką istotą przez najbliższe dwa miesiące. Nie czuła się zobowiązana wypełniać każdej chwili ciszy paplaniną i był to punkt na jej korzyść. I gotowała jak anioł. Jeżeli anioły gotują.

- Pani Faulkner, jeżeli...

- Proszę mówić do mnie Willy.

- Dziękuję, Willy. - Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zaproponować jej tego samego, ale uznał, że nie byłby to rozsądny krok. Wciąż zbyt miał się na bacności. - Jak już mówiłem, Willy, sądzę, że jestem winien przeprosiny. Wczoraj zachowałem się... no cóż, to był długi dzień i dopiero co wyszedłem ze szpitala. Jeżeli byłem dla pani trochę nieuprzejmy, to przepraszam.

Po skupionej twarzy Willy przebiegi leciutki uśmiech. Ten mężczyzna był również mistrzem w bagatelizowaniu faktów.

- Nie ma sprawy - stwierdziła lekko. - I proszę być spokojnym. Zazwyczaj nie naprzykrzam się moim lokatorom.

Bain zerknął na nią sceptycznie. Kochanie, pomyślał, założę się, że zdziwiłabyś się wiedząc, jak bardzo niepokoisz pewnych swoich lokatorów. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może wcale nie jest tak odporny jak sądził.

- Chyba lepiej wróć do siebie - mruknął bez przekonania. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł się niemal całkowicie rozluźniony.

- Proszę zostać, jeśli pan chce - odparła uprzejmie. - Mam parę spraw do załatwienia. Czy mogę coś dla pana kupić?

- Masło fistaszkowe, zestawy obiadowe w mrożonkach. Obawiam się, że moje umiejętności kucharskie są zupełnie elementarne. Bardzo byłbym pani wdzięczny za

załatwienie mi tych sprawunków.

- W takim razie rozejrzę się za produktami, które nie sprawią panu kłopotów. Spot, jesteś gotów do przejażdżki?

Pies machnął ogonem i pozostał na swoim miejscu, koło fotela Baina. Spróbowała jeszcze raz, ale kiedy seter schował nos pod przednią łapę, wzruszyła ramionami.

- Nie ma pan nic przeciwko temu? Jak zacznie pan dokuczać, proszę mu powiedzieć, żeby się odczepił. Nie posłucha, ale poczuje się pan o wiele lepiej.

Zostawiła talerze tam, gdzie stały. Pochyliła się, wyjęła spod stolika do kawy parę pantofli i wsunęła w nie stopy.

- Wrócę za godzinę albo dwie. Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, to proszę się rozejrzeć. Łazienka jest między kuchnią i sypialnią. Wszystko inne dostrzeże pan od razu.

Bain usłyszał, jak zbiega lekko po schodach. Drzwi skrzypnęły i zatrzasnęły się. W tej samej chwili usłyszał również ryk znajomego, popsutego tłumika. Jej „chłopcy” znowu przyjechali. Leżący u stóp pies otworzył jedno oko i zamknął je znowu, nie przejmując się niczym. Jeżeli Spot rzeczywiście pilnował domu, to najwidoczniej byli tu częstymi gośćmi. Bain z nieskrywaną ciekawością przyglądał się Willy, jak podchodziła do samochodu i nachylała się, żeby porozmawiać ze swoimi młodymi przyjaciółmi. Poczł bolesny ucisk gdzieś w głębi, kiedy między drzewami dostrzegł jej skąpo odziane siedzenie. Czy ta kobieta nie ma w sobie ani krzty przyzwoitości? Czy nie przychodzi jej do głowy, że prowokuje, biegając ubrana jedynie w parę cienkich szmatek? Te młode ogiery, z którymi flirtuje, do diabła, też mają oczy. Może jednak mimo wszystko niewłaściwie ją ocenił?

Przez chwilę przytłumiony dźwięk głosów drażnił jego uszy. Wreszcie cofnęła się, unosząc dłoń niedbałym gestem.

- Dzięki, chłopcy. To bardzo poprawi sytuację. Pomogę wam to umocować.

Co umocować? Bain wyprostował się, żeby spojrzeć zza pnia drzewa. Obserwował, jak spłowiła honda cofnęła się kawałek po piaszczystym podjeździe i zatrzymała ponownie.

- Hej, Willy! Czy odprawiłaś już tego nowego faceta? Straszny flejtuch. Cała podłoga w kuchni zaświniona, walizki zwalone w salonie. Na twoim miejscu wyrzuciłbym go w mgnieniu oka.

Willy zaczęła gorączkowo dawać Denny'emu znaki, żeby się uspokoił. Bez względu na to, kim był Bain, nie chciała urazić jego ambicji. Trochę nabrudził? No cóż, był zmęczony ubiegłej nocy. Była ostatnią osobą na świecie, która miałaby komuś za złe, że jest nieporządny.

Rzuciła zaniepokojone spojrzenie na werandę i w tej samej chwili usłyszała, jak

Maurice woła do niej. - Hej, Willy, miałabyś ochotę zrobić z nami parę kursów? Wygląda na to, że powinno być fajnie.

- Dziękuję, chłopcy, może innym razem. - Pływanie na desce surfingowej było dość wyczerpujące, ale doceniła to, że chcieli włączyć ją do swego towarzystwa.

Willy położyła plik banknotów i powiedziała chłopcu przenoszącemu zakupy, aby włożył obie torby do lodówki umocowanej z tyłu jej samochodu. Kilka minut później, po wymianie pozdrowień ze spotkanymi w sklepie znajomymi, poszła na pocztę. Brakowało jej psa rozwalonego na siedzeniu samochodu... To dziwne, że tak łatwo przywiązał się do Bainbridge'a Scotta. Wprawdzie to Kiel dostrzegł u raka bezpańskiego setera, złapanego na kempingu, ale Spot zawsze był jej psem. Kiela zaledwie tolerował.

Na poczcie odebrała list od Franka Smitha, ale nie chciało się jej go czytać. Sięgnęła do tyłu i wetknęła go do jednej z toreb z zakupami. Znowu pewnie robi jakieś aluzje, podchodzi, próbuje, bada, i tak już od roku. Nie będzie mogła zwlekać w nieskończoność, ale jeszcze nie była gotowa, by zastanawiać się nad oświadczeniami Franka.

A tak właśnie się stanie. Nawet jeżeli się nie oświadczy, to subtelnie przypomni, że już od trzech lat stoi za kulisami. Oczekał rok po śmierci Kiela, a potem ją odwiedził. Upłynęło nieco czasu, zanim zorientowała się do czego zmierza, ale kiedy zrozumiała, omal nie zniszczyło to ich przyjaźni. Nie była przygotowana na nowy związek. Ani z Frankiem, ani z kimkolwiek innym.

Mimo woli jej myśli wróciły do Bainbridge'a Scotta. Był człowiekiem, z którym lubiła prowadzić pojedynki. Zawsze sprawiał wrażenie napiętego jak mocno skręcona sprężyna i już to samo w sobie stanowiło wyzwanie. Mogło być fajnie: spróbować trochę go rozluźnić, zanim wróci do swoich zajęć. Oczywiście wszystko dla jego własnego dobra. Ten facet przypominał kłębek nerwów. Musi nauczyć się żyć na luzie, a w tym Willy była prawdziwym ekspertem.

Kiedy wróciła, już go nie było, ale nawet sama przed sobą Willy nie przyznałaby się, jak bardzo poczuła się rozczarowana. Leniwie wypakowała zakupy, umieściła gotowe dania Baine'a w zamrażarce do czasu, kiedy wróci stamtąd, dokąd poszedł. Teraz, kiedy znała już jego upodobania kulinarne, będzie mogła robić zakupy bardziej sensownie.

Bain obserwował nadejście Willy przez wysokie okno wychodzące na krętą drogę łączącą oba domy. Wiedział to i owo o anatomii ludzkiej nogi - w końcu jego własną składano z kawałków jak łamigłówkę. Ale ta kobieta musiała mieć w każdym słowie łożysko kulkowe. To nie mogło być świadome - najrozmaitsze metody wabienia rozpoznałby na pierwszy rzut oka.

Jeżeli torba oparta na jej lewym biodrze zawierała jajka, którymi miała zastąpić rozbite rano, to zanim Willy dojdzie do frontowych drzwi, będą się nadawały tylko na jajecznicę.

- Nie musiała się pani trudzić - oznajmił sztywnym tonem. Starał się za wszelką cenę ukryć sprowokowaną przez nią niefortunną reakcję organizmu.

- Nie ma sprawy. Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę tylko powiedzieć. Mogę w każdej chwili podwieźć pana do sklepu.

Czuł się poirytowany jej dobrym nastrojem. Fakt, że dzisiaj zjadł z nią śniadanie, wcale nie oznacza, że go zawojowała. Dać takiej palec!

- Jeżeli będę chciał gdzieś jechać, mogę wezwać taksówkę.

- Bardzo proszę - wzruszyła ramionami Willy - ale niech się pan nie spodziewa, że ktoś podniesie słuchawkę. O ile się orientuję, taksówki ze stałego lądu tu nie dojeżdżają.

Bain zacisnął zęby, na próżno usiłując nie zwracać uwagi na płynący od niej delikatny zapach. To nie były perfumy. Nic, co mógłby rozpoznać. A zresztą, mniejsza o to.

Po kolacji poszła na brzeg. Poziom wody był wciąż jeszcze zbyt wysoki i nie mogła zabrać się do pracy przed zmierzchem. Nigdy nie była w stanie ustalić różnicy w wysokości przyływu na oceanie i w cieśninie. Zwłaszcza gdy wiatr wiał z kierunku prądów pływowych.

Kiedy przyjechali chłopcy, leżała w hamaku i patrzyła na słońce barwiące gładką jak lustro wodę na kolor ognistego koralu.

- Gdy słońce o zachodzie czerwienieje... - zacytowała zamiast powitania.

- Surfer z radości szaleje - przekreślił dalszy ciąg Denny. - Wspaniałe ślizgi - powiedział, przysiadając na zrogowaciałych piętach.

- Powinnaś spróbować - dodał Maurice.

- Jak długo zostanie tu ten flejtuch? - spytał Buddy, wsuwając palce pod elastyczny pasek spłowiałych spodenek gimnastycznych.

Willy popatrzyła na Spota, który podniósł się na cztery łapy, przeciągnął i zrobił kółeczko, a potem znowu ułożył się w swoim piaskowym gnieździe. - Parę miesięcy, aż się znudzi.

- Módl się, żeby tak się stało. Wywalił cały tuzin jaj na podłogę kuchni i zostawił. Zanim przyszedłszy, wszystko zaschło jak werniks. I nawet nie zadał sobie trudu, żeby pójść na noc do sypialni na górę... Sofa wygląda, jakby spał tam z pół tuzinem osób.

- Przykro mi, chłopcy, czasami ma się pecha. Chcecie premię?

- Daj spokój, Willy, wiesz przecież, że nie robimy tego tylko dla pieniędzy. Pracowalibyśmy dla ciebie za darmo... albo za kawałek ciasta orzechowego od czasu do

czasu.

- I dobrze wiecie, że nie zgodziłabym się - odparła Willy, leżąc zupełnie bez ruchu. - Jeżeli nie będziemy mieli jesienią żadnych wielkich sztormów, sądzę, że damy sobie radę z naszym problemem. Chyba zauważyłam pewną zmianę w sposobie wyflukiwania piasku przez przypyływ. Jeśli skończy się erozja tych kilku bagnistych miejsc na wschód i zachód, prąd zacznie przepływać równolegle i przestanie podgryzać moje podwórko.

- Jesteś optymistką, Willy - Denny pokręcił swoją grzywą koloru jasnego złota i wstał.
- Gdybyś była rozsądna, sprowadziłabyś kogoś, żeby załatwił tę sprawę porządnie, zanim stracisz więcej terenu.

Willy westchnęła. Wiedziała, że chłopak ma rację. Bainbridge tego ranka również miał rację. Gdzieś, w głębi duszy wiedziała, że toczy walkę z cieniem. Załatwienie zezwolenia na pogłębienie dna, umocnienie brzegu i sporządzenie falochronu nie powinno sprawić większego kłopotu. Może być kosztowne, ale niezbyt trudne.

- Słyszeliście kiedyś o Don Kichocie? - Uśmiechnęła się, przesuwając wzrokiem od jednej młodej, opalonej twarzy, do drugiej.

- Miał coś do czynienia z wiatrakami, prawda?

- Coś w tym rodzaju. - Willy pominęła to milczeniem. Nie czuła się najlepiej, zdając sobie sprawę, że powiększa problemy, może nawet je tworzy, po prostu po to, żeby nie przyznać, jak bardzo puste stało się jej życie.

Cierpiała przy wieczornym obowiązkowym zmywaniu naczyń i umilała sobie czas słuchając z radia muzyki country, kiedy Spot wylazł ze spiżarki i, poszedł w stronę drzwi frontowych. Stukał głośno pazurami o podłogę z sosnowych desek.

- Kto tam, stary? Nasz miły szop z sąsiedztwa? Wszystkie resztki, którymi nie interesował się Spot.

Willy wyrzucała za drzwi dla szopa, który co noc robił tamtędy swój obchód.

- Pani Faulkner?

- Proszę wejść, panie Scott. - Wytarła ręce o szorty i podeszła do drzwi, gotowa uśmiechnąć się na przywitanie. Nigdy nie była specjalnie zawzięta. Miała kiepską pamięć do tego, kto i jak ją uraził.

- To należy do pani. Znalazłem go w swoich zakupach. - Choć otworzyła drzwi, został na ganku i jedynie podał jej kopertę. To list od Franka, przypomniała sobie z zamierającym sercem. - A to za żywność, którą pani kupiła. Dodałem parę dolarów rekompensaty za zużycie paliwa. Mam tu kwit kasowy, może więc pani sprawdzić kwotę.

Dziewięćdziesiąt dziewięć stopni Celsjusza i cały aż kipi, pomyślała Willy biorąc

banknoty i garść monet z jego wyciągniętej ręki.

- Dziękuję, panie Scott. - Wyciągnęła dwa banknoty spod niewielkiego stosu monet i położyła je na stole. - Nie musi mi pan zwracać za paliwo. I tak miałam jechać po zakupy.

To był pojedynek woli. Fizycznie, Bainbridge był od niej silniejszy mimo swego kalectwa, ale Willy miała kark hartowany w dość ostrym ogniu. Przyjęła jego zimne spojrzenie spokojnie, jej oczy miały barwę głębokiej wody pod zachmurzonym niebem. Dwa banknoty leżały między nimi na stole.

ROZDZIAŁ 3

- Dobranoc, pani Faulkner - Bain czepiał się resztek zasad dobrego wychowania, jakby stanowiły kolo ratunkowe.

- Proszę nie zapomnieć reszty, panie Scott - przypomniała mu Willy.

- Proszę uważać to za napiwek, pani Faulkner.

- A może mam panu powiedzieć, za kogo uważam pana, panie Scott? Uważam pana za grubiańskiego, humorzastego mizantropa, który nie spostrzegłby przyjacielskiego gestu, nawet jeżeli zależałoby od tego jego życie. A teraz ja życzę panu dobrej nocy, panie Scott.

Trzasnęłyby drzwiami, gdyby nie przeszkadzała jej w tym jego laska. Efekt lodowatej przemowy został niestety osłabiony przez Spota, machającego ogonem i wywieszającego język w psim uśmiechu.

Bain cofnął laskę i dopiero wtedy drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Natychmiast tego pożałował, ale było już za późno. Odskoczyła, zdążył jednak dostrzec w jej wzroku bolesne zaskoczenie.

Do diabła, ależ ze mnie sukinsyn, pomyślał. Szedł najszybciej jak potrafił bez pomocy całkowicie nieużytecznej w miękkim piasku laski, kierując się w stronę swojego domu. Po drodze zastanawiał się, czy przypadkiem nie poniosła uszczerbku również jego głowa, a nie tylko noga. Maleńki przeszczep zwykłej przyzwoitości przydałby mu się bardziej od tych wszystkich materiałów ery kosmicznej, które zużyto, aby poskładać mu potrzaskaną kończynę.

Oczywiście, to wina tej przeklętej sprawy z Suzanne. Wspomnienie wciąż mu doskwierało. W wieku trzydziestu siedmiu lat był bliski zakochania jak nigdy dotąd, a ona odeszła od niego w momencie, kiedy potrzebował jej najbardziej.

Wszedł do środka i złym wzrokiem spojrzał na otaczający go nienaturalny porządek. Po krytycznych uwagach jakie usłyszał rankiem, na dobrą sprawę bał się usiąść, żeby niczego nie pognieść. Nie należał do ludzi przesadnie porządnym, ale nigdy nie zachowywał się tak flejtuchowato jak dziś rano.

Usiadł ostrożnie, zdjął buty i zaczął masować bolące mięśnie uda. Jego myśli natychmiast wróciły do kobiety, którą przed chwilą obraził. Co spowodowało, że zrobił z siebie takiego durnia? Zachowywała się uprzejmie i starała się być pomocna. On zaś odrzucił jej wszystkie przyjacielskie gesty.

Ale wróćmy do Suzanne. Czy, mówiąc zupełnie uczciwie, mógł się spodziewać, że ich

stosunki wytrzymają próbę czasu, zwłaszcza jeśli on będzie przyjeżdżał i odjeżdżał prawie bez uprzedzenia? Doprawdy, nie mógł mieć do niej pretensji o to, że go opuściła, ale mimo wszystko bolało jak diabli. Nie przeceniał tego, że jest dość przystojny, dość inteligentny i stanowi stosunkowo niezłą partię - w końcu nigdy nie brakowało kobiet w jego życiu.

Ale Suzanne była inna. Ciemna i o silnym charakterze. Pracowała w bankowości i kiedy ją poznał, szybko robiła karierę. Minęło prawie siedem miesięcy, zanim ją przekonał, żeby z nim zamieszkała. Żadne z nich nie było zainteresowane małżeństwem, co nie wykluczało wieloletniego wspólnego pożycia.

Wynajmowali całe drugie piętro w miejskim domu w Aleksandrii i Bain dzielił swój czas między mieszkanie, Nowy Jork i rozmaite zagraniczne oddziały korporacji, której był przedstawicielem prawnym.

Kiedy na kuli ziemskiej w jednym miejscu po drugim zaczynało robić się gorąco, firma musiała dysponować małą armią ludzi znających się na subtelnościach międzynarodowego handlu, aby utrzymać się w grze. Był jednym z nich. Sprawdzał właśnie pogłoski o możliwości nacjonalizacji liczącej dwieście tysięcy akrów plantacji najlepszych ananasów, kiedy natrafił na coś, co spowodowało, że natychmiast popędził do miejscowej ambasady. Przez kilka następnych miesięcy ściśle współpracował z zastępcą podsekretarza, próbując uratować co się da w zmieniającej się szybko politycznej sytuacji kraju.

Sprawdzał właśnie pogłoski o snajperze ostrzeliwującym pracowników plantacji, gdy wpakował się na kryjówkę partyzantów. Do dzisiejszego dnia nie wie, kto był bardziej zaskoczony - oni czy on. Ze względu na napiętą sytuację w tej części świata i swój status osoby prywatnej, był nieuzbrojony. Próbował natychmiast zwać, ale oni wygarnęli do niego ze wszystkiego, czym dysponowali.

Suzanne przyszła do szpitala natychmiast, kiedy dowiedziała się o całym wydarzeniu. Była pełna współczucia, bardzo miła i spokojnie słuchała jego zwierzeń. O tym, że chce zrezygnować z tego zwariowanego zajęcia i wykorzystać swoją wiedzę prawniczą otwierając praktykę adwokacką w jakimś niewielkim mieście. - Jeżeli wygląda to na tchórzostwo, niech i tak będzie - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Ostatnio namacalnie przekonałem się, iż nie jestem nieśmiertelny, i przyszło mi do głowy, że powinienem trochę dłużej posiedzieć w jednym miejscu.

- Ty? Ustatkować się, utyc i zapisać do klubu miłośników kręgli? Zanudziłbyś się na śmierć w ciągu miesiąca - odparła kpiąco.

- W takim razie będziesz musiała dostarczyć mi dużo rozrywki, żeby podtrzymać mój krwiobieg, prawda?

Odwróciła wzrok i bez odwoływania się do swojej wykształconej przez lata znajomości ludzi zrozumiała, że coś jest nie tak.

- Co się stało, kochanie? - zapytał, usiłując ująć jej dłoń. Cofnęła rękę.

- Dostałam propozycję objęcia stanowiska wiceprezesa dużego banku w Chicago. Jestem już po trzech rozmowach. - A potem dała upust swemu podnieceniu. - Bain, czy ty rozumiesz, co to znaczy? Obejmę cały wydział powiernictwa. Jestem dobra, Bain... naprawdę dobra. W ciągu pięciu lat zostanę prezesem tego banku, albo wypadnę z gry.

Nawet teraz czuł wstyd, przypominając sobie błagalny ton swojego głosu:

- A co będzie z nami?

Odwróciła się w jego stronę. Jej oczy błyszczały jak ciemne kulki wypolerowanego gagatu.

- Kochanie, zawsze wyraźnie określałam priorytety w moim życiu i nigdy cię nie okłamywałam. Gdybyś chciał odejść, zrozumiałabym to. Po prostu stało się tak, że wypadło na mnie. Nadarzyła się okazja i pomyślałam, że muszę z niej skorzystać. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że zostanę wybrana spośród wszystkich ubiegających się o to miejsce. Potem znalazłam się na liście i miałam zamiar ci o tym powiedzieć, ale ty właśnie bawiłeś się w jakiegoś najemnika. A teraz... to - zrobiła niedbały gest w stronę rozpiętego nad jego nogą prześcieradła. - Rozumiesz mnie, prawda, kochanie? Uwielbiałam każdą chwilę naszego... naszego wolnego związku. Kto wie? Jeżeli Chicago nie wypali, może wrócę?

Pozwolił jej odejść, nie zwracając uwagi na pełne zazdrości spojrzenia, jakimi odprowadzały ją dwie pielęgniarki stojące przy drzwiach. Co mógł zrobić?

Nie był przecież w stanie biec za nią i błagać, żeby została.

Wstał ze stłumionym przekleństwem i złapał się za udo. Reakcją na gwałtowny ruch był zawsze skurcz. Kiedy napięcie mięśni minęło, pokuśtykał przez pokój w samych skarpetkach i otworzył zamrażarkę. Postawił pudełka z gotowymi posiłkami niedbale, nie zadając sobie nawet trudu, żeby przeczytać etykiety. Była prawie dziewięta trzydzieści, a on jeszcze nic nie jadł. Wyjął mrożonkę z potrawką z kurczęcia i zaczął czytać sposób przygotowywania.

Willy wstała z sofy, na której przez ostatnie pół godziny wpatrywała się nie widzącym wzrokiem w plany architektoniczne domu. Szukając listu Franka przerzuciła leżący na stoliku do kawy stos planów nieruchomości i fotografii lotniczych. Wreszcie znalazła go w łazience, na krawędzi wanny i zaniósła do pokoju.

Do licha, czemu nie? Nie miała ochoty bawić się w dyplomację, ale Frank był zbyt miły, żeby go urazić. Poza tym, skoro drugi dom jest wynajęty, będzie musiał zamieszkać u

niej.

Frank oczywiście będzie chciał stale jadać razem z nią. Chociaż czyjeś towarzystwo w czasie posiłków sprawiłoby jej przyjemność, nie wie, czy będzie miała dość cierpliwości, żeby znieść jego wieczne plątanie się pod nogami. Był taki miły. Był najlepszym przyjacielem Kiela i w czasie strasznych miesięcy po jego śmierci, stał się również jej przyjacielem.

W miarę upływu czasu przyjaźń ta zaczęła przekształcać się w coś, co powodowało, że czuła się coraz bardziej nieswojo. Przyjacielskie pocałunki w policzek stawały się coraz dłuższe, poklepywania po plecach zmieniały się w pieszczotę, a wyraz jego oczu przypominał jej Spota, kiedy odbierali go od hycła. Spot nie odstępował jej nawet na chwilę i obawiała się, że Frank będzie zachowywać się tak samo. Zwlekąca przez trzy dni, a potem zatelefonowała:

- Frank? Tu Willy. Dostałam twój list i... hmm... oczywiście, bardzo bym chciała cię zobaczyć, ale czy masz pojęcie, jak jest gorąco i wilgotno w sierpniu? Zbliża się pora huraganów.

- Hallo, kochanie, jak się masz? - Frank radośnie zignorował jej wahanie. - Jaki jest ten facet, którego podesłałem? Przepraszam, że nie mogłem ci udzielić więcej informacji na jego temat, ale wiesz, jak to jest. Dostałem telefon i to wszystko.

Willy nie potrafiła znaleźć żadnej odpowiedzi. Gdyby podzieliła się z nim swoimi prawdziwymi myślami, Frank najprawdopodobniej przyjechałby tu natychmiast, nie czekając na weekend.

- No cóż, Frank, wiesz, że będę zajęta przez część dnia, prawda? Spróbuję ci załatwić rejsy wędkarskie i może będziesz chciał.... - Nie mogła wymyślić niczego, co nie wychodziłoby lepiej w wykonaniu dwojga ludzi. - Trochę się poopalać - skończyła niepewnie.

- Będziemy leżeli na plaży cały dzień, a potem, po zachodzie słońca, usiądziemy sobie i pogadamy przy drinku i kolacji. Co ty na to? Nie zapowiada się bosko? Przywiozę dwa wspaniałe befsztyki. Poprosiłem kierownika u Claude'a, żeby je dla mnie zamówił. Wpadnę po nie wyjeżdżając z miasta. - Głos Franka przeszedł w intymny pomruk, który zawsze ją irytował.

- Nie mogę się już doczekać, kochanie. Musimy poważnie porozmawiać.

Willy odłożyła słuchawkę z uczuciem straszliwego przygnębienia.

- Chodź, Spot - oznajmiła posepnym tonem - pójdziemy na spacer.

Minęły trzy dni od czasu, kiedy po raz ostatni widziała swojego sąsiada. Jak do tej pory unikała go z powodzeniem, albo może to jemu udawało się unikać jej? Chłopcy wpadli

do niej któregoś dnia po skończonych pracach domowych i powiedzieli, że facet może nie jest aż takim flejtuchem, za jakiego go początkowo uważali.

- Dał nam pięć dolców napiwku - pochwalił się Maurice.

- Nie masz nic przeciwko temu, Willy? - zapytał z niepokojem Denny.

- Możesz nam nie płacić za dzisiejszy dzień - oznajmił Buddy.

- Chłopcy, obsługa jest wliczona w koszty wynajmu, a więc jeżeli uda się wam coś zarobić na boku, to wasz zysk.

Prawdę mówiąc była zaskoczona. Nie przyszło jej do głowy, że ten człowiek może okazać się aż tak przywoity, żeby nagrodzić chłopców napiwkami. Nie sposób było uznać ich za najlepsze pokojówki na świecie, ale byli chętni i pod ręką.

Nalała sobie szklankę lemoniady. Potem wzięła sporządzony przez siebie plan posiadłości, fotografię lotniczą i skierowała się w stronę hamaka. Potrzebowała trochę ćwiczeń umysłowych, żeby otrząsnąć się ze swojej letniej chandry. Być może ulokuje na tym terenie jeszcze kilka domów, zajmie się ich zaprojektowaniem i pomyśli o jak najwcześniejszym rozpoczęciu budowy w przyszłym roku. Koszty w końcu się zwrócą, a poza tym ma doskonale układy z bankiem.

- Dzień dobry, pani Faulkner - powiedział Bainbridge podchodząc do niej niepostrzeżenie.

Odczekała, aż obejdzie hamak i znajdzie się w zasięgu jej wzroku, a potem zupełnie świadomie przywitała go przyjaznym, zupełnie nieoficjalnym tonem.

- Dzień dobry, Bainbridge. Co pan porabia?

W jego oczach błysnęło coś, co niemal przypominało rozbawienie.

- Czyniłem całopalne ofiary na moim piecu kuchennym. - Podjął już prawie ostateczną decyzję, że wyświadczy łaskę jakiemuś umęczonemu wydawcy i wyrzuci do śmieci tekst, nad którym zaczął pracować w szpitalu.

- A jak się miewa forteca z wodorostów?

- Ostatnio przyływ był zbyt wysoki, by można było coś robić. Przedwczoraj niemal mnie przyłapał samolot inspekcyjny. Zaczęłam brodzić po wodzie i udawać, że moje widły to grabie do połowu małży.

Bain rozejrzał się i spostrzegł składane krzesło. Postawił je niedaleko hamaka i usiadł.

- Pozwoli pani. Chodzenie nie sprawia mi specjalnego kłopotu, ale stanie mnie wykańcza.

- Widzę, że nie używa pan dziś swojej laski.

- A czy próbowała pani podierać się laską na piasku?

- Niech pan zdejmie piłkę tenisową z haka holowniczego w jeepie i założy ją na czubek laski. Może to pomoże.

- Pomysłowe - stwierdził z podziwem Bain. - Ale co z jeepem?

Willy pociągnęła za linkę, którą kołysała hamak, a potem schwyciła plik fotografii, żeby nie ześlizgnęły się na ziemię.

- Piłka jest tylko po to, żebym nie brudziła sobie kolan smarem, kiedy ładuję albo rozładowuję samochód.

Bain spoglądał na wodę. Rano przeszedł już wymaganą milę, ale po wyjeździe chłopców poczuł, że nie może usiedzieć w miejscu. A kiedy znowu pojawiła się ona i w swoim hipnotycznym rytmie skierowała się przez piaszczyste podwórze w stronę hamaka, doszedł do wniosku, że najwyższa pora zwiększyć dzienną normę do półtorej mili.

- Czy chłopcy dobrze się sprawują? - zapytała po trwającej kilka chwil ciszy.

- Tak, są zupełnie nieźli - uśmiechnął się - i Willy, zaskoczona spostrzegła, jak bardzo się zmienił..

- Ale dlaczego u licha zrobiła pani z chłopaków pokojówki?

- Sama nie wiem - również się uśmiechnęła. Grube, jasne rzęsy na chwilę przesłoniły jej ciemnozielone oczy.

- Dowiedziałam się, że wcale nie jest pan takim flejtuchem, Bainbridge.

- Miło mi to słyszeć. I proszę mi mówić Bain, dobrze? Moja mama miała dość dziwaczne pomysły, kiedy nadawała imiona swoim dzieciom.

- Chce pan powiedzieć, że jest jeszcze ktoś podobny do pana? No, proszę się przyznać.

- Mam siostrę o imieniu Richmond i młodszego brata, który nazywa się Paterson - przez jedno t.

- Przynajmniej wybrała coś, co dobrze się zdrabnia. Co by było, gdyby nazwała pana Ypsilanti? Albo Omaha?

- Zanim wyszła za męża, nazywała się Mary Jones i może odegrało to jakąś rolę. A pani pewnie ma na imię Wilhelmina? Albo może coś bardziej wymyślnego - na przykład Willow?

- Albo też Wilmington - Willy pociągnęła za linkę rozkołysując mocniej hamak. - Wilhelmina - przytaknęła w końcu. - Na drugie imię mam January, a więc skoro udało się panu wykpić tylko Bainbridgem, może się pan uważać za szczęściarza.

Jego zęby ponownie błysnęły w uśmiechu i Willy poczuła jakiś dziwny skurcz w okolicy żołądka. Doszła do wniosku, że może jest to pora na drugie śniadanie.

- Czy chce pan kukurydzianego chleba z masłem orzechowym i miodem?

- Nie wiem, czy jest to oznaka przyjaznych uczuć, czy po prostu usiłuje się pani na mnie odegrać za niezbyt właściwe zachowanie przed paroma dniami? Willy zesza z hamaka i podniosła pustą szklankę oraz swoje materiały robocze.

- Niezbyt właściwe zachowanie - powtórzyła. To dość neutralne zdanie powracało echem w jej myślach. Oczy Willy błysnęły rozbawieniem - niedopowiedzenie było gigantyczne. - Niech pan nie będzie dla siebie aż tak surowy, Bain. Nie może pan być aż tak zły, za jakiego usiłuje pan uchodzić.

- Nie jestem pewien, czy mam to traktować jako próbę pocieszenia, czy jako szyderstwo.

Willy poprosiła go, żeby przeszedł na werandę. Kiedy przygotowywała w maleńkiej kuchence jedzenie, Bain mógł ponownie się rozejrzeć i dostrzegł rzeczy, które za pierwszym razem umknęły jego uwagi.

Na przykład, czy pod tą stertą papierów nie ukrywa się przypadkiem stół Giacomettiego? A na ścianie z całą pewnością wisi rysunek Leonarda Baskina.

Usłyszał za sobą brzęk kostek. lodu, odwrócił się i odebrał od niej tacę z napojami. Po chwili wniosła drugą, na której znajdował się plik papierowych serwetek, jeden nóż, słoik z masłem orzechowym i słoik z miodem oraz trzy wielkie kromki złocistego, kukurydzianego chleba.

- Mam nadzieję, że lubi pan mleko - rzekła siadając na krześle. - Niektórzy mają na nie uczulenie - wzięła szklankę i wypila duży łyk. Wokół jej ust została cienka, biała obwódka, która zupełnie irracjonalnie zafascynowała Baina.

- O ile wiem, nie jestem na nic uczulony - odparł. Poza kształtnymi, zielonookimi blondynkami z piegami w każdym widocznym miejscu. Czy miała piegi również tam, gdzie nie mógł dotrzeć wzrokiem? Kiedy odbierał od niej kawałek chleba obficie posmarowany orzechowym masłem i miodem, doszedł do wniosku, że sprawa ta niezmiernie go intryguje.

Wcale nie było złe, zwłaszcza gdy przyzwyczaił się do konsystencji i smaku. Jedząc, rozejrzał się mimochodem po przypadkowych, nieco zakurzonych meblach. Każdy egzemplarz był najwyższej klasy, W ogóle wszystko, co do tej pory widział, świadczyło o dużych pieniądzach i wspaniałym goście. Im więcej dowiadywał się o tej bosej hurysie o leniwym wyglądzie, tym bardziej go intrygowała.

- Czy zawsze pani tu mieszkała? - zapytał sięgając po słoik z masłem i wspólny nóż.

- Cztery lata - odpowiedziała lakonicznie Willy. Oparła bosc stopy na poręczu, dzięki czemu doskonale widział jej wspaniałe nogi.

- A przedtem? - Kiełkowało w nim mimowolne zainteresowanie i nawet nie próbował

go stłumić.

- Wychowałam się w Hobe Sound na Florydzie, zdobyłam uprawnienia pośrednika handlu nieruchomościami w Północnej Karolinie, a potem zaczęłam pracę w Nags Head.

Hobe Sound. Jeżeli pochodzi z takiego środowiska, wyjaśnia to sprawę Baskina i Giacomettiego. Wprawdzie zajęcie się handlem nieruchomościami nie bardzo pokrywało się ze stereotypem kobiety z wyższych sfer, ale nie stanowiło dla Baina specjalnego zaskoczenia. W końcu Suzanne pochodziła z górniczego miasteczka w Zachodniej Virginii.

- Pani mąż też zajmował się pośrednictwem nieruchomościami? - próbował zgadnąć.

Willy westchnęła mimowolnie, zupełnie nie zdając sobie sprawy, jak reaguje na to jej luzny stanik, - Kieł był inżynierem budowlanym.

- Skoro był inżynierem budowlanym, to dziwię się, że nie zdawał sobie sprawy z możliwości występowania erozji w takim miejscu jak to. .

- Właściwie nigdy tego nie widział. Parcela trafiła na rynek, kiedy był praktykantem, i kupiliśmy ją jako inwestycję na przyszłość. Miał zamiar opracować plan zagospodarowania, przeznaczając po trzy akry na każdy dom. Ja z kolei zainteresowałam się projektowaniem praktycznych, atrakcyjnych posesji, których utrzymanie - domu i otoczenia - nie wymagałoby większych wysiłków.

Odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy. Bain wykorzystał to, przesuując wzrokiem po całej jej postaci i wreszcie zatrzymał spojrzenie na twarzy. Kiedy na wpeł leżała w fotelu z uniesionymi nogami, zamkniętymi oczyma i rękami złożonymi na łonie, nie poruszał się ani jeden mięsień jej ciała. Jej nogi, pokryte piegami bursztynowego koloru i lekką mgiełką jedwabistego, niemal dziecięcego puchu miały doskonały kształt. Dłonie również były piękne, ale nosiły wyraźne ślady pracy fizycznej. Zupełnie zbędnej pracy. Potrzebowała mężczyzny, który by zadbał o to wszystko.

- Czy zawsze zachowuje się pani tak swobodnie w obecności obcych mężczyzn? - zapytał. Dziwne, ale wiedział, że Willy nie udaje. Cienka fałda materiału okrywająca jej piersi, poruszała się w rytm wolnych, regularnych uderzeń serca, a rzęsy kładły się na policzkach grubą, złocistą zasłoną.

- To przez wilgotność. Gdybym urodziła się w suchym, zimnym klimacie, kipiałabym energią. W każdym razie dzięki tej teorii racjonalizuję moje wrodzone lenistwo.

Bain zmienił pozycję, wysuwając chorą nogę do przodu.

- Mam nadzieję, że to zaraźliwe. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłem na takim luzie. Niekiedy wydaje mi się, że zupełnie zeszywniały mi mięśnie karku.

Willy obróciła głowę, nie unosząc jej z oparcia fotela.

- Czy na tym właśnie polega pański problem? To koszmarne. Czy był pan taki sam, zanim wydarzył się ten wypadek z pańską nogą?

Tydzień temu zmroziłby spojrzeniem każdego, kto ośmieliłby się zadać tak delikatne pytanie, ale teraz właściwie sam się o nie prosił.

- Nie zastanawiałem się nad tym, ale chyba tak. Pracowałem zawsze w dużym napięciu psychicznym, nawet jeżeli nie było tak zwanych niepokojów politycznych.

- Jaka to była praca?

- Chyba można ją nazwać rozwiązywaniem kłopotów na skalę międzynarodową. Pracowałem dla korporacji, składającej się mniej więcej z tuzina międzynarodowych kompanii. Mam dyplom z prawa i znam języki obce. - Przesłał wypowiedzenie dzień po pierwszej operacji, w czasie której składano mu strzaskaną nogę.

Wsluchując się w senny akompaniament cykad i świerszczy, Willy czuła, jak bardzo pobudza ją jakiś nieuchwytny prąd, który płynie od siedzącego obok niej mężczyzny.

- Czy ma pan zamiar do tego wrócić? - spytała.

- Wątpię - wzruszył ramionami. - Teraz stało się to grą młodych ludzi. Byłem dość młody, żeby walczyć w Wietnamie, ale nie sądzę, że zgłosiłbym się na drugą kolejną służbę.

- Gdzie się pan zatrzymywał, w przerwach między wędrówkami po świecie?

- Miałem mieszkanie w Aleksandrii, ale równie dużo czasu spędzałem w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Dorastałem w ciągłym ruchu.

Od pierwszej chwili wzbudzał w niej zainteresowanie. Ale dopiero teraz, kiedy był w lepszym nastroju, mogła zadać mu bardziej osobiste pytania:

- Czy jest pan żonaty? Czy ma pan dzieci?

Zobaczyła, jak mięśnie jego szczęk napinają się, nozdrza rozchylają lekko, a palce powoli zaciskają na poręczach fotela. Tym razem posunęła się za daleko.

- Nie chciałam być wścibska, Bain. Pomyślałam tylko, że może chciałbyś zaprosić tu swoją rodzinę. Wiem, że rząd płaci za ciebie z jakiegoś funduszu na takie sprawy, ale nie podniosłabym ceny, gdybyś chciał zaprosić kogoś innego. Żonę... bliską przyjaciółkę...

Bain dał się uśpić spokojem tego miejsca, pozbawionym natręctwa sposobem bycia Willy. Zanim się zorientował, doprowadziła do tego, że zaczął czuć do niej słabość, ale do diabła nie miał zamiaru znowu się przed nią wywnętrzać. Nigdy!

- Pragnę panią poinformować, pani Faulkner, że jestem samotny, a moja bliska przyjaciółka, jak ją pani nazwała, jest obecnie zainteresowana czym innym. I dlatego dałem się namówić na przyjazd tutaj, bo chciałem mieć trochę spokoju i odpoczynku. I ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, pani Faulkner jest pani macierzyńska troska.

Willy, zanim odpowiedziała, zrobiła kilka głębokich oddechów.

- A teraz, kiedy już pan to z siebie wyrzucił, Bain, niech się pan znowu rozluźni. Nie mam macierzyńskich skłonności i nie tak łatwo wyprowadzają mnie z równowagi mali, zepsuci chłopcy, którzy wykrzykują przekleństwa, żeby dowieść swojej męskości. - Zdjęła nogi z poręczy i spokojnie zaczęła sprzątać resztki posiłku.

- W czasie weekendu przyjedzie do mnie gość, mogę więc pana zapewnić, że będę zbyt zajęta, aby zakłócać pański spokój i wypoczynek. A teraz, jeżeli pan sobie życzy, może pan tu zostać i ochłonać, ja natomiast pójdę poszukać małży na obiad. Spot i ja mamy wielką ochotę na dobry, gęsty sos z małży i czosnku.

Bain, dotknięty do żywego jej chłodem i opanowaniem, a także dręczony nieprzyjemnym wrażeniem, że znowu zrobił z siebie głupca, zaklął pod nosem i zerwał się z fotela. Nagle zgiął się wpół i schwycił za udo.

- Co się stało, Bain? Co się stało? - przerażona jego nagłą bladością i grymasem bólu, Willy upuściła tacę. Posadziła go z powrotem w fotelu, uklękła i wsunęła dłoń pod nogawkę spodni. Poczwała twarde jak kamień mięśnie, drgające pod jej dłonią.

- To nic - wychrypiał.

Spojrzała na niego chłodno i podwinęła mu nogawkę.

- Niech pani tego nie robi! Do diabła, czy może mi pani dać trochę spokoju?

Zignorowała jego protesty, nie zwróciła też uwagi na olbrzymią szramę, wyglądającą na tle pokrytej ciemnymi włosami skóry jak różowa satyna. Jej dłonie spoczęły na drgającym mięśniu i z całej siły przycisnęła palcami źródło skurczu.

- O Boże, Willy, to boli! - jęknął bezradnie.

- Bądź teraz cicho. Za chwilę wszystko ustanie ~ powiedziała, z trudem szukając tego małego punktu, który był głównym ośrodkiem bólu. Nacisnęła kciukami. Bain wrzasnął i opadł na fotel, dysząc chrapliwie.

- Skąd pani wiedziała? - zapytał, kiedy mógł znowu mówić.

- Mój mąż miał takie samo miejsce na plecach. Terapeuta nauczył mnie, jak znaleźć główny ośrodek skurczu i rozluźnić mięsień. - Teraz jej dłonie działały kojąco. Gładziła paskudne szramy pokrywające z boku nogę. Czubkami palców masowała napięte mięśnie aż do ustąpienia skurczu.

- Czy to się często zdarza?

Jego twarz pokryta była kroplami potu, ale w końcu westchnął głęboko z ulgą. -
Zazwyczaj tylko wtedy, kiedy się zapomnę i wykonam zbyt gwałtowny ruch.

k.

- No to niech się pan nie rusza - powiedziała Willy po prostu. - Niech pan tu zostanie i zdrzemnie się. Będę na zewnątrz. Ani ja, ani Spot nie będziemy siedzieli panu na karku.

Spojrzał w dół, na jej otwartą, szczerą twarz i poczuł, że coś w nim się odmienia. Wciąż klęczała między jego udami, trzymając dłonie na chorej nodze i zaniepokojona patrzyła na niego z rozchyłonymi ustami. Robiła wrażenie, jakby zupełnie wyleciały jej z pamięci ostre, niesprawiedliwe słowa, które cisnął jej w twarz parę chwil temu.

Wyciągnął ręce i oparł na jej ramionach. Trzymał ją, jakby się bał, że odsunie się od niego.

- Willy... - Jego głos brzmiał dziwnie bezcielesnie w atmosferze pełnej niemal elektrycznego napięcia, jakie nagle powstało między nimi.. - Najmocniej panią przepraszam za wszystkie minione i przyszłe przykrości. To nie pani problem, ale mój. I staram się go rozwiązać.

Willy nie była w stanie się poruszyć, nawet gdyby jej życie od tego zależało. Czuła się jak zawieszona w czasie i przestrzeni, zawieszona siłą jego dłoni, pełnym bólu ogniem w jego oczach. Czuła, że coś przyciąga ją nieubłaganie, niebezpiecznie blisko do jego ognia. Zbliżała się do niego chętnie i wreszcie otoczyła go ramionami w pasie.

- Masz pełne prawo wyrzucić mnie z domu, ale Willy... - Jego głos przeszedł w gardłowy szept, który podniecał ją do szaleństwa. - Ale teraz muszę cię pocałować. Muszę... - Przerwał, widząc jak powoli, sennie unosi ku niemu twarz.

ROZDZIAŁ 4

W ostatniej chwili spróbowała się cofnąć, ale było już za późno. Przywarli do siebie jak przyciągnięci magnesem, a surowo zaciśnięte wargi Baina stały się nagle delikatne i miękkie. Zadrżała i poddała się potężnej sile pożądania, które dojrzywało w niej tak długo. Jej plecy wygięły się, piersi przywarły mocno do muskularnego torsu, a gdy ją przytulił, otaczając ramionami, nagle uświadomiła sobie narastającą w jego ciele żądzę.

Uda Baina uwięziły ją, a dłonie błędziły gorączkowo po jej plecach, od wypukłości pośladków po maleńkie zagłębienie u podstawy karku. Jakaś ocalała odrobina rozsądku ostrzegła ją rozpaczliwie, że wszystko jest nie tak, że nie jest na to przygotowana, ale zakłęcie rzucane przez mocne, elastyczne mięśnie, słodycz pocałunków, czułe słowa bez związku były nie do odparcia. Rozchylając usta pod naporem jego języka przestała myśleć, stała się bezwolna. W chwili, gdy cofnął wargi, była ledwie przytomna.

- Przysuń się bliżej - wyszeptane słowa dotarły do jej ucha, podczas gdy dłonie Baina skłaniały ją do ocierania się wolnym, uwodzicielskim rytmem o jego ogarnięte podnieceniem ciało. - Ten fotel jest za mały... Boże, jak mogę mieć cię przy sobie jeszcze bliżej?

Poczuła, jak unosi ją do góry. Fotel zatrzeszczał alarmująco i Bain zaklął cicho, przyciskając usta do wilgotnej skóry jej szyi. Poczuła gorący język przesuwający się po wgłębieniu między jej obojczykami, a potem dłoń Baina ujmującą pierś ledwie okrytą materiałem stanika. , .

- Bain, to absolutnie nie... - przerwała z westchnieniem, kiedy z wrażliwych zakończeń nerwów jej sutka uderzyła błyskawica, przenikając w pustkę jej ciała. - Och, proszę - szepnęła bezsilnie. - Nie rób tego.

Bain nie mógł poruszyć nogą, plecy bolały go z napięcia, a fotel przechylał się do przodu. Oddałby wszystko, co ma, by położyć ją na podłogę, opaść na jej miękkie, wilgotne ciało i uwolnić się od piekielnego, doprowadzającego do szaleństwa rozkosznego bólu. Powinien okazać się wystarczająco dorosły, żeby umieć opanować takie pragnienia, ale Willy zaskoczyła go zupełnie.

Wolno, niechętnie uniósł głowę i popatrzył jej w oczy. Przez cienkie warstwy materiału oddzielające ich ciała czuł uderzenia jej serca - bijącego równie szybko jak jego. - Jak się to stało? - wychrypiął. Próba uśmiechu przekształciła się w bolesny grymas.

Willy uwolniła się z jego objęć i cofnęła, kucając na piętach. Zdmuchnęła kosmyk włosów z twarzy i wcale nie próbowała wypierać się swojej części winy. - Sądzę, że to się

stało, kiedy masowałam twoje udo. Przepraszam, Bain... Ja... Mnie to również zaskoczyło.

- Chyba najbardziej zawinił sierpniowy upał. - Prawie całkowicie panował już nad głosem, choć miał wrażenie, że cała reszta jego osobowości pozostawała nieco z tyłu. - Wszystko może się zdarzyć, kiedy jest tak gorąco i wilgotno. Lepiej pójde wziąć prysznic, a potem wrócę i znowu cię przeproszę.

- Prysznic owszem ~ opanowała się Willy - ale możesz zapomnieć o przeprosinach. Pokażę... powiem ci - poprawiła się szybko - jak znaleźć odpowiednie punkty i sam zajmiesz się swoimi skurczami mięśni. Jeżeli będziesz spacerował zgodnie z zaleceniami, wkrótce się ich pozbędziesz. Pamiętam, co mówił terapeuta... Kiedy mięśnie ci się wzmocnią, będziesz mógł chodzić na bosaka. Wbijanie pięt w grząski piasek powinno...

- Willy, bądź przez chwilę cicho - przerwał jej łagodnie Bain. - Słuchaj, chciałbym ci oświadczyć, że nie mam zwyczaju rzucać się na obce kobiety, nawet jeżeli zwabiły mnie do siebie obietnicą kukurydzianego chleba z masłem orzechowym. Możesz mi wierzyć albo nie, ale zazwyczaj postępuję nieco subtelniej. Z drugiej jednak strony, gdybyś... hmm... - Jego silna opalenizna nabrała zabarwienia starej cegły. - Jak to uprzejmiem powiedzieć?

Willy wstała ostrożnie i cofnęła się.

- Bain, cokolwiek masz zamiar mi powiedzieć, sądzę, że lepiej będzie, jeżeli z tego zrezygnujesz. Cała ta sprawa... Chodzi mi o to, że oboje...

Nie zwracając uwagi na jej słowa, rzekł:

- Powiedziałas mi, że jesteś wdową od czterech lat. Willy, nie chcę, żebyś uważała mnie za ciekawskiego, ale..

- To nie pytaj - udało jej się wykrzesać z siebie coś zbliżonego do uśmiechu, choć wargi drżały jej nerwowo. - Przypomnij sobie, co się stało, kiedy ja zaczęłam zadawać osobiste pytania. Czy chcesz, żeby znowu wybuchła między nami wojna?

Jego ciemnoszare oczy błysnęły gorzkim rozbawieniem.

- Może byłoby warto. Nie... przepraszam cię, Willy. Prawdę mówiąc jestem trochę Wstrząśnięty moim..., zapomnieniem się. Uwierz mi, to nie jest dla mnie typowe.

Widząc jego zakłopotanie, stopniowo przestała się mieć na baczności.

- Dlaczego więc nie zapomnimy o wszystkim, co się stało? - zaproponowała łagodnym tonem. Już nie po raz pierwszy jakiś mężczyzna postanowił okazać jej współczucie z powodu wdowieństwa i uwolnić ją od frustracji, prawdziwych lub urojonych.

- Och, Spot - mruknęła do psa. - Czy ja rzeczywiście pamiętam Kiela, czy tylko wspomnienia o nim? Czasami wydaje mi się, że to jakaś sztuka, którą widziałam dawno temu - przerwała, szukając z trudem iłów, które oddałyby jej uczucia. - Ale sztuka się skończyła.

Odniosła wspaniały sukces, teraz jednak scena jest pusta i wszyscy aktorzy poszli do domu. Na co więc jeszcze czekam?

Byli nad cieśniną, w miejscu gdzie Willy pracowała od śniadania. Spot przysunął się bliżej, jego gorące ciało zalatywało psim odorem. Willy roześmiała się drżącym głosem i odepchnęła go. - Dzięki za zrozumienie, przyjacielu, ale chyba lepiej będzie, jak się wykapiemy. Teraz żadne z nas nie nadaje się do towarzystwa.

Wkopywała za workami z piaskiem metalowe tablice, które Maurice przywiózł jej ze złomowiska i była to bardzo męcząca robota. Jakiś czas temu przechodził Bain, odbywający swój poranny spacer. Jak się zorientowała, obecnie pokonywał już prawie dwie mile dziennie.

Uśmiechnął się do niej, ale nie zatrzymał, żeby porozmawiać. Willy wmówiła sobie, że jest z tego zadowolona. Nie próbowała ukrywać faktu, że ją pociągał, ale miała dosyć poczucia realizmu, aby zdać sobie sprawę, iż nic dobrego z tego nie wyniknie. Byli w końcu zupełnie obcymi sobie ludźmi. Nie wiedziała o nim nic poza tym, że odjedzie za kilka tygodni i wróci do spraw oczekujących go w Aleksandrii. Albo w Waszyngtonie czy Nowym Jorku. A może do swojej „bliskiej przyjaciółki”?

A ona musi zostać tutaj. Postanowiła stworzyć tu prędzej czy później piękną, naturalną posiadłość, jaką wyobraziła sobie po raz pierwszy, kiedy szła przez te ciche lasy i ujrzała ze wzgórza wygiętą linię brzegu.

Ale to nie świadomość odmienności ich przyszłych losów sprawiała, że była tak ostrożna w swych kontaktach z Bainem... czy też z jakimkolwiek innym mężczyzną. Wstała i zawołała Spota, żeby biegł za nią na płyciznę. Musiała przyznać się sama przed sobą, co w gruncie rzeczy było największą przeszkodą. Przyjaźń to jedno, ale obawiała się związków, które prowadziłyby do fizycznej bliskości. Jakieś trzydzieści metrów dalej woda była już wystarczająco chłodna i głęboka. Willy zrobiła kilka nieskoordynowanych ruchów i przewróciła się na plecy, by przyglądać się rybołowom kołującym nad nią w poszukiwaniu nieostrożnej zdobyczy. Spot zrobił wokół niej kilka kótek, a potem pobiegł w stronę brzegu, poszczekując głośno.

W chwili, gdy Willy miała już dosyć, Bain właśnie odchodził. Najwyraźniej przez kilka minut bawił się na brzegu z psem, rzucając mu kije do wody. Willy była zdziwiona i niemal rozczarowana, kiedy zdawkowo machnął dłonią, skierował się w stronę prowadzącej przez las ścieżki i zniknął między drzewami.

Przez kilka dni wszystko odbywało się dokładnie według tego samego wzoru. Bain zawsze był gdzieś w okolicy, kiedy wychodziła z domu, żeby popracować na brzegu albo pojechać po zakupy do którejś z okolicznych miejscowości. Byłaby zadowolona z jego

towarzystwa kiedy przetaczała stare opony i przenosiła fragmenty pokruszonych, betonowych bloków, żeby umocnić nimi osypujący się klifowy brzeg, ale nigdy nie zatrzymywał się wystarczająco długo. zaproponowała nawet, że jeśli zechce, może go zabrać samochodem na wycieczkę po wyspie. Czuła się do tego zobowiązana, bo przecież nie zapewniła mu żadnego odpowiedniego środka transportu.

Willy niechętnie przygotowała wiadro mydlin, wzięła przybory do czyszczenia i komplet świeżej bielizny. Odkładała to, dopóki mogła, teraz jednak wyszorowała nawet całą kuchnię. Spot schował się w spiżarni, czując nadciągającą burzę, ale wyszedł znowu na resztki spaghetti.

Włączyła światło i stanęła w drzwiach małej, sympatycznej sypialni. Popatrzyła uważnie. Łóżko było zapiaszczone. Spot ze stoickim spokojem układał się na materacach, gdy drzwi do jego ukochanej spiżarni były zamknięte. Po sprząnięciu musi przeprowadzić całkowitą dezynsekcję tego pokoju. Frank i Spot ledwie się tolerowali. Ale na pewno nie dało się pogodzić ze sobą Franka i pcheł.

Stała w kabince prysznicza i zmywała jej ściany płynem usuwającym pleśń. Nagle usłyszała, że ktoś ją woła. Przerwała na chwilę pracę, wzruszyła ramionami i odkręciła wodę na cały regulator, żeby spłukać ściany. Sama weszła również pod prysznic.

Coś trąciło ją w tylną część uda. Obejrzała się, zaskoczona i spojrzała w dół. - Spot? A co ty tu robisz?

Za posiwiałym pyskiem pojawiła się cała koścista psia głowa, odsuwając na bok zasłonę prysznicza. Spot wyszczerzył się w dumnym uśmiechu.

- Wszystko w porządku? - zapytał z niepokojem Bain z drugiej strony plastikowej zasłony.

- Oczywiście, że wszystko jest w porządku - odparła ostro Willy. - Dlaczego miałyby być inaczej? - Odsunęła kotarę, zapominając o swoim wyglądzie.

- No cóż, przede wszystkim jest prawie pierwsza w nocy. Kiedy zobaczyłem palące się w domu wszystkie światła - na parterze i piętrze, pomyślałem, że może masz kłopoty.

- Przepraszam, że cię zaniepokoiłam. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. - Willy wyszła z kabiny prysznicza. Woda skapywała z niej na świeżo wyczyszczony chodnik, - Ale dziękuję ci za twoją troskę, Bain, - Szybko otrząsnęła się z szoku wywołanego jego niespodziewanym widokiem. To, że ktoś rzeczywiście troszczy się, czy nic się jej nie stało, było miłym uczuciem.

Bain zawahał się w drzwiach łazienki i Willy dopiero teraz zauważyła, że ma na sobie tylko spodnie koloru khaki. Był bez butów, bez koszuli i paska. Nad zamkiem błyskawicznym

brakowało guzika.

- Bain, jestem ci naprawdę wdzięczna, że tu przybiegłeś.

Chyba nie nadwyrężyłeś sobie nogi. Nie sądziłam, że to kogoś zaniepokoi. Skąd mogłam wiedzieć, że jest już tak późno.

- No cóż, jest późno - mruknął. Nagle poczuł się zakłopotany tym, że jego obawy się nie potwierdziły.

- Czy chciałbyś filiżankę kawy? Chyba że kofeina ci szkodzi?

Przeszedł za nią przez niedbale urządzony salonik i Willy była zadowolona, że usunęła pudełka z wyrzuconym przez morze drewnem i stare, pokryte osadami wody morskiej butelki, które zbierała na brzegu. Wyłączając po drodze światła, poprowadziła go przez małą sypialnię, gdzie na środku skotłowanego łóżka leżał stosik świeżej pościeli.

- Skończę jutro - mruknęła, przechodząc szybko przez pokój. - Frank pewnie nie przyjedzie wcześniej niż w porze kolacji.

Bain szedł po stromych schodach, mając tuż przed oczyma okrągłe pośladki obciążone mokrymi, różowymi szortami. Nawet nie zwrócił uwagi na bolesne drgania przesywające mięśnie uda.

- Kim jest Frank? - zapytał. Schwycił się balustradki i podciągnął na ostatnie dwa stopnie.

- Franklin Smith. Jest urzędnikiem rządowym, pracuje w jednej z tych agencji o tasiemcowym skrótce. Przysłała mi ludzi. Przysłał mi ciebie.

- Przypomnij mi, żebym wypił toast za jego zdrowie - powiedział sucho Bain mijając sofę, na której znajdowała się złożona bielizna pościelowa, a potem parę wyściełanych foteli ze stosami czasopism. Nie zaliczał się do najporządniejszych mężczyzn na świecie - pedanteria Suzanne niekiedy doprowadzała go prawie do szału - ale to już była przesada. I w dodatku szorowanie kabiny prysznicowej w późnych godzinach nocnych?

Kręcąc głową wyszedł na osłoniętą werandę i usiadł w tym samym fotelu co zazwyczaj. Natychmiast przypomniał sobie niedawny incydent i wolał zająć się bezpieczniejszym tematem.

- Może być rozpuszczalna - zawołał, słysząc znajome pobrzękiwanie w kuchni.

- Parzona będzie równie szybko - odrzyknęła w odpowiedzi Willy. - A poza tym rozpuszczalna wychodzi mi paskudnie.

Uśmiechnął się w przytulnej ciemności. To pasowało do takiej kobiety jak Willy; opanuje bezbłędnie kunszt przyrządzania *huevos rancheros*, a popsuje coś tak prostego jak rozpuszczalna kawa. - Lepiej załóż na siebie coś suchego, dobrze?

- Dziękuję, prawie o tym zapomniałam. Ze śmietanką i cukrem?

- Czarną.

Kilka minut po tym jak poczuł nęcący zapach świeżo zaparzonej kawy, pojawiła się Willy z tacą. Miała na sobie męską koszulę sięgającą do połowy uda. Dłoń Baina zawisła nad tacą długą chwilę, gdy rozważał parę dość ryzykownych pomysłów.

- Poczęstuj się kanapką. Byłam głodna i zrobiłam tyle, że wystarczy na dwoje. Mam nadzieję, że lubisz smażone kraby na zimno z chrzanem.

- I bez tego mam kłopoty z zaśnięciem - powiedział, robiąc pełną rezygnacji minę, i sięgnął po jedną z niezgrabnych kanapek. Zwisające z grubej kromki ciemnego chleba odnóża kraba wyglądały bardzo apetycznie. - Nigdy nie mogłem odmówić sobie kraba na zimno o pierwszej w nocy. Opowiedz mi o tym Franku. Czy zawsze przyjeżdża, żeby sprawdzić lokatorów, których ci przysłał?

- Chciałabym, żeby chodziło tylko o to - wymamrotała Willy z pełnymi ustami. - Obawiam się, że chce się ze mną ożenić.

Bain upił łyk kawy, przyglądając się badawczo swej rozmówczyni, A więc to jest ten mężczyzna. Zamyślił się. Jej reakcja sprzed kilku dni intrygowała go do tej pory - drażniąca zmysły mieszanina pragnienia i powściągliwości. Jeśli jej poprzednie małżeństwo było dobre, może mieć kłopoty, kiedy pierwszy raz znajdzie się w łóżku z innym mężczyzną, ale potem...

- Czy nie jesteś zainteresowana tym małżeństwem? - odważył się spytać.

Willy ziała starannie.

- Nie wiem. Nie jestem pewna, czy mogłabym ponownie się zakochać - przyznała szczerze. - Na ogół wydaje mi się, że ta sytuacja mnie zadowala, ale czasami... Och, nie wiem.

- Mylisz się. Masz przed sobą jeszcze wiele lat, a wątpię czy z wiekiem samotność staje się łatwiejsza do zniesienia. Willy położyła stopy na poręczy, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że oczy Baina spoczęły na jej udzie, z którego zsunęła się poła koszuli. - Nie jestem do końca pewna, czy czuję się samotna, Bain. Czy brak woli jest tym samym co samotność? Wiesz, niekiedy mam kłopoty z wymyśleniem powodu, żeby wstać z łóżka.

- Dlaczego więc wstajesz?

- Bo zaczynam być głodna - przyznała z uśmiechem, który zniknął niemal natychmiast. Oczywiście, masz rację w sprawie erozji. Jeden mocny sztorm i wszystkie moje żałosne wysiłki zostaną zmyte - razem z połową wzgórza.

- Dlaczego więc nie zrobisz tego we właściwy sposób?

Wzruszyła ramionami. - Kto to wie? Może potrzebuję silnych wrażeń, w rodzaju

nalotów samolotu inspekcyjnego? Kiedy samolot zawraca do Manteo na resztę dnia, zakradam się i kopię dziury na plaży, żeby napełnić worki piaskiem. Na dobrą sprawę jest to nielegalne, ale następny wysoki przyptyw i tak zasypuje otwory. Nie robi to więc różnicy.

Co mnie tak w tobie fascynuje, ty czarownico w kostiumie w groszki? - myślał Bain obserwując kobietę, która ułamywała krabom odnóża i ogryzała je z namysłem. Była jedyna w swoim rodzaju, z kimś takim nigdy dotąd jeszcze się nie spotkał. Jak powinno się postępować z taką kobietą jak Willy Faulkner? Po chwili namysłu nie był już pewien, czy w ogóle chce to wiedzieć. Doszedł do wniosku, że żaden mężczyzna nigdy nie był bezpieczny w jej towarzystwie.

Willy z na wpół przymkniętymi oczyma odchyliła się do tyłu i mówiła dalej swoim łagodnym głosem, przeciągając słowa. Bain z trudem przezwyciężył pokusę, żeby wyciągnąć rękę i strząsnąć okruchy z jej pełnych piersi.

- Czy miałaś kiedyś ochotę zagrać komuś na nosie? - zapytała z namysłem. Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej: - Chyba nigdy dotąd tego nie zrobiłam naprawdę, ale kiedyś w czasie korzystnego układu pływów, usypałam z piasku czterometrową postać grającej na nosie kobiety z łopata. To było coś wspaniałego, Bain - odpływ był wyjątkowo niski, dzięki czemu miałam dużo przestrzeni i mnóstwo mokrego piasku. Niestety, zanim skończyłam, zerwał się szkwał i samolot nigdy nie miał przyjemności zetknąć się z owocem mojej krótkotrwałej kariery artystycznej. Westchnęła melodramatycznie. - Potem próbowałam przymocować rękawiczkę do sterczącego z wody czubka gałęzi obumarłego drzewa, ale wrony obrywały w niej palce. Kiedy następnym razem będę w bibliotece, poszukam książki z ilustracjami obelżywych gestów i coś z niej wypróbuję.

Bain zachichotał i pokręcił głową z mimowolnym podziwem. Była rzeczywiście jedyna w swoim rodzaju - czarująca mieszanina dziecka i kobiety, łobuziaka i uwodzicielki. Gdyby wiedział, co jest dla niego dobre, wyniósłby się stąd do diabła, nie zwracając uwagi na chorą nogę.

- Co o tym myślisz? - zapytała poważnie. - Czy dostają hopla? Czy to przesycone solą powietrze skorodowało moje baterie?

- Może rzeczywiście potrzebujesz małżeństwa z tym całym Frankiem, żeby znowu pchnąć swoje życie na właściwe tory - Zanim te słowa wyszły z jego ust, Bain natychmiast odrzucił to łatwe rozwiązanie. Kobieta taka jak Willy Faulkner wymagałaby zupełnie specjalnego traktowania i skoro ten Smith nie budził w niej większego entuzjazmu, to najwidoczniej nie był dla niej odpowiednim mężczyzną.

- Uważasz, że dla każdej kobiety małżeństwo jest najwłaściwszym rozwiązaniem?

Bain, wyczuwając w jej głosie nutkę wyzwania, zaprzeczył gwałtownie. - Ale dla kobiety, której małżeństwo było szczęśliwe - a twoje małżeństwo - jak sądzę - było szczęśliwe, to miałyby sens.

- Byłam bardzo szczęśliwa z Kielem i dlatego nie mogłabym nawet myśleć o jakiejś namiastce.

- Ale to, co mówisz, Willy, nie jest racjonalne - oznajmił Bain, zastanawiając się, czy przypadkiem nie występuje jako swój *advocatus diaboli*. - To tak jakby porównywać jabłka i pomarańcze.

- Chcesz kanapkę? Mam w lodówce jeszcze jednego kraba.

Bain odezwał się z narastającym rozdrażnieniem: - Willy, na litość boską, to przecież niemal pora śniadania. Cofam to, co powiedziałem - nie wychodź za. mąż, za nic w świecie. Każdego zdrowego na umyśle mężczyznę doprowadzisz do obłądu w ciągu trzech dni.

- Dziękuję za poparcie. Będę o tym pamiętać, kiedy Frank się tu zjawi - pewna nuta nonszalancji w jej głosie wynikała z niespodziewanej urazy. Postawiła stopy na podłodze i dumnie uniosła głowę.

- Szczerze współczuję twojemu Frankowi - mruknął Bain ostrożnie szykując się do uniesienia swego ciężkiego ciała z głębokiego fotela. - Jeżeli będziesz potrzebowała jakiejś pomocy, żeby obronić się przed jego oświadczeniami, daj mi znać. Willy patrzyła pośepnie za nim, gdy kulejąc przeszedł przez pokój i otworzył drzwi wejściowe. Jego nagie plecy błyszczały jak miedź. Niech go diabli porwą. Niech go diabli porwą za to, że tak jej działa na nerwy! Od lat nikomu się to nie udało. A poza tym wszystko nie miało sensu. Przecież nawet nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie w jego słowach tak ją zirytowało. Po prostu zgodził się z nią, że nie powinna nawet myśleć o małżeństwie z Frankiem.

Wstała i sprzątnęła jedzenie, żeby nie zainteresowały się nim mrówki. Miała ciekawsze rzeczy do roboty niż myśleć o tym nietowarzyskim, gburowatym mężczyźnie, który nic dla niej nie znaczył i którego znała niecały tydzień.

Frank przyjechał następnego dnia tuż po czwartej. Willy leżała w hamaku i rozkoszowała się delikatnymi, kapryśnymi powiewami wietrzyku chłodzącymi jej wilgotną skórę. Nie usłyszała cichego, czarnego lincolna, dopóki nie zatrzymał się obok jej samochodu plażowego.

Niechętnie wstała i zaczęła iść dokładnie w tej samej chwili, gdy drzwi samochodu otworzyły się i Frank wyszedł z jego klimatyzowanego wnętrza.

- Cześć, Frank - przywitała go.

- Willy, kochanie! Wyglądasz cudownie! Nastawiła policzek i nie zaprotestowała,

kiedy ominął go i pocałował ją w usta. Niemal czuła jak Frank opada z sił pod wpływem trzydziestopięciostopniowego upału i dziewięćdziesięciotrzyprocentowej wilgotności.

- Wejź do środka, Frank. W każdym pokoju mam wentylator pod sufitem. - Kiedy szedł ciężko obok niej w stronę domu, pozwoliła, by gorącą, miękką dłonią trzymał ją za rękę. Lśniące, czarne buty Franka wyglądały dziwnie nie na miejscu przy gołych stopach Willy. Pomyślała, że powinna była przynajmniej włożyć coś na nogi, ale teraz było już za późno.

- Jaką miałeś drogę? - zapytała, kiedy wchodzili po zapiaszczonych stopniach. Bez względu na to ile razy w miesiącu je zamiatała, zawsze był na nich piasek jakby sączył się z drewna.

- Zupełnie niezłą. Wziąłem kilka nowych taśm tej orkiestry kameralnej, o której ci opowiadałem podczas świąt Bożego Narodzenia. Nagrania na żywo z trasy koncertowej po Austrii i Niemczech Zachodnich. A potem nagrałem kilka notatek i parę listów, których nie zdążyłem podyktować przed wyjazdem. Czy masz tu jakąś maszynę do pisania?

- Przykro mi. Miałam, ale w zimie zużyłam taśmę i do tej pory nie udało mi się jej wymienić.

Frank rozejrzał się wokoło. Z wyrazu jego twarzy nic nie dało się odczytać. Był tu już dwukrotnie, ale za każdym razem mieszkał w drugim domu. Willy przygryzła dolną wargę, widząc, że spogląda na buty, które porzuciła pod stolikiem do kawy, na naczynia po lunchu pośpiesznie wstawione do zlewu i gazety z ubiegłego tygodnia, które nie pamiętała już, czemu zachowała.

- Przygotuję ci coś chłodnego do picia, a potem przyniesiemy twoją walizkę - zaproponowała skwapliwie. - Ulokowałam cię w pokoju na dole. O tej porze roku to najchłodniejsze miejsce w całym domu. - Zabrzmiało to niemal jak próba usprawiedliwienia i Willy spojrzała na niego, chcąc dostrzec reakcję. Chyba nie przypuszczał, że będzie spał z nią razem?

Frank, wyglądający nienagannie w jasnoszarych spodniach, niebieskiej koszuli i krawacie w żółte prążki, którego węzeł właśnie rozluźniał, spojrzał przez wysokie okno wychodzące na drugi dom. Miękkie czarne włosy miał idealnie ułożone, a blady podbródek nie nosił śladu zarostu nawet o tak późnej porze.

W jego niebieskich oczach odmalowało się lekkie zdziwienie, kiedy odwrócił się do niej i spytał:

- Czy spodziewasz się jeszcze kogoś? Wygląda na to, że zmierza tu jakaś delegacja.

ROZDZIAŁ 5

Byli otoczeni. Honda zatrzymała się z hałasem przed domem, drzwi samochodu otworzyły się i surferzy wyskoczyli na zewnątrz. Denny krzyknął, że ma dla Willy propozycję, i po chwili na dole trzasnęły drzwi. Trzy pary bosych nóg załomotały po schodach i jednocześnie przed domem pojawił się Bain.

- Willy? Masz wolną minutę? Spot zjawił się u mnie z zakrwawioną łapą. Obejrzałem ją, nie wygląda najgorzej, ale nie jestem pewien, czy dobrze ją opatrzyłem. Może lepiej, żebyś ty na nią spojrzała?

- Hej, Willy, pamiętasz dom z betonowych bloków po tej stronie kempingu? Słyszałem, że mają zamiar go rozebrać i potrzebują miejsca na zwałowanie gruzu. Chcesz go?

- Buddy uśmiechnął się i grzecznie skinął głową Frankowi, który wodził wzrokiem od jednego do drugiego członka bandy, jakby chciał zapytać: co jeszcze? Willy uświadomiła sobie, że to, iż Frank jest tak elegancko ubrany, stawia go o dziwo w gorszej sytuacji.

- Wejść do środka, Bain - Willy przytrzymała drzwi, a potem odwróciła się do trzech chłopców. - Buddy, kiedy będzie ta rozbiórka? Dadzą mi trochę czasu, żebym mogła zrobić kilka kursów samochodem? Nie chcę uszkodzić sprzęgła jeepa. Bardzo je przegrzałam, gdy w zeszłym tygodniu próbowałam wykarzcować te korzenie na brzegu.

Frank westchnął cierpiętniczo i z anielską łagodnością spróbował się dowiedzieć, czy to ona straciła rozum, czy to on zaczyna go tracić.

- Willy, po co ci u licha budynek do rozbiórki? A jeśli chodzi o tego psa, to uprzedzałem cię, że będziesz miała z nim same kłopoty, nieprawdaż?

Bain porzucił całą piątkę stojącą na środku pokoju i kulejąc przeszedł przez duży, przewiewny pokój. Przesunął bieliznę, którą Willy miała zamiar poskładać : odłożyć na miejsce, a potem usiadł na wytartej sofie. Najwyraźniej miał zamiar napawać się wspaniałym przedstawieniem, aż do szczęśliwego końca. Willy mimowolnie podążyła spojrzeniem za jego wzrokiem. Spozrzegła, że tak jak mu radziła, zdjął tenisową piłkę z haka holowniczego jeepa i założył ją na czubek laski.

Przypomniała sobie, że w ciągu ostatnich paru dni nie posługiwał się laską. Czy nastąpiło pogorszenie? Czy po prostu chciał w ten sposób wzbudzić współczucie?

- Dobrze - oznajmiła stanowczo, z trudem odwracając spojrzenie od zarysu jego ciemnowłosej, dumnej głowy. - Frank, później ci to wszystko wytłumaczę. Buddy, chętnie wezmę ten gruz jeżeli uważasz, że dadzą mi czas na zabranie go. Gdyby przyczepa ciężarowa

nie ugrzęzła przy cieśninie i nie zardzewiały w niej łożyska, pewnie wystarczyłyby mi dwa kursy. Dowiesz się, kiedy miałabym zacząć przewóz?

Frank chciał coś powiedzieć, ale powstrzymała go, podnosząc rękę do góry, - Jeszcze nie, Frank. - Odwróciła się do Baina i zapytała: - Gdzie jest Spot? Bardzo krwawi? Jaka to rana, szarpana, czy cięta?

- Z przykrością muszę stwierdzić, że Spot leży na mojej kanapie. Próbowałem zatrzymać go na werandzie, ale mi się wymknął. Podłożyłem mu pod łapę koszulę i sądzę, że krew nie przesiąknie przez nią, jeżeli się pospieszymy.

Frank dramatycznym gestem przyłożył dłoń do czoła i zamknął oczy.

- Mamo droga, czy prosba o parę minut ciszy i spokoju pierwszej nocy w tym domu byłaby zbyt wygórowana? Willy, te befsztyki w samochodzie pewnie się już całkiem popsęły.

- Przepraszam cię, Frank - odparła spokojnie Willy.

- Obejrzenie łapy Spota zajmie mi tylko kilka minut. Może będę musiała zawieźć go do weterynarza.

Bain wsunął dłonie pod udo, uniósł chorą nogę i położył ją na stosie biuletynów „Sea Grant”. Wyglądało na to, że ma zamiar usadzić się tu na dobre i przez moment wyobraziła sobie, jak we trójkę zasiadają do przygotowanej dla dwojga kolacji przy świecach.

- Pan jest pewnie tym Smithem z Departamentu Stanu - zauważył jowialnie Bain, odwracając głowę, by spojrzeć nad oparciem sofy. - Nazywam się Bain Scott, Chyba zna pan Milesa Thatchera ze służby zagranicznej?

Frank opuścił rękę. Wykrzywił usta w niedbałym uśmiechu i powiedział.

- Niezbyt dobrze, choć spotykaliśmy się od czasu do czasu w biurze zastępcy podsekretarza stanu. Pracuję właściwie w administracji, Thatcher chyba mi wspominał, że współpracował pan dość blisko z...

- przerwał i obejrzał się z irytacją, kiedy Willy podeszła, żeby przedstawić trzech surferów.

- Przepraszam, ale zapomniałam o zasadach dobrego wychowania. Frank, ten barczysty chłopak to Maurice, Buddy to ten, który się uśmiecha, a to jest Denny - położyła rękę na obłazających ze skóry ramionach najstarszego z całej trójki, - Są moimi pokojówkami.

- Twoimi pokojówkami - powtórzył z zimnym opanowaniem Frank. Jego blada twarz o regularnych rysach pokryła się rumieńcem, a czubek nosa wyraźnie zbieleł.

- Jeżeli szuka pan cichego i intymnego zakątka, Smith - odezwał się ponownie Bain - to z całego serca polecam firmę pani Faulkner. O północy serwuje również niezrównane dania bufetowe.

Z gardła Franka wydobył się dźwięk przypominający bulgotanie i Willy uznała, że sprawy zaszły już za daleko.

- Chłopcy, dajcie mi znać, jak dowiecie się co z tym gruzem - powiedziała. - Biorę go. Nawet zapłacę jeśli trzeba.

Kiedy ich już wyprosiła, odwróciła się do Baina i jej ciemnozielone oczy błysnęły w nietypowy dla niej, ostry sposób.

- Bain, byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś wrócił do siebie i przypilnował Spota, żeby nie niszczył kanapy. Musiałam czekać sześć miesięcy, zanim odebrałam ją od tapicera. Kiedy tylko ulokuję Franka na parterze, przyjdę, żeby uwolnić cię od psa.

Bain z doprowadzającą do szału powolnością opuścił nogę na podłogę. Potem wstał, podciągnął wyżej spodnie, które zjechały mu nisko na wąskich biodrach i uśmiechnął się do niej tak serdecznie, jakby nie przydarzyło mu się wyjść wściekłym z tego pokoju niecałe dwadzieścia cztery godziny temu.

- Nie martw się ani trochę, kochanie - powiedział. - Zadbam o niego. Masz przecież gościa, którym musisz się zaopiekować, nie zwracaj więc sobie nami głowy. Niech ci smakują befsztyki, a jeżeli potrzebujesz świec do kolacji, to mam parę pod ręką.

Willy obrzuciła go bardzo wymownym spojrzeniem, ale zanim odpowiedziała wtrącił się Frank.

- Pan Scott ma całkowitą rację, Willy. Wiozłem mięso przez cały dzień - to pierwszorzędne kawałki, doskonale skruszałe, I mam do nich,,.

Befszyki. Willy bezradnie spoglądała na obu mężczyzn.

Zaczęła w myśli przekładać rzeczy w zapchanej lodówce, żeby zrobić miejsce na mięso. Będzie musiała wyjąć przygotowane składniki sałatki, a może jeszcze pestki brzoskwiń i wisien. Musi znaleźć miejsce na befsztyki i wino, które najprawdopodobniej przywiózł Frank. Nie dowierzał jej w tych sprawach, kiedy zobaczył, jak macza owsiane ciasteczka w sherry.

Bain wyszedł i Willy sprowadziła Franka na dół. Włączyła odwilżacz, kiedy poszedł po walizki. Przyzwyczała się do wilgoci, ale biedny Frank zawsze cierpiał z tego powodu. Zmusił ją do przejrzenia paru przywiezionych wycinków, zanim zdążyła uciec.

- Koniecznie musisz przeczytać wczorajszy artykuł Buckleya na temat bezrobocia, Willy. To powinno być lekturą obowiązkową. - Willy od dawna już wiedziała że każdy publicysta, w danej sprawie reprezentujący te same poglądy co Frank, natychmiast był przez niego obwoływany największym mędrcom stulecia.

Przyniósł również niewielką, podróżną lodówkę. - Chwała Bogu, są jeszcze zimne.

Trzeba je lekko doprawić czosnkiem i zostawić, żeby przed smażeniem doszły do temperatury pokojowej. Masz czosnek, prawda? Ale ten prawdziwy, nie w proszku.

Willy weszła z nim na górę, dała mu czosnek, a potem rozwinęła pięciocentymetrowej grubości, marmurkowane befsztyki z polędwicy. - Frank, tym można nakarmić całą armię.

- Nie żartuj. Zjesz cały swój i połowę mojego na dodatek, chyba że od ostatniego obiadu, na którym byliśmy razem, zaszły w tobie jakieś niesłychane zmiany.

Frank doprawił befsztyki zgodnie z zasadami sztuka kulinarnej, a potem zszedł wziąć prysznic i przebrać się do obiadu. Willy zaczęła sobie przypominać, co właściwie miała zamiar zrobić. Słyszała wodę płynącą z prysznicza i uznała, że Frank znalazł ręczniki, które położyła na otomanie w jego saloniku. Przez jakiś czas poradzi sobie bez niej.

Zastanówmy się, co teraz, pomyślała. Sałatka? Dręczona wrażeniem, że ma do zrobienia coś pilnego, kręciła się roztargniona po kuchni wyjmując warzywa z szuflad lodówki, szatkując pieczarki, cebulę i fasolkę szparagową oraz obmyślając fantazyjną marynatę.

- O do licha, Spot! - mruknęła, wycierając dłonie o spódniczkę z białego drelichu. Krzyknęła, że wróci za minutkę, i pobiegła do domu Baina. Najprawdopodobniej szum płynącej wody zagłuszył jej głos, ale jeżeli będzie miała szczęście, wróci, zanim Frank spostrzeże jej nieobecność.

Bain siedział przy służącym mu zamiast biurka stoliku ustawionym koło okna i obserwował, jak biegnie krętym podjazdem. Ubrana była w tę samą spódnicę i różowy podkoszulek. Włosy z rozjaśnionymi słońcem pasemkami wymykały się spod czerwonej wstążki, której końce zwisały jej do połowy karku. Wciąż jeszcze nie założyła butów.

Wrzucił papiery z powrotem do teczki i wstał. - Spokojnie, stary - powiedział cicho, słysząc skomlenie setera. Uśmiechnął się, zastanawiając, czy wydaje polecenie psu, czy sobie.

- Jak on się czuje? - zapytała w chwilę później Willy łapiąc oddech. Kiedy otworzył drzwi, przycisnęła się obok niego. Jej czysty, przesycony aromatem mydła zapach podrażnił mu zmysły. - Zupełnie o nim zapomniałam. Biedny Spotty, tak mi wstyd.

Mrucząc słowa bez związku uklękła przed psem i Bain patrzył na nich z rozbawieniem połączonym z podziwem. Spot doskonale grał rolę zahartowanego weterana i kiedy ostrożnie oglądała zranioną łapę, na jego kościstym pysku pojawił się wyraz cierpienia. Stary spryciarz, spał jak dziecko od chwili powrotu Baina i obudził się dopiero, kiedy poczuł obecność swojej pani.

Spojrzenie Baina przesunęło się na klęczącą postać. Odwrócona do niego plecami pochylała się do przodu, jej biodra rysowały się pięknymi łukami poniżej talii, która aż

prosiła się, by ją objąć. Zakurzone podeszwy wąskich stóp były zgrabnie podwiniete pod krągłe pośladki kontrastując swą ciemną barwą z białą spódniczki. Jak zdążył zauważyć, przez cały dzień nie miała butów na nogach - a zauważył to dość dobrze. Oczywiście zupełnie przypadkowo, ale widział ją za każdym razem, kiedy wychodziła z domu. Nie szpiegował jej naturalnie, po prostu... był na miejscu.

- Chyba nie trzeba zszywać rany, prawda? - zapytała z niepokojem, odwracając głowę. Napotkała jego obojętne spojrzenie. - Pewnie przeciął sobie łapę muszlą, na plaży. Bardzo lubi kopać. Może myśli, że mi w ten sposób pomaga. Krwawienie ustało i za dzień lub dwa rana powinna się zasklepić.

Bain pochylił się ze współczuciem. Jego wzrok spoczywał nie na delikatnej, jedwabistej sierści koloru mahoni, ale na gęstej grzywie lśniących jasnych włosów. Willy poczuła ciepło jego ciała i zaniepokojona, odwróciła się w samą porę, by zauważyć jak z grymasem bólu usiłuje przykłęknąć.

- Bainie Scott, nie waż się tego robić - powiedziała. - Nie ma sensu kusić losu. - Wstała gwałtownie, nie dostrzegając ulgi, która przez chwilę malowała się na jego twarzy. Usiedli oboje na kanapie, a pies grzecznie leżał między nimi.

- Skoro o tym mówisz, to muszę się przyznać, że chyba dziś trochę przesadziłem - oznajmił, odchylając się na grube, dobrze wypchane poduszki oparcia.

- Jak sądzisz, ile jest od czubka ostatniego cypla, tam gdzie zaczynają się bagniska, do uschniętego wawrzynu, tego na którym wiszą sieci?

Willy wygładziła sterczącą sierść na przedniej łapie Spota i próbowała nie zwracać uwagi na ogarniające ją podniecenie.

- Pewnie pół mili - odparła. - Może trochę więcej.

- Przeszedłem tę trasę trzykrotnie - oznajmił Bain z nutką dumy w głosie.

Popatrzyła na jego szczupłą, wyrazistą twarz poszukując na niej oznak wyczerpania i nie znalazła ich.

- Jesteś pewien, że nie forsujesz zbyt nóg?

- A czy to nie ty twierdziłaś, że powinienem zwiększać dzienną normę? Próbowałem również chodzić na bosaka, ale myślę, że będę musiał robić to stopniowo. W przeciwieństwie do ciebie, nie urodziłem się z podeszwami zamiast skóry na stopach.

Willy wcisnęła gołe palce stóp w szydełkowy dywanik. Z niezrozumiałego powodu nagle poczuła się zawstydzona niechlujstwem, w jakim tkwiła w ciągu kilku lat życia na plaży. Szukając instynktownie bezkrytycznego, przyjaznego poparcia, położyła dłoń na łbie Spota.

Bain przysunął się i swą twardą dłońią o kwadratowych opuszkach palców przykrył jej rękę. Ujął ją i odwrócił do światła.

- Masz dłonie prawie tak samo twarde jak podeszwy stóp, co, Willy? Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby nosić robocze rękawice? A jeszcze lepiej, wynająć kogoś do ciężkich robót? - Poglądził rządęk odcisków: wynik pracy łopata.

- Pracujesz o wiele za ciężko - upomniał ją delikatnie.

- Ja? Ciężko pracuję? - roześmiała się. - Zupełnie mnie nie znasz, Bain. Kieł mówił, że jestem najbardziej leniwą kobietą, jaką spotkał w życiu. Zawsze odkładam na jutro to, co mogę zrobić dzisiaj. Nigdy nie biegnę, kiedy mogę iść, rzadko kiedy chodzę, kiedy mogę jechać. Wolę przez cały dzień być w poziomej pozycji a nie pionowej, a co się tyczy prac domowych to czekam, aż zaczną wiać silne wiatry z północy i wtedy otwieram szeroko wszystkie drzwi i okna. Piasek, kurz i psia sierść, jeżeli zostaną, muszą czekać do następnego silnego wiatru.

- Kłamiesz jak najęta, kochanie - Bain uśmiechnął się łagodnie, i dalej głaskał wąski rządęk odcisków u nasady palców.

Od czasu do czasu wskazujący palec przesunął się po wrażliwym środku jej dłoni, Willy ze wszystkich sił starała się nie reagować na ogarniające ją podniecenie.

- Może trochę przesadzam, ale nie za bardzo. Przeraziła się, gdy poczuła gęsią skórę na ramieniu. Próbowała wyzwolić dłoń z myląco delikatnego uścisku. - Bain, nie rób tego.

- Czego mam nie robić, tego? - Poglaskał ją znowu z takim samym zniewalającym rezultatem.

- Dlaczego?

- Bo łaskocze - odparła szczerze. - U mnie chyba nerw dłoni łączy się z nerwem w żołądku.

W szarych oczach Baina pojawił się kolejny uśmiech i rozlał się po całej twarzy. - Wiesz, Willy, zastanawiam się, co ten biedny Frank by zrobił, gdyby miał pecha i cię zdobył. Założę się, że dostałby fioła przed końcem miesiąca miodowego.

Nie bardzo wiedząc, jak ma potraktować tę uwagę, Willy powoli uwolniła rękę z uścisku Baina. Nie próbował jej zatrzymać. Wsunęła palce pod obrozę Spota i odetchnęła głęboko, usiłując się uspokoić.

- Chyba będzie lepiej, jeżeli wrócę już do domu. Bain, dziękuję, że zająłeś się Spotem.

Wstała, a Scott ze zręcznością, która ją zaskoczyła, zrobił to samo. Dłoń Willy wysunęła się spod psiej obroży. Bain ujął jej rękę i położył na swoim ramieniu.

Opuścił powieki, chcąc ukryć posepny błysk w swych szarych jak sztormowe niebo

oczach i powiedział: - Willy, mam zamiar wyświadczyć tobie i Frankowi pewną przysługę. Ogarnął ją rozkoszny bezwład.

- Tak? - wyszeptała. Czy to on się przysuwa, czy ona pochyła się do przodu? Przełknęła gwałtownie ślinę. Jej poczucie równowagi nagle uległo gwałtownemu zakłóceniu. Bain otoczył ją ramionami i przycisnął mocno do siebie. Jego twarz stopniowo zaczęła się rozmazywać, wyszeptał swym głębokim głosem.

- Gdyby któreś z was, poddając się czarowi świec i upojeniu winem doszło do niemądrego wniosku, że jesteście dla siebie stworzeni, to masz tu coś, co może ci posłużyć za wzorzec.

Jego usta były ciepłe i mocne. Trwała w bezruchu weki, jak się jej wydało, uparcie znosząc delikatny, wilgotny napór jego języka, drażniącego jej zaciśnięte wargi.

Nic nie czujesz, absolutnie nic, nakazywała swym zdradzieckim zmysłem.

Dłonie Baina przesunęły się powoli po jej plecach, gniotąc cienki materiał jej podkoszulka i zaczęły bawić się wąską tasiemką stanika. Delikatnie przygryzł dolną wargę Willy, a potem wykorzystał mimowolną reakcję, aby uzyskać dostęp do tajemnego ciepła jej ust.

Nic nie czujesz, pomyślała szybko, gdy jego ręce przesunęły się w dół po twardych krągłościach bioder. Miała kłopoty z oddychaniem i z jakąś nieokreśloną satysfakcją spostrzegła, że ma je również Bain. Twarde jak granit mięśnie jego ramion przycisnęły ją jeszcze mocniej. Usta Scotta na zmianę pieściły i atakowały.

Próbował pobudzić ją do odpowiedzi, której postanowiła mu odmówić.

Odsuwając nieco wargi wyszeptał ochryple: - Pocałuj mnie, do diabła. Nie stój jak słup soli, przecież wiem, że płoniesz wewnątrz.

Gwałtownie odwróciła głowę w bok. Miała równie mocne ręce. Schwyciła go za ramiona i zaczęła odpychać.

- Tak, płonę, ale wcale nie z miłości! Jak na kogoś o tak paskudnym charakterze, masz szalenie wybujałe mniemanie o swoim osobistym wdzięku! - Jej dłonie ześlizgnęły się po gładkich, twardych jak skała ramionach i zakłęła z poczuciem bezsilności. - Już ci mówiłam, Bain, że nie jestem zainteresowana takimi rzeczami. Bądź tak uprzejmy i puść mnie, a spróbuję zapomnieć o tej głupiej historii.

Mówiła z takim chłodem, na jaki mogła się zdobyć w tych okolicznościach - choć jej nogi były jak z waty, a serce łomotało. Czuła też tłący się w niej żar, który w każdej chwili mógł wyrwać się spod kontroli i buchnąć płomieniem.

Bain powoli wypuścił ją z objęć. Uśmiechnął się krzywo.

- Wygląda na to, że zawsze, kiedy się spotykamy, jestem w końcu zmuszony przeproszać cię za taki czy inny grzech. Myślę, że tym razem tego nie zrobię.

Willy, chcąc ukryć swój stan ducha, pochyliła się do psa.

- Chodź, Spot, idziemy do domu. - Nie podnosząc wzroku, dodała: - Na szczęście, nie ma ani jednego powodu, dla którego mielibyśmy się widywać do twojego wyjazdu. - Ściągnęła z sofy stawiającego opór psa i popchnęła w stronę drzwi.

Dobiegł ją szyderczy głos Baina:

- Mógłbym z tobą dyskutować na ten temat, ale nie zrobię tego. Idź i baw swojego gładkiego polityka, kochanie. Spróbuję wam nie przeszkadzać.

Przez całą drogę do domu Willy myślała, co powinna była powiedzieć. Pies biegi obok niej, zupełnie jakby nigdy nie miał rozciętej głęboko poduszczeni prawej przedniej łapy.

- Od kiedy potrzebuję czyjejś oceny mojego zachowania? - mruknęła pośpiesznie. - Jeżeli chcę bawić gościa, to moja sprawa, a poza tym Frank nie jest politykiem, ale... ale...

Kopniakiem odrzuciła na bok złamaną gałąź i pomaszerowała dalej z wojowniczą energią, która całkowicie nie leżała w jej charakterze. - Doskonale zdaje sobie sprawę, że wcale nie jestem zainteresowana Frankiem, więc o co ten cały szum?

Spot pomachał przyjacielsko ogonem i pobiegł w cień drzew za swoją pilną potrzebą.

- Wracaj, ty nic niewarty kundlu! To wszystko twoja wina.

Ale nie mogła obwiniać Spota, że pozwoliła na niebezpieczną zażyłość z prawie nieznanym mężczyzną. Byłoby bardzo wygodnie tak po prostu przerzucić całą winę na niego, ale nie wypadało tego zrobić.

- Kości czekają, Spotty - westchnęła, kierując się w stronę domu. - Przestań gonić wiewiórki i wracaj na swoje miejsce.

Wcześniej rano, zanim Frank się obudził, Willy pojechała po pierwszy ładunek gruzu. Wieczorem nic nie powiedziała o swoich planach, a Frank najwidoczniej zapomniał o wszystkim. Wrzuciła na tył plażowego samochodu kilka mocnych koszy na ryby oraz parę grubych rękawic i pojechała wolno pustą drogą. Rozkoszowała się pięknem przypominającego koronki hiszpańskiego mchu i pajęczyn lśniących kroplami rosy. Poranne słońce od czasu do czasu rzucało błyski na jakąś łódź na podwórku, rozświetlało czyjeś rozwieszzone pranie. Odetchnęła głęboko. Nagle poczuła się znakomicie. Nie popełniła błędu, sprzedając wszystko i przenosząc się tutaj. Upewniała się w tym każdego dnia.

Kiedy jednak załadowała tył samochodu pokruszonymi betonowymi płytami, dobre samopoczucie jakby nieco się popsuło. Praca okazała się bardzo męcząca, mimo że było wcześniej i słońce nie zdążyło pozbawić powietrza jego porannej świeżości. A przecież

jeszcze musi wszystko wyładować, uświadomiła sobie dziesięć minut później skręcając w drogę prowadzącą do jej parceli.

Bain stał w otwartych drzwiach z kubkiem wypełnionym do połowy kawą i przeczesywał palcami włosy. Przed godziną usłyszał, jak odjeżdża, i od tej pory czekał na jej powrót. Do diabła, zupełnie zapomniał o tym gruzie, a ona najwidoczniej okazała się na tyle szalona, żeby próbować zrobić wszystko sama. Dlaczego ta kobieta w żaden sposób nie może pogodzić się z własnymi ograniczeniami?

- No co, nie wzięła cię ze sobą, stary? Chodź, dostaniesz miskę płatków - wpuścił setera i nasypał mu do miski płatki kukurydziane. - Chcesz cukru? Nie... Cukier szkodzi na zęby, lepiej zjedz je tak.

Kiedy usłyszał pomruk silnika samochodu Willy, był jeszcze w slipach. Schwycił spodnie, naciągnął je i zasunął zamek błyskawiczny. Poprzedniego dnia urwał mu się guzik, nie mógł go znaleźć, zresztą i tak nie miał igły ani nici. Nie zwracał sobie głowy butami. Jeżeli Willy chodzi na bosaka, to on także może. Wychodząc frontowymi drzwiami prawie nie odczuł lekkiej sztywności w nodze. Chyba spacerzy rzeczywiście dawały rezultaty.

Przecież obiecywał, że zostawi ją w spokoju, przypominał sobie idąc piaszczystą drogą. Ale nie spodziewał się czegoś takiego. Jeżeli nie zdoła namówić Willy, żeby wynajęła chłopców do rozładunku, będzie musiał zrobić to sam., najprawdopodobniej łamiąc sobie coś przy okazji. Przynajmniej ręce będzie miał tak zajęte, że nie wplącze się w jakieś kłopoty.

- Dlaczego nie poprosiłaś, żeby ci pomóc, ty uparta kobieto?

Willy podniosła głowę i ujrzała maszerującego w jej kierunku Baina. Oczy mu błyszczały, a nieuczesane włosy spadały na czoło.

- Sądziłam, że zerwaliśmy stosunki dyplomatyczne - stwierdziła spokojnym głosem.

- Ogłaszam moratorium - odparował Bain, analizując sytuację. Podjechała tyłem niemal do krawędzi osypującego się zbocza. Balonowe opony spłaszczyły się pod ciężarem ładunku. - Powiedz mi, dlaczego nie mogą zrobić tego chłopcy?

- Mów ciszej, dobrze? Frank jeszcze śpi... Przynajmniej taką mam nadzieję. Gdyby chłopcy chcieli się rym zająć, powiedzieliby mi. Mamy taką umowę.

Spojrzał na nią sceptycznie.

- Jeżeli cię rozumieją, to są o wiele sprytniejsi, niż ich o to posądzałem - oparł dłoń o grubą, stalową ramę przeciwkapotażową. - Przede wszystkim do takiej pracy musisz mieć ciężarówkę.

Willy podrapała się w ukąszone przez komara miejsce i wzruszyła ramionami.

- Nie, wcale nie muszę. Nie ma tego zbyt wiele... To był tylko nieduży domek -

sięgnęła po parę grubych, skórzanych rękawic, wsunęła w nie dłonie i pomachała mu palcami przed oczyma. - Widzisz? Wiedziałam, że je gdzieś mam... Spot wcisnął je pod dywanik w spiżarni.

Bain położył dłonie na jej smukłych ramionach.

- Willy - rzekł, próbując zachować cierpliwość.

- Wiem, że obiecałem ci się nie narzucać. Wiem, że chcesz, abym nie zawracał ci głowy, ale kobieto, przecież nie zostawiasz mi żadnego wyboru.

- Wcale nie prosiłam, żebyś mi pomagał. Doskonale potrafię dać sobie radę sama.

- Jestem pewien, że potrafisz, Willy. Ale je nie potrafię stać beczynnym i patrzeć jak harujesz. Chyba zawdzięczam to naukom mojej mamusi - pokręcił głową i złapał uchwyty kosza.

Willy bardzo chętnie zgodziła się przyjąć jego pomoc. - Myślałam, czy nie ułożyć paru desek i spuszczać po nich koszy - zastanawiała się głośno, podpierając dłońmi w ciężkich rękawicach biodra obciążone różowymi szortami w kwiatki. - Co o tym myślisz?

- Może się udać - mruknął Bain. Wcale nie miał zamiaru narażać nogi po to tylko, żeby zrealizować któryś z jej szalonych pomysłów.

Cofnął się, wytarł pot z czoła i rzucił nieco niechętnie spojrzenie na jej zgrabną postać. Jest już niemal trzydzieści stopni, zdążyła załadować cały tył swojego zwariowanego samochodu betonowym gruzem i niech ją licha, nawet nie ma przyspieszonego oddechu!

ROZDZIAŁ 6

Kiedy wreszcie zrzucili gruz i umocnili nim worki z piaskiem, oboje byli zlni potem.

- Pomogę ci z resztą tych bloków, kiedy tylko będziesz chciała - zaproponował z rezygnacją w głosie.

- Dzięki. Może jutro. Dzisiaj i tak jest już za gorąco, żeby się tym zajmować.

Cofnęli się, spoglądając z satysfakcją na umocnioną skarpe.

- Mam nadzieję, że będzie trzymać - stwierdził Bain, pocierając brudną dłonią tors. - Zbliża się pora huraganów.

- Podobno na południu tworzy się tropikalny niż. Znasz się na huraganach?

- Widziałem ich już dosyć - cofnął się jeszcze bardziej, wchodząc do płytkiej wody, aby dokładnie przyjrzeć się efektom ich morderczej pracy i wsunął kciuki za pasek spodni.

- To chyba najgorsze miejsce. Pozostała część twojej linii brzegowej jest dość niska i powinna być względnie bezpieczna.

- Tam gdzie wodorosty gromadzą się w nisko położonych miejscach, trawa ginie i darń się zapada. Wciąż je odgarniam, ale zawsze, kiedy wiatr zmienia kierunek na północny, przynosi nowe.

Stali obok siebie i patrzyli na osypujące się zbocze wzgórza. Willy spoglądała nie widzącym spojrzeniem na worki z piaskiem, pokruszone bloki, fragmenty metalowych tablic i plątaninę obnażonych korzeni, ale każde zakończenie nerwu w jej ciele czuło obecność mężczyzny - jego witalność, ciepło, zapach ciała.

Bain natomiast myślał o tej drobnej istocie, która prowadziła tak niepotrzebną i beznadziejną walkę. Brzeg zostanie podmyty. Silny sztorm zniszczy żałosne efekty jej wysiłków i uniesie je daleko. Niewiele brakowało, a wyciągnąłby rękę i dotknął Willy, Bóg jeden wiedział, jak silna była ta pokusa, choć oboje byli tak brudni i spoceni, ale zdawał sobie sprawę, że na tym by się nie skończyło. Z jakiegoś powodu ta kobieta zupełnie pozbawiała go zdrowego rozsądku. Jedno dotknięcie, a znowu będzie wychodził ze skóry, żeby wbrew wszystkiemu zaciągnąć ją do łóżka.

- Chodźmy na górę, Frank na pewno już wstał - Willy oderwała spojrzenie od lśniącego, spoconego torsu Baina i wskazała najkrótszą drogę prowadzącą na górę skarpy. Nigdy nie korzystała z okrężnej drogi przez las, chyba że spacerowała dla przyjemności.

Bain wszedł za nią dolnym wejściem. Najwidoczniej nie uważała go już za kalekę. Wdrapując się po stromych, zapiaszczonych schodach, spojrzął w stronę drzwi do sypialni na

parterze i zastanowił się przez chwilę, czy ten pokój był używany tej nocy.

Oczywiście, że był! Willy całkowicie szczerze przedstawiła więzi łączące ją ze Smithem. I bez względu na to, czy intencje Franka były uczciwe czy nie, Bain nie postawiłby nawet dwóch centów na to, że udałoby mu się dostać do jej łóżka bez drukowanego zaproszenia.

Z drugiej strony, myślał wchodząc do dużego pokoju o dwóch werandach, który łączył w sobie funkcje jadalni i salonu, może to właśnie jest typ człowieka jakiego potrzebuje? Ktoś, kto nie zburzy jej kruchego świata?

Frank siedział na werandzie w eleganckim płaszczu kąpielowym i białych spodniach. Bain odniósł wrażenie, że brakuje mu jedynie fularu na szyi.

Skinął mu uprzejmie głową. - Dzień dobry, Smith.

Frank odpowiedział na jego krótkie powitanie wesołym głosem.

- Wygląda pan świetnie, Scott. Przypuszczam, że wkrótce zechce pan wrócić do akcji. O ile wiem, od czasu pańskiego wyjazdu, sytuacja się tam dość zaogniła.

- To przykre. Willy, czy mówiłaś coś o mrożonej kawie? - Bain odwrócił się. Zdziwił się nieco, że tak bardzo nie spodobało mu się przypomnienie spraw zawodowych. Dzięki Bogu, że nie miał radia i nie widać było nigdzie gazet.

- Jeszcze nie jadłam śniadania - odparła. - A ty nie jesteś głodny? Frank, znalazłeś sobie coś do jedzenia?

Frank wszedł do niewielkiej kuchenki, o jedną trzecią zwiększając jej gęstość zaludnienia.

- Jak możesz się przekonać patrząc na patelnię, zrobiłem sobie omlet. Kochanie, czy mogę cię zapytać, dlaczego przechowujesz śmieci w lodówce?

Willy trzymała tackę z lodem, maselniczkę, kawałek sera i dzbanek mleka, zamknęła więc drzwi nogą.

- Śmieci?

- Ogryzki jabłek, pestki brzoskwiń i inne rzeczy, o których nie wspomnę.

Bain oparł się o krawędź kontuaru. Świetnie bawił się kontrastem między wytwornością Smitha i bezceremonialnym sposobem bycia Willy. - Możesz wyrzucić ogryzki - odparła Willy zaczynając smarować masłem dość duże kromki brązowego chleba. - Mam zamiar posadzić tu trochę drzew owocowych, a czytałam, że trzymanie w zimnie nasion przez mniej więcej tydzień daje taki efekt, jakby przetrwały całą zimę. Myślą, że to wiosna i są gotowe kiełkować.

- Czy mogę w związku z tym zapytać, dlaczego wetknęłaś je do chłodziarki, a nie do

zamrażalnika?

- w głębokim, kulturalnym głosie Franka, pojawił się cień zniecierpliwienia i Bain uśmiechnął się oczekując na jej odpowiedź. Wiedział z góry, że będzie to arcydzieło pokrętej logiki.

Willy zmarszczyła brwi, koncentrując się na mieleniu pieprzu nad chlebem posmarowanym masłem.

- Nasze zimy są ostre, Frank, ale nie aż do tego stopnia. Nie chciałabym, żeby moje nasionka odniosły mylne wrażenie.

Frank jedynie pokręcił głową i odstawił kubek do zlewu. Tym razem Bain zadał kolejne pytanie.

- A ogryzki?

Willy położyła parę plasterków sera na każdej kromce i z wiszącego w kącie koszyka z miedzianej siatki wyjęła czerwoną, meksykańską cebulę.

- To Granny Smith - powiedziała, jakby to wyjaśniało wszystko. - Szczepione - dodała ze zniecierpliwieniem, widząc jego zdziwione spojrzenie.

- Masz, zabierz to na werandę, a ja zrobię kawę. Frank? - zwróciła się do Smitha, - Co byś powiedział na dużą szklankę mrożonej kawy z prawdziwą śmietanką i odrobiną gałki muszkatołowej?

Bain czekał na swojej werandzie następnego ranka o świcie. Dostrzegłszy go, Willy zatrzymała samochód i Scott zszedł po stopniach. Skierował się podjazdem w jej stronę, z całych sił starając się ukryć sztywność wszystkich mięśni. Czuł jednak, że chora noga nie jest wcale w gorszym stanie niż reszta ciała. Dwumiesięczne leżenie w szpitalnym łóżku musiało źle wpłynąć na jego formę.

- Dzień dobry, Bain. Spot, zostań tu, kochanie. Bain usiadł na wyłożonym ręcznikiem fotelu. - Dzień dobry, Willy. Powiedz mi, czy rzeczywiście słusznie podejrzewam?

- Co? - Patrząc uważnie przez zamgloną i porysowaną piaskiem przednią szybę, ostrożnie pokonała ostry zakręt przed skrzyżowaniem drogi z jedyną szosą, która biegła przez całą długość wyspy.

- Czy pod tym koszmarnym lakierem, drewnianym tyłem i groszkowymi prześcieradłami kąpielowymi naprawdę jest mercedes? - Dyskretny pomruk silnika, sposób w jaki zmieniała biegi, gdy wyjechała na szosę i zwiększyła znowu prędkość udzieliły mu odpowiedzi, zanim zdążyła potwierdzić jego przypuszczenia.

- To 450 SL. Dał mi go tatuś, jak opuszczałam dom. Należał do jednej z jego żon i nie potrzebował go.

Bain zamknął oczy i pominął milczeniem jej ostatnie słowa. Jedynie westchnął wymownie. - Cóż się więc z nim stało?

- Parę lat temu ktoś rozwalił mi cały prawy bok. Rama nie została wygięta, ale karoseria zaczęła rdzewieć. Części zamienne kosztowały niemal tyle, ile zarabiałam w ciągu niezłego roku. Mój znajomy, mechanik samochodowy naprawił mi go, a kiedy rdza ostatecznie wygrała, zdjeliśmy karoserię, zabezpieczyliśmy to, co z niej zostało, preparatem antykorozyjnym i założyliśmy skrzynię ciężarową. Nie jest zbyt dobry na piasku - za dużo waży - , ale nie zamieniłabym go na nowy.

Kiedy wracali do domu z kolejnym ładunkiem gruzu, Bain zastanawiał się, czy zwycięży jego poczucie rycerskości, czy bolące plecy. Okazało się, że te pięćdziesiąt parę kilogramów lenistwa, jak niesprawiedliwie mówiła o sobie Willy, pracowało o wiele szybciej od niego. Miała swój rytm działania, który pozornie nie wymagał żadnego wysiłku, on zaś zdecydowanie był bez kondycji.

Willy podjechała tyłem do urwiska i wyłączyła silnik. Bain siedział, czując jak po czole spływa mu strużka potu. Był jednak zbyt zmęczony, żeby ją otrzeć.

- Bain, pracowałeś za dużo. Wciąż zapominam o twojej nodze.

Uśmiechnął się do niej ze znużeniem.

- A ja nie mogę zapomnieć o twoich - powiedział. - Czy przypadkiem nie jesteś bioniczną kobietą?

- Nie, tylko kobietą upartą - powiedziała, przeciągając sylaby. - Połóż się w hamaku. Pójdę na górę i przygotuję nam mrożoną kawę.

Był zbyt skonany, żeby się sprzeczać. A poza tym hamak kusił go od pierwszej chwili, gdy zobaczył w nim Willy - jej długie nogi, miękkie krągłości i rozleniwione, zielone oczy. - Jesteś pewna, że dasz sobie radę z przyniesieniem wszystkiego?

- Jeśli będę miała kłopoty, Frank mi pomoże. Założę się, że nie, pomyślał Bain kulejąc w stronę szerokiego, siatkowego hamaka rozpiętego pod wielkim dębem. Był usytuowany w idealnym miejscu. Docierały tam najłżejsze nawet podmuchy od wschodu, północy i zachodu, i rozpościerał się wspaniały widok na cieśninę. Gdy Willy wróciła z dwoma wysokimi szklankami i stosem kanapek, prawie drzemał.

- Czy uwierzysz, że Frank śpi jak zabity? Hej, weź coś ode mnie, a ja przyciągnę tu jeszcze jedno krzesło.

Bain usiadł niechętnie i opuścił stopy na ziemię.

- Mam lepszy pomysł. Usiądź kolo mnie, a krzesło wykorzystamy jako stolik.

Pomysł okazał się fatalny. Zrozumiał to, zanim usiadła przy nim. Hamak był

wystarczająco obszerny dla nich obojga, ale w żaden sposób nie mogli uniknąć ciągłego wpadania na siebie. I niestety, okazało się, że jego zmęczenie nie było aż tak wielkie, by uczynić go niewrażliwym.

- Nic z tego - roześmiała się Willy usiłując wstać. Bain schwycił ją za ramię i pociągnął.

- Spróbujmy. Będiesz jadła prawą ręką, a ja lewą. I nie podkradaj mi kanapek, dobrze? Zasłużyłem na nie.

Kanapki były piętrowe i wszystko z nich spadało. Przy pierwszym kęsie z kanapki Baina zleciał krążek cebuli i wylądował na udzie Willy. - Rzuć szopowi - zaproponowała, niedbale rozsmarowując masło na swej jedwabistej skórze.

- Niech sam robi sobie kanapki - mruknął Bain wrzucając kawałek cebuli do ust.

- Sprawdzałam prognozę pogody. Ten niż tropikalny nie przyniesie burzy, ale powstaje nowy - mruknęła Willy. Jej apetyt ulegał wyraźnemu osłabieniu na skutek dziwnego napięcia w okolicy żołądka. Udo Baina przylegało ściśle do jej uda i musieli się objąć, żeby utrzymać równowagę.

- To jasne jak słońce - przytaknął z przekonaniem Bain. Głód zmienił się w coś zdecydowanie bardziej osobistego, gdy jego wzrok zabłądził w rowek między piersiami wyraźnie widocznymi pod luźnym stanikiem. Czy Willy świadomie zachowuje się prowokacyjnie, czy po prostu nie czuje przy nim skrępowania? Bardzo by chciał, żeby w grę wchodziła pierwsza ewentualność, ale jednocześnie czuł, że jest to po prostu jej styl bycia. W końcu ubierała się tak od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył. Mając takie ciało, pomyślał z rezygnacją, mogłaby chodzić w worku, a i tak każdemu mężczyźnie skakałoby ciśnienie na jej widok.

Kiedy zjedli już kanapki i wypili do końca kawę, Bain wziął serwetkę i ujął Willy pod brodę. Obrócił ku sobie jej twarz i miękką, papierową serwetką otarł jej usta. Aż do bólu uświadamiał sobie najdrobniejsze wygięcie jej warg. Wzrok natrafił na zieloną głębię jej oczu i zapadł w nią, usidlony uczuciem, które znalazł już za dobrze.

- Willy, czy całowałem cię ostatnio? - wyszeptał zachrypniętym nagle głosem.

- Nie przypominam sobie - skłamała. Jej oczy zaszklily się.

- Lepiej więc będzie, jeżeli zrobię to znowu, po prostu dla pewności.

Nie mogąc uwolnić się od ogarniającego ją rozkosznego bezwładu, Willy rejestrowała wszystko, co się dzieje. W parnej ciszy napięcie szybko osiągało niebezpieczny poziom, osłabiając i tak bardzo już nadwątloną chęć oporu. Czuła, że Bain stawał się niemal częścią jej samej - kurze łapki zmarszczek przy zewnętrznych kącikach jego oczu, głębokie bruzdy

przy mocno zarysowanych ustach, delikatne, złote iskierki przydające ciepła szarości jego oczu - szarości, która gwałtownie ustępowała przed rozszerzającymi się coraz bardziej źrenicami.

- Bain, czy musisz to robić? - szepnęła w ostatniej chwili, czując ciepły powiew jego oddechu na swej wilgotnej twarzy.

- Muszę - jego usta pozostały rozchylone. Uniósł jej głowę, a jego pocałunek zawierał w sobie całą senną słodycz późnego, sierpniowego ranka - i był równie brzemienny możliwością niszczących burz.

Jakoś udało im się opaść na hamak nie doprowadzając do katastrofy. Leżeli przytuleni, ich nogi splatały się, kosmyk jej włosów spoczywał w załamaniu jego szyi, a dłonie Baina mocowały się ze związanymi na supeł tasiemkami stanika.

- O Boże, Bain, to nie ma sensu - zaprotestowała Willy, czując dłoń na swoich piersiach.

- Ależ ma, kochanie, wierz mi... - Pieścił kciukiem nabrzmiąły szczyt jej piersi aż sutek stał się twardym węzłem zakończeń nerwowych, a potem uniósł ją ku sobie, by ją tam pocałować. Dłonie Baina przesunęły się po jej wilgotnej skórze, odnalazły zagłębienie kręgosłupa, krągłość bioder. Wodził językiem po brodawce piersi, doprowadzając Willy niemal do omdlenia, a jednocześnie zdołał rozpiąć guzik przy pasku jej szortów. Tu jednak skorodowany morską wodą zamek błyskawiczny zniweczył jego wysiłki. Nad ich głowami rozwrzeszczało się stado wron, ale Willy nie zwróciła na to uwagi. Nieco dalej polował kolorowy ostrygojad, ale nie widziała tego, nic ją nie obchodziło. Jej policzek spoczywał na piersi Baina i czując przytulone do niej mocne kształty męskiego ciała, odwróciła twarz wtulając ją w sztywne włosy jego torsu, smakując językiem słonawy smak >ego potu. Kierowana nieświadomym pragnieniem zaspokojenia, którego domagało się jej ciało, przesunęła wargami po ciemnym gąszczu włosów, aż wreszcie odnalazła napięty podnieceniem płaski, męski sutek. Schwyciła go delikatnie zębami i drażniła czubkiem języka do chwili, gdy Bain jęknął z pełną cierpienia rozkoszą.

- O, Boże, kochanie, czy wiesz, co ze mną robisz? - Ujął jej dłoń, przesunął nią w dół po swym napiętym ciele. Willy napotkała ewidentny dowód jego pożądania i poczuła jak ziemia się kołysze.

Cofnęła gwałtownie rękę, nagle przerażona wyzwolonymi niechcący żywiołami. Nie była jeszcze gotowa. Nie była. Niebyła!

- Kochanie, uwierz mi, wcale nie miałem tego na myśli, kiedy zaproponowałem, żebyśmy razem usiedli w hamaku.

Nie miałeś? - odezwał się szyderczo jakiś wewnętrzny głos. Jego libido znajdowało się w stanie ciągłego pogotowia od chwili kiedy zobaczył, jak idzie przez pas startowy lotniska.

Teraz jednak nie był na to ani odpowiedni czas, ani miejsce. Zmusił się, by wypuścić ją z objęć, a kiedy ciszę zakłócił znajomy ryk zepsutego tłumika, usiłowała właśnie usiąść. Nagle, właściwie nie wiedząc jak się te stało, oboje wylądowali na ziemi, a szorstka sieć hamaka zwisała z ich karków jak długi, ciężki szal.

Willy udało się wstać, zanim honda podjechała dej nich, ale Bain nie był aż tak zręczny.

- Co się stało? Zrzuciła pana? - zawołał Denny; wyslizgując się zza kierownicy.

- Zrzuciła pana, co? - powtórzył Maurice, szczerząc zęby od ucha do ucha.

Bain spojrział na nich ze złością. Miał nadzieję, że nie wygląda równie idiotycznie, jak się czuje.

- Kiedy następnym razem będziecie panowie ślać; moje łóżko, to może łaskawie zechcielibyście najpierw strząsnąć piasek z prześcieradła? - mruknął mściwie.

Buddy wyciągnął do niego rękę i Bain chcąc nie chcąc przyjął jego pomoc.

Kiedy udało mu się wreszcie stanąć na nogach, humor poprawił mu się nieco. Nawet zdołał się uśmiechnąć, wyobrażając sobie, jak przed chwilą wyglądał. Wszyscy oni byli tacy młodzi i sprawni.

- Czy szukaliście mnie?

- Może zrobić panu pranie? Fale nie są dobre i pomyśleliśmy, że odwalimy trochę roboty, zanim się nie zwiększą. Słyszeliśmy w sklepie, że zbliża się do nas huragan - oznajmił radośnie Buddy. - To powinno; pomóc.

- Przykro mi, że was rozczaruję, ale to tylko niż.

- Bain pomyślał, że istotnie pranie by się przydało. Prawdę mówiąc, wziął ze sobą tylko jedną walizkę; i prawie wszystko co miał, było już brudne.

Wszyscy obrócili głowy, gdy z osłoniętej werandy rozległ się donośny głos Franka.

- Willy, jeżeli skończyłaś już prowadzić rozmowy ze swoimi przyjaciółmi pod oknami mojej sypialni, to może mogłabyś się przełamać i pokazać mi okolicę? Słyszałem, że tego popołudnia w jednej z waszych strażnic Coast Guard organizowana jest historycznie wierna rekonstrukcja walki o odzyskanie armaty Lyle'a?

- Zazwyczaj nie jestem entuzjastką turystyki - oznajmił sucho Frank cofając Lincolna, a potem jadąc w stronę szosy - ale wydaje mi się, że jest to jedyny sposób, żeby znaleźć się z tobą sam na sam - położył długą, wypielegnowaną dłoń na jej udzie i Willy spojrzała na nią

bezradnie. Do tej chwili udało jej się uniknąć wszystkiego poza paroma pocałunkami, nie doprowadzając przy okazji do sprzeczki, ale szczęście nie mogło trwać wiecznie.

Dotarli do końca podjazdu i Frank zatrzymał się czekając, żeby podała mu kierunek. Willy wskazała aa południe.

- Możemy dojechać do końca drogi w Hatteras, a potem zatrzymać się gdzieś na lunch. Później pojedziemy do Rodanthe, żeby obejrzeć widowisko.

- Uważam, że się mylisz, Willy - powiedział cicho: Frank, kiedy przejechali już jakieś dwie mile.

Odwróciła się w jego stronę i spojrzała ze zdziwieniem.

- Nie, na pewno się nie mylę. Przedstawienie zaczynają dopiero o drugiej. Będziemy mieli dużo czasu, chyba że jesteś bardzo głodny. Wiesz, poprzebierają się w te starodawne mundury. Gdzieś o tym czytałam.

Frank westchnął cierpiętniczo i stwierdził cicho:

- Czasami, Wilhelmino, zastanawiam się dlaczego właściwie cię kocham. Bóg mi świadkiem, chwilami myślę, że jesteś z jakiejś innej planety.

Czują, że szykuje się kolejne kazanie. Frank uważał, że powinna wszystko sprzedać i przenieść się do tego, co nazywał cywilizacją. Według niego marnowała tu życie, nie pomijał więc żadnej okazji, żeby jej to wytknąć.

- Frank, ja naprawdę kocham to miejsce. Nie chcę nawet słyszeć o wszystkich życiowych okazjach, które tracę. Uwierz mi, znalazłam swoje miejsce i bez względu na to, co o tym myślisz, jest ono dla mnie najlepsze. W Waszyngtonie nie mogłabym oddychać.

- To wcale nie musi być Waszyngton. W Wirginii czy w Maryland jest wiele nieruchomości, które można sprzedawać.

- I mnóstwo ludzi, którzy właśnie to robią - odparowała. - Moja licencja nie obejmuje obszarów poza Północną Karoliną.

Jego palce zaciśnięte na kierownicy pobielały gwałtownie, ale właśnie wjeżdżali do miasteczka Hatteras i droga zatłoczona była nie tylko najróżniejszymi samochodami, ale również rowerami, spacerowiczami, joggerami. Był tu też dziwaczny, trzykołowy pojazd z kanadyjskimi tablicami rejestracyjnymi.

- Prawdę mówiąc, Willy, nie chodziło mi p to, gdzie żyjesz, ale jak. Kobieta w twojej sytuacji... - zaklął pod nosem, kiedy niedaleko posterunku ochotniczej straży pożarnej jakiś samochód zajechał mu drogę.

- Przepraszam, Willy. Pozwól, że przejadę skrzyżowanie.

Znowu czekały ją pouczenia pod hasłem „to dla twojego własnego dobra”. Słyszała je

już wcześniej *i* pewnie będzie wysłuchiwać ich dalej do chwili, kiedy albo się podda, albo oświadczy Frankowi prosto z mostu, że nie ma najmniejszego zamiaru kiedykolwiek zmieniać swoich postanowień. Cała trudność polegała jednak na tym, że Frank szczerze się o nią troszczył. Jako przyjaciel Kiela czuł się za nią odpowiedzialny.

- Frank, słowo daję, nie chcę tego słuchać. Wiem, że uważasz mnie za niedbałą i leniwą do szpiku kości, ale Frank, kiedy chcę coś zrobić, robię to. I robię dobrze. Mam zamiar zagospodarować całą resztę mojego terenu, ale nie widzę powodu do pośpiechu. Zarobki, które uzyskuję dzięki domkom, wystarczają na pokrycie moich potrzeb, a gdy trochę się ochłodzi, mam zamiar rozpocząć budowę następnego domu, albo i dwóch.

Zmieniła nieco kierunek prądu powietrza płynącego z klimatyzatora i zastanawiała się, jak ma mu wszystko wytłumaczyć nie raniąc jego uczuć.

- Posłuchaj Frank, mnóstwo ludzi zjeżdża tu z wszystkich stron kraju. Kochają te okolice! To takie miejsce, gdzie nie jesteś tylko kolejnym numerem w spisie ludności. A kiedy się ochłodzi i owady oraz węże nie będą już dokuczały, obejdę całą swoją działkę, wyszukam odpowiedni teren i sprowadzę tu geodetę. Ja naprawdę prowadzę aktywne życie, Frank.

Sprzeczali się spokojnie do przystani promowej w Oracoke. Frank zawrócił i Willy wskazała mu drogę do swojej ulubionej restauracji. Jakby za obopólną zgodą w czasie lunchu nie omawiali spraw osobistych. Dopiero kiedy wyruszyli na północ, do Rodanthe, Frank wrócił do poprzedniego tematu.

- Willy, musisz zdać sobie sprawę, że kobieta w twojej sytuacji jest szczególnie narażona.

Kobieta w jej sytuacji? Chyba chodzi mu o to, że mieszka sama. ~ Mam Spota - wyjaśniła. - Poza tym, Frank, Hatteras nie jest takim miejscem, jak myślisz.

Zjechał gwałtownie z szosy na jeden z kilku parkingów z widokiem na ocean i zahamował ostro między furgonetką załadowaną deskami surfingowymi a kombi z Nowego Jorku.

- Willy, czy muszę ci to tak literalnie tłumaczyć? Dobry Boże, nie zdajesz sobie sprawy, jakie plotki prowokujesz, zadając się z tymi... tymi plażowymi obibokami i podejrzanym osobnikiem, który mieszka w sąsiednim domu?

- Chodzi ci o Baina? - spytała ze zdziwieniem.

- To nie jest żaden osobnik, Frank. Doskonale wiesz, kto to taki. Sam mi go przecież przysłałeś.

- Wszystko jedno.

Obrzucił ją ironicznym spojrzeniem.

- Fakt, że załatwiamy komuś coś rządowymi kanałami, wcale nie oznacza, że jest to człowiek godny szacunku. Nie mogę osobiście badać każdego przypadku. Jeżeli ktoś z innego departamentu zgłosi zapotrzebowanie, mój sekretarz sprawdza czy jest wolne miejsce i załatwia sprawę. Niewykluczone, że pracuje nad tym pół tuzina rozmaitych urzędników i w każdym punkcie może zostać popełniony błąd. Ten cały Scott był głównym tematem wszystkich środków masowego przekazu. Wygląda na to, że wpadł na trop jakichś politycznych machinacji, o których mało kto wiedział, i omal nie spowodował międzynarodowej afery. Doskonale możemy się bez takich obejść. Niech się w to bawi CIA.

- Frank, ten człowiek jest normalnym obywatelem. Prawnikiem. Sam mi to powiedział.

- No cóż, bez względu na to kim jest, nie zalecałbym z nim dalszych hamakowych przygód. Ci twoi szczeniacy są wystarczająco kłopotliwi, ale można uznać ich za stosunkowo niegroźnych - przynajmniej dopóki zachowasz ostrożność.

Willy poczuła, że blednie i robi jej się niedobrze.

- Frank, chyba będzie lepiej, jak odwiesz mnie do domu.

Skrzywił się i zaczął obracać na małym palcu pierścień z brylantem. - Posłuchaj Willy, nie obrażaj się dlatego, że szacunek, jaki mam dla ciebie, daje mi prawo mówić z tobą otwarcie. Oboje jesteśmy dorośli i z całą pewnością nie należę do ludzi pruderyjnych. Mój Boże, kochanie, czyż nie prosiłem cię, żebyś wyszła za mnie? - Skrzywił się i dodał. - Nie, nie prosiłem, prawda? Próbowałem, ale nigdy mi nie pozwoliłaś wypowiedzieć tego do końca.

Uśmiechał się z pewnym smutkiem i Willy, wbrew sobie samej poczuła, że jej gniew zaczyna się ulatniać. Oczywiście, że był pruderyjny, ale jednocześnie tak miły.

- Frank, nie jestem uwodzicielką niemowląt. Mam prawie dwadzieścia osiem lat... A wokół tych chłopaków płacze się tyle plażowych kociaków, że mają w czym wybierać. Ja jestem tylko kimś, u kogo mogą zarobić i to wszystko.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa i ciągnął dalej swoje.

- Wiesz przecież, że od wielu lat pragnąłem, żebyś za mnie wyszła, Willy. Kiel na pewno chciałby...

- Nie mieszaj do tego Kiela, Frank. To sprawa tylko między nami. Wiem, że masz najlepsze intencje pod słońcem, Frank, ale...

- Aha, a teraz będziesz mnie pocieszać. - Jego bladoniebieskie oczy spojrzały na nią pośpiesznie. Willy zupełnie to nie wzruszyło. Nie poczuła nic poza, być może, leciutkim

ukłuciem żalu.

Jakże inny efekt wywoływała pewna para szarych oczu. Gdy spoglądały na nią, miała wrażenie, że ogarnia ją odbierający oddech żar, jakby znalazła się w oku cyklonu.

Frank smukłymi palcami zastukał w kierownicę odwracając jej uwagę od dręczących myśli. - Czyż to nieprawda, że dobrymi intencjami wybrukowane jest piekło? - westchnął.

Już zdążyła zapomnieć cały kontekst tego zdania. To rzeczywiście było niesprawiedliwe, że myśl o Bainie w tym momencie zakłócała jej spokój. Ci dwaj mężczyźni byli tak różni pod wieloma względami, że nie miała prawa ich porównywać.

- Frank, kocham cię jak przyjaciela. Zawsze będziesz mi bardzo drogi, ale...

- Ale najwidoczniej brak mi jakiejś istotnej cechy. Willy. Mnie pozwoliłaś zaledwie na pocałunek - to była prawda - a temu Scottowi, żeby cię obmacywał, jakbyś była na sprzedaż. Bóg raczy wiedzieć, co się tu dzieje w czasie mojej nieobecności.

- Spróbuj mnie zrozumieć, Frank, Bez względu na to co o mnie myślisz, nie śpię z każdym na prawo i lewo. Zaczynam jednak sobie również uświadamiać, że nie mogę żyć tylko połową życia. Moje uczucie do Kiela było niepowtarzalne. Wątpię czy kiedykolwiek się zakocham, ale...

Słowa padały z jej ust powoli, jakby wydobywała je gdzieś z najgłębszych pokładów świadomości. Zrobiła krok na drodze poznania samej siebie, kiedy usłyszała swoje słowa:

- ,, ale gdybym spotkała człowieka, którego mogę szanować i lubić, który by mnie pociągał fizycznie, człowieka, który nie oczekiwałby ode mnie więcej, niż mogłabym mu dać, to wtedy może będę miała z nim romans.

- Scott? - Głos Franka zabrzmiał dziwnie matowo. Willy wzruszyła ramionami, patrząc nie widzącym wzrokiem na wilgotne trawy bladoróżowej wydmy.

- Może. Pociąga mnie, ale... Chyba nie jestem jeszcze na to gotowa. Może nigdy nie będę...

- No dobrze, życzę ci wszystkiego najlepszego. Najwidoczniej nie bierzesz mnie tu pod uwagę. Willy. czy nie mogłabyś jednak przemyśleć tej sprawy i przenieść się gdzie indziej, gdzie przynajmniej byłabyś pod moim okiem? Ze względu na Kiela, jeżeli już nie na mnie.

Chcąc uszanować jego szczerą troskę, Willy zastanawiała się przez kilka minut. Oczywiście, mogła to zrobić. Nie po raz pierwszy zwinęłaby gospodarstwo i zaczęła od początku. Sprzedaż parceli przyniosłaby jej wystarczająco dużo pieniędzy, by mogła się urządzić do momentu przeniesienia licencji.

- Jeżeli potrzebujesz jakiejś pomocy finansowej, jestem do twojej dyspozycji.

Przezesując palcami włosy, zsunęła z głowy chustkę, która opadła jej na ramiona. Z roztargnieniem położyła ją na kolanach i zaczęła skubać jej brzegi.

- Frank - oznajmiła w końcu. - Nie chcę znowu tego robić. Przenosiłam się już tyle razy. Myśl, że musiałabym przejść przez to wszystko jeszcze raz, doprowadza mnie do rozpacz. Ale dziękuję ci. Prawdę mówiąc, to że chcesz się ze mną ożenić, bardzo podnosi mnie na duchu. Chyba oznacza, że w twoich oczach nie jestem zupełnie stracona.

Nie pojechali na widowisko. Frank milczał całą drogę do domu, Willy zaś analizowała wydarzenia minionej pół godziny i uznała, że postąpiła słusznie. Frank dałby jej wszystko, co by zechciała - eleganckie ubrania, pokojówkę - nigdy więcej nie musiałaby zmyć ani jednego talerza. Nie cierpiał zagranicznych sportowych samochodów, ale wybaczyłby jej pasję do nich.

To ostatnia szansa, Willy.

Widziała, że traci to wszystko i nie czuła najmniejszego żalu, ale kiedy mijali domek wynajęty Scottowi, umyślnie patrzyła prosto przed siebie.

ROZDZIAŁ 7

Gdy czarny lincoln przeciskał się tunelem z omszałych gałęzi, Bain stał w drzwiach i patrzył. Na jego twarzy wyraźnie malowała się zaduma. Właśnie bezskutecznie usiłował uporządkować notatki, kiedy usłyszał glosy dobiegające przez zasłonięte okno.

- Frank, mam nadzieję, że będziesz ze mną w kontakcie. Tylko dlatego, że nie chcę...

- Oszczędź mi proszę całej reszty, kochanie - w głosie Franka zabrzmiał ton bólu i Bain uśmiechnął się lekko.

- No cóż, w każdym razie dziękuję ci za befsztyki i wino, Frank - Willy mówiła cicho i Bain musiał bezwstydnie natężyć słuch.

- Pamiętaj, co ci mówiłem, Wilhelmino - ostrzegł ją Frank. - Związek ze Scottem nie przyniesie ci nic dobrego. Skoro już musisz mieć jakiś romans, to miej przynajmniej tyle dobrego smaku, żeby wybrać kogoś ze swojej sfery. Sądzę, że to zupełnie naturalne, iż twoje wymagania pod niektórymi względami się obniżyły, ale moralność i prowadzenie domu są dwiema zupełnie różnymi sprawami i martwi mnie właśnie ta druga. Pokojówkę możesz wynająć zawsze, ale...

Bain czeka! na eksplozję, która jednak nie nastąpiła. Przestrzeń między nim a drogą była zadrzewiona i nie mógł dostrzec, czy już go rozszarpała, czy nie. Na odgłos energicznie zamykanych drzwi samochodu Bain odsunął krzesło i ruszył w stronę wyjścia. Skoro i tak stał się ciekawskim sąsiadem, niechże zbada sprawę do końca. Gdy tak patrzył na ciemny połysk wytwornej karoserii sunącej wolno po wąskiej, piaszczystej dróżce i wreszcie znikającej za drzewami, w jego myślach zaczęły odbijać się echem wypowiedziane przez Smitha słowa ostrzeżenia.

Usiadł przy prowizorycznym biurku i zaczął kartkować plik notatek. Myślami jednak wciąż był przy tej irytującej, fascynującej kobiecie z sąsiedztwa. Wcale się nie starał ukryć przed samym sobą, że uważa ją za atrakcyjną, nie był jednak pewien, jak głębokie jest to zainteresowanie. Z drugiej jednak strony, skoro miała ochotę na przygodę, byłby szalony odmawiając.

- I byłbym wariatem, gdybym wiązał się z taką kobietą jak Willy - dokończył na głos. Ostatnia rzecz pod słońcem, jakiej potrzebował, to wplątanie się w kolejny beznadziejny romans. Historia z Suzanne ryle go przynajmniej nauczyła. Zgniół bezwiednie w palcach ułożony z trudem spis konfliktów dotyczących pewnego państewka w Ameryce Środkowej.

Nie, i jeszcze raz nie. To, że wynajął od niej dom czy że uznał ją za jedną z

najbardziej nieznośnych, choć interesujących istot, jakie ostatnio spotkał, wcale nie oznacza, że musi z nią flirtować. Po prostu ma się trzymać od niej z daleka. Jeżeli będzie czegoś potrzebował, poprosi chłopców. Nie będzie musiał niepokoić pani Faulkner.

Przez następne pół godziny Bain siedział nad papierami, które zgromadził w ciągu paru ostatnich lat i próbował przekonać siebie, że jest to materiał na wartościową książkę. Czy aby na pewno ludzką naturę zmieni kolejne dzieło o nadużyciach elity władzy i szybkiej dewaluacji ideałów tych, którzy postanowili ją obalić.

Po co więc zawraca sobie tym głowę? Nieraz zadawał sobie to pytanie. Ma przecież skromny kapitał i należy mu się odprawa. Wszystko razem zapewni mu utrzymanie przez rok. Jeżeli w tym czasie nie sporządzi materiału, który mógłby zainteresować wydawcę, wpakuje to wszystko do szuflady i zajmie się działalnością prawniczą. Jeżeli i to zawiedzie, w każdej chwili będzie mógł wrócić do Symington - Rolles jako konsultant albo pracownik łącznikowy.

Uczciwie starał się pozbyć balastu przeżyć, ale jego powrót do domu znaczyło cierpienie - nie tylko z powodu potrzaskanej nogi. Istniało po prostu zbyt wiele pytań i zbyt wiele odpowiedzi. Kiedy leżał na wznak na szpitalnym łóżku, zdołał dopracować się właściwej perspektywy i pogodzić z faktem, że jest niczym drobina zawieszona na niewiarygodnie wielkim kole ewolucji i może jedynie mieć nadzieję, że jej minimalny ciężar pozwoli temu kołu obracać się we właściwym kierunku.

- Boże, co we mnie wstąpiło?

Znowu wstał, przewracając krzesło i rozglądając się wkoło nieprzytomnie. Wszystko przez tę pogodę - powietrze stało jak nieruchome. Barometr nieprawdopodobnie opadł i Bainowi wydało się, że oszaleje; jeśli stąd natychmiast nie wyjdzie!

- Chodź stary, przespacerujemy się.

Seter niechętnie wylazł z cienia werandy, gdzie przespał większą część dnia, Bain skierował się w stronę brzegu. Kiedy mijał dom Willy, umyślnie popatrzył w drugą stronę.

Willy miała na sobie znowu szorty i wypływały czerwony stanik. Lepiły się do niej, kiedy zdejmowała pościel z łóżka na dole i wytrzepywała piasek z chodników. Unikała jak mogła wszelkich domowych zajęć, ale niekiedy jakiś wewnętrzny przymus kazał jej rzucać się w wir prac fizycznych. Dzisiaj było zbyt gorąco, żeby pracować przy umacnianiu brzegu, postanowiła więc posprzątać po Franku.

W głębi duszy wiedziała, że nie tylko Franka usiłuje usunąć ze swoich myśli. To, co powiedział na pożegnanie o Bainie niesłychanie ją martwiło. Czy rzeczywiście świadomie chciała się z nim związać? Nie więcej niż jedna poważna decyzja na tydzień, litości! Przy tej

pogodzie nawet jedna na miesiąc to za wiele. W przypadku Franka w ogóle nie było powodu do podejmowania jakichkolwiek decyzji. Nigdy w życiu nie wyszłaby za niego za męża. Był bardzo miły, ale po prostu nudny. Pójście z nim do łóżka było czymś zupełnie nie do pomyślenia.

Jej niesforna wyobraźnia znowu wróciła do Baina, na chwilę przerwała zmienianie pościeli. Usiadła na krawędzi łóżka i mimowolnie zaczęła wygładzać dłonią materac.

Nie wiadomo skąd miała pewność, że Bain byłby wspaniałym kochankiem - uczuciowo szczodrym, delikatnym, cierpliwym i z wyobraźnią. I ta skomplikowana osobowość. Czasami czuła, że prawie zaczyna go rozumieć, ale wtedy zamykał się w sobie i zostawała jakby na zewnątrz, odseparowana od niego, odrzucona, jak pierwszego dnia, kiedy nieomal rozszarpał ją z wściekłości.

Willy wstała i otrząsnęła się z niepokojących ją myśli. Nie ma czasu na takie bzdury. Lada dzień będzie znowu mnóstwo zajęć i ostatnia rzecz, na jaką mogła sobie pozwolić, to dać zawrócić sobie w głowie człowiekowi, który dziś jest, a jutro go nie ma. Czeka ją praca.

Ale nie dzisiaj. Jest zbyt gorąco. I Bain właśnie przeszedł koło domu razem z psem.

Nie mogła pozwolić sobie na luksus ciągłego myślenia o Bainie, bo za każdym razem, rozsądek zaczynał jej płać głupie figle. W chwilach większej trzeźwości umysłu, zdawała sobie sprawę, że jeżeli zdecyduje się na jakiś nowy związek, to na trwałych podstawach. Bain zaś był tylko obcym mężczyzną, który przewinął się przez jej życie. Czy może zaufać obcemu?

- Nie - stwierdziła stanowczo i wrzuciła brudne prześcieradła i poszewki do kosza na bieliznę, a potem poszła do łazienki po ręczniki.

Willy wystawiła przenośną pralkę na dolną werandę tuż przed zapadnięciem zmroku i napełniła ją wodą za pomocą węża ogrodowego. Pranie zajęło jej niemal godzinę. Powiesiła ostatni ręcznik dokładnie w chwili, kiedy zrobiło się już całkiem ciemno. Spot biegał pod sznurem do bielizny i kilka razy nieomal się przez niego przewróciła.

W nocy zaczęło padać. Obudziło ją ogłuszające bębnienie deszczu o dach. Błyskało i grzmiało cały czas, zwinęła się więc pośrodku wielkiego łóżka, świadoma ciężkiej pustki.

W czasie śniadania nastawiła radio na ostatnie wiadomości. Informowano o fali tropikalnego powietrza, która przekształciła się w niż; zlokalizowana dwieście pięćdziesiąt mil na wschód od Palm Beach, teraz przesuwała się na północ.

- Pewnego dnia, Spotty, zmyje nas stąd, razem z workami piasku, wodorostami i ze wszystkim - mruknęła stawiając talerz z jajecznicą na podłodze.

Do południa sprzątała na obu piętrach z pedanterią, która nią wstrząsnęła. Oczywiście

nic przy tym deszczu nie schło. Podłoga w kuchni lśniła jeszcze wilgocią, gdy z rezygnacją przeszła po niej, żeby nastawić kawę. Czekając, aż się zaparzy, przysiadła na poręczy sofy i popatrzyła przez rozciągającą się na zewnątrz szarość w stronę drugiego domu. Na dole paliło się światło. Co Bain robi? Czy jadł już śniadanie? Czy potrzebuje czegoś ze sklepu? Ostatnio nie proponowała, że zrobi mu zakupy, a on nie poprosił jej o to. Pomyślała, że pewnie chłopcy przynosili mu wszystko, czego sobie życzył, doskonale ją to urzędało. Nie potrzebował jej, ani ona jego.

Przez trzy nie kończące się, szare dni deszcz padał bez przerwy. Willy chyba spostrzegła raz Baina wracającego ze spaceru, ale nie była tego pewna. Spoglądała w stronę jego domu i podziwiała, jak hiszpański mech na deszczu zmienił barwę z szarej na soczystozieloną, kiedy dostrzegła Scotta. Wchodził właśnie na werandę i otrząsał się z wody.

Najwidoczniej nie przywiózł płaszcza przeciwdeszczowego. Uznała, że przynajmniej powinna pożyczyć mu parasol. I zrobi to - zaraz po lunchu.

Spotkali się w połowie drogi między domami. Willy ścisnęła drewnianą rękojęść parasola i chowała się pod jego zielono - pomarańczową osłoną. Zawahała się i zwolniła kroku, widząc idącego w jej stronę Baina. Postanowiła nie zatrzymywać się długo - poda mu parasol, powie coś błyskotliwego i wesołego, a potem szybko wróci do domu. Z całą pewnością nie będzie mógł twierdzić, że się mu narzuca.

- Czy mogłabyś mi pożyczyć na chwilę parasol?

- zapytał.

- Jest twój... To znaczy, właśnie ci go niosę. - Willy cofnęła się lekko, kiedy dotknęła ją przelotnie ciepła dłoń Baina. Poczwała na plecach chłodne krople deszczu.

- Dziękuję. Jeżeli możesz go pożyczyć, bardzo mi się przyda. - *Znowu ten aromat, który nie jest zapachem perfum!* Nie powinien być poddawać się słabości. Powinien utrzymać dystans. Tylko w ten sposób zachowa zdrowe zmysły.

- Jak to potrwa dłużej, będziemy potrzebowali arki, a nie parasola - Willy przytłaczała świadomość jego bliskości, ciepły, piżmowy zapach jego ciała, miedziany błysk nagich ramion przeświecający spod oblepiającej je koszuli. Czy rzeczywiście na palcu wisi mu kubek? Pewnie pił kawę na werandzie.

- Pewnie tak, zanoszą się na to - przytaknął ochrypłym głosem Bain. Do diabła, wszystko zaczyna się od nowa! Ubiegłej nocy zdołał już podjąć postanowienia i w jego planach nie było miejsca na żadne przygody z tą kobietą, bez względu na to jak bardzo go pociągała. Sięgnął do uchwytu wielkiego parasola i ledwo stłumił jęk, gdy jego ręka zetknęła się z jej dłonią.

- Ta pogoda chyba paskudnie działa na twoją nogę, prawda? - mruknęła ze współczuciem Willy. - Kobieta w sklepie mówiła, że artretyzm doprowadza ją do szału, gdy tylko wiatr zmienia się na wschodni.

Bain przestąpił z nogi na nogę, przybierając nieco bardziej agresywną pozę. - Nie mam artretyzmu i możesz mi wierzyć, nie zdziecinniałem do reszty. Z powodu wiatru i paru kropel deszczu nie muszę kłaść się od razu do łóżka.

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że jesteś taki drażliwy.

- Do diabła, wcale nie jestem drażliwy - warknął. A potem dodał nieco łagodniejszym tonem. - Dlaczego miałbym być drażliwy?

Willy spojrzała na niego i w jej sennych, zielonych oczach zamigotał uśmiech. Był zaraźliwy i Bain również się rozchmurzył. Po chwili śmiali się już oboje. - Chodź do ,mnie - zaproponowała. - Zaparzę świeżą kawę. Jadłeś już lunch?

Bain zauważył, że pod stolikiem do kawy nie było butów ani bielizny na sofie i Willy przyjęła jego pochwałę lekkim skinieniem głowy. Zaproponowała mu ostatni kawałek ciasta, które upiekła parę dni temu i Bain pochłonał go w trzech kęsach, przyznając się, że jest strasznym łasuchem.

- Moja matka robi najlepsze na świecie domowe krówki. Kupne słodczyce nie mogą się z nimi równać - powiedział, wycierając włosy czystym ręcznikiem, który podała mu Willy. Większa część jej prania wciąż jeszcze wisiała na sznurze i mokła.

- Jedna z moich macoch też uwielbiała słodczyce. Jasper - mój ojciec - miał zwyczaj przynosić jej na przeprosiny pudełko kandyzowanej skórki pomarańczowej w czekoladzie.

- I to pomagało?

- Owszem, szczególnie jeśli pudełko było przewiązane naszyjnikami z diamentów.

Bainowi przeleciała przez głowę mimochodem niepokojąca myśl. A więc wyrastała w zamożnym środowisku, podczas gdy on w stosunkowo ubogiej rodzinie, a przez wszystkie lata nauki utrzymywał się ze stypendiów i dodatkowej pracy. W układach lokator - gospodyni nie miało to większego znaczenia.

- Moim jedynym powodem do dumy - stwierdził skromnie - są krówki. Nigdy nie potrafiłem ugotować jajka ani usmażyć steku, żeby go nie spalić, ale mogę zrobić wspaniałe czekoladowe krówki, nawet w czasie deszczu.

- A co ma do tego pogoda? - Willy odlepiła od ud mokre szorty i wyszła na chwilę, żeby przebrać się w coś suchego.

- Jedynie mistrz sztuki cukierniczej potrafi przy tej pogodzie doprowadzić krówki do zastygnięcia - zawołał Bain przez drzwi do sypialni. - Czy nie masz nic przeciwko temu, że

zdejmę koszulę i powieszę ją pod wentylatorem?

- Możesz użyć wiatraka do suszenia wszystkiego, o czym zamarzysz, pod warunkiem że zapłacisz mi za to czekoladowymi krówkami. Nie wyobrażam sobie nic lepszego na taki dzień jak dzisiejszy.

Willy miała kakao, masło, cukier i skondensowane mleko, a Bain stwierdził, że dadzą sobie radę bez wanilii. Ustawiła sobie krzesło w drugim końcu kuchni i obserwowała, jak zabiera się do demonstrowania swych kulinarnych umiejętności. Jego nagi tors połyskiwał pod niezbyt gęsto zarastającymi go ciemnymi włosami, a za paskiem wilgotnych spodni miał zatknięty ręcznik.

- Chcesz wylizać garnek czy chochlę? - zapytał jakieś dwadzieścia minut później. - Garnek jest większy, ale na tej dużej chochli zostaje więcej czekolady.

- W takim razie oczywiście chochlę.

- Łakomczuch - uśmiechnął się do niej i Willy zaczęła mieć pewność, że popełniła błąd. Chłodny, deszczowy dzień, ciepła, pachnąca kuchnia, mężczyzna i kobieta...

Rozłożone na talerzu czekoladowe krówki zastygały na piecu. Razem pozmywali. Willy usiadła na sofie, położyła nogi na stoliku do kawy i zabrała się do wylizywania z chochli gorzko - słodkiej masy. Bain, z większą powściągliwością, wyskrobywał czekoladę z garnka łyżką. Odwiązał ręcznik, zdjął wilgotne mokasyny i Willy zafascynował kontrast między dużymi, ale kształtnymi białymi stopami i pokrywającymi je czarnymi włosami.

Zauważył jej spojrzenie.

- O co chodzi, czy widok nagiej, męskiej stopy cię gorszy?

- Raczej nie - roześmiała się. - Ale jeszcze kilka takich dni, a między palcami zaczniesz ci wyrastać błona. - Zgorszenie na pewno nie było słowem, które oddawałoby uczucie, jakie ją ogarnęło. Lubiła owłosione męskie nogi. Dotykanie ich podniecało ją. Podniecała ją nawet sama myśl o tym.

Szybko spuściła wzrok na swoją wielką łyżkę. Wylizywała ją dokładnie, starając się unikać jego spojrzenia. Kiedy poczuła, że się poruszył, zebrała się w sobie, aby wytrzymać narastające gwałtownie między nimi napięcie.

Sofa pod nią ugięła się, pochylając ją w stronę szerokiego, nagiego ramienia i Willy odsunęła się nieco. Bain wyciągnął rękę, wyjął łyżkę z jej dłoni i położył ją na stoliku do kawy.

- Podnieś głowę, Willy - powiedział. - Jesteś brudna od ucha do ucha.

Uniosła z wahaniem głowę i aż nabrała głęboko powietrza, widząc, co kryje się w jego chmurnych, szarych oczach.

- Rzeczywiście? - udało się jej wykrztusić.

- Gdybym miał na sobie koszulę, posłużyłbym się jej połą.

Beznadziejnie pochłonięta mocą jego ciemnej namiętności, szepnęła:

- Papierowe ręczniki są w kuchni.

- Kuchnia jest za daleko. Znam lepszy sposób. - Momentalnie zmniejszył dzielącą ich odległość. Kiedy w kąciku ust poczuła pierwsze dotknięcie jego języka, zaczęła topnieć jak wosk.

Bain, trzymając ją w ramionach, przesuwał językiem po całej twarzy, zupełnie jakby był kotem, a ona kociakiem i nie pozostawił najmniejszej nawet plamki słodczy. Gdy jego usta zbliżyły się do ucha Willy, roześmiała się bez tchu.

- Przecież nie mogłam się tam pobrudzić czekoladą.

- A jednak - mruknął poważnie Bain, przesuając językiem po zewnętrznej krawędzi ucha, by po chwili wniknąć nim do wrażliwego wnętrza.

- To pieg - zaprotestowała Willy, czując jak przebiega ją dreszcz.

- Nie mogę mieć tej pewności, dopóki nie spróbuję... Nie ruszaj się.

Jego dłonie zsunęły się z ramion Willy, głaszcząc jej ręce, a potem objęły ją całą. Bain zostawił w spokoju . ucho i zajął się piegami na jej gładkiej szyi, a po długiej, rozkosznie wolnej podróży w dół jego wargi spoczęły na gorączkowo pulsującej żyłce nad obojczykiem. Była słodsza od jakiegokolwiek czekolady na świecie, słodsza niż wszystko, czego dotąd próbował. O Boże, miał koszmarne przecucie, że zamięłowanie do tej słodczy przejdzie mu w nałóg.

Z głębokim westchnieniem położył ją na sofie i opadł na miękkie ciało Willy. Pragnął jej piersi. Przebrała się w męską koszulę, którą już raz miała na sobie. i udało mu się rozpiąć cztery górne guziki, aby odsłonić jedną półkulę. Przez długą, niemal bolesną chwilę patrzył na nią, nie rozpoczynając pieszczot.

- Zastanawiałem się, czy piegi są wszędzie - powiedział ochryłym głosem. - Kończą się mniej więcej tutaj... - Nachylił się nad jej dekoltem. - Jeszcze jeden jest tutaj... - Pocałował samotny bursztynowy pieg, który ozdabiał blady szczyt jej piersi, a potem zwrócił uwagę na różowy guziczek sterczący z małego, płaskiego krążka koloru zaszuszonego płatka róży.

- Oooh, Bain nie mogę tego znieść - zawołała cicho Willy. Wilgotny i gorący czubek jego języka omal nie pozbawiał jej zmysłów.

- Poddaj się temu, Willy - wyszeptał ochryple.

- Nie mogę, nie mogę - jęknęła ledwo słyszalnie. Niech nie przestaje, pomyślała. Uniosła głowę, żeby spojrzeć na płataninę jego gęstych, czarnych włosów i po chwili jęknęła,

poddając się sile, której nie mogła już dłużej stawiać oporu. Całymi nocami zastanawiała się, co czułaby z innym mężczyzną. Teraz już wiedziała. Podniecenie niemożliwie narastało.

Bain położył się na boku, by rozpiąć do końca jej koszulę. Kiedy drżącymi palcami wyjmował ostatni guzik z wiążącej go dziurki, rozchylił koszulę i spojrzał na ciało Willy. Było idealne - krągłe biodra, długa.

wąska talia, a ponad nią delikatny zarys żeber. I te dwie półkule rozkoszy z ich maleńkimi różowymi minaretami.

Oddech Baina ogrzał jej pępek, jego wzrok skierował się w stronę pozostałego jeszcze skąpego, nylonowego okrycia. Nad krawędzią jej cieniutkich, niebieskich majteczek widniała linia opalenizny, ale od niej aż do cienistego trójkąta u zbiegu ud nie było piegów. Wsunąwszy dłonie pod gumkę fig, zaczął zsuwać je z bioder Willy.

Nie mogła tego wytrzymać. Czula nieomal fizyczny ból namiętności, ten straszny, niewiarygodnie cudowny ból wewnątrz niej. Ale w ostatniej chwili ogarniająca ją panika stłumiła narastające w niej pożądanie. Zawahała się.

- Bain, nie jestem pewna.

Jego dłonie ujmowały jej pośladki, czuła wpijające się w ciało palce. - Dość późno przyszło ci to do głowy! - jęknął.

- Może... Może najpierw byśmy porozmawiali? Wtulił twarz między jej piersi i przez parę chwil spoczywał tak niemal bolesnym ciężarem. Wreszcie westchnął, podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Tak, owszem. Przeprowadzimy sobie miłą, towarzyską rozmowę, a potem zaczniemy w tym miejscu, gdzie skończyliśmy, prawda? - Uśmiechnął się, siadając na krawędzi sofy. - Willy, jak na dorosłą kobietę, to chyba trochę ci brak wiedzy.

Willy niezgrabnie podciągnęła kolana i przesunęła nogi za jego plecami, by potem opuścić je na podłogę. Unikając jego wzroku, zaczęła zapinać koszulę.

Własne ciało sprawiało jej wystarczająco dużo kłopotów. Nie chciała, by do przeżywanych przez nią cierpień, Bain dołączał jeszcze swoje oskarżenia.

- Uświadomiłam sobie, że możemy oboje tego żałować. Niewykluczone, że stanie się to silniejsze od nas - powiedziała obronnym tonem.

- Właśnie sobie uświadomiłaś, co?

- Tak - odparła ostro. - Może dla ciebie jest to zwykła praktyka, ale ja na co dzień nie... no wiesz...

- Nie, Willy. Nie jestem pewien, czy wiem. Może mi o tym opowiesz?

- No cóż, jeżeli masz zamiar być taki - powiedziała zaczepnie, ale przerwał jej.

- Do diabła, nie mam zamiaru być taki, jak to określiłaś. Jeżeli chcesz wiedzieć, czuję się cholernie speszony! Byłaś zameżna. Czy twój mąż nie nauczył cię nic o pewnych życiowych drobiazgach?

- Jeżeli masz na myśli to co ja, dowiedziałam się o tym, zanim skończyłam uczelnię - mruknęła Willy. pochylając brodę, by zapiąć górny guzik koszuli.

- Powinienem zaufać swemu instynktowi i trzymać się od ciebie z daleka - rzekł Bain. Wstał i zaczął wędrować po nienaturalnie zadbanym pokoju. Dotknął maleńkiego cynowego słonia, nie patrząc nawet na niego, a potem wziął do ręki popielniczkę z onyksu Postawił ją z powrotem na lśniącym blacie stołu i przesunął wskazującym palcem po grzbiecie atlasu ziół.

Willy niepewnie przyglądała się jego niespokojnym ruchom. Była temu winna w równym stopniu jak on. Sama przecież poszła do niego, kiedy zorientowała się, że Bain do niej nie przyjdzie. Zgarbiła się i zebrała w sobie, by go przeprosić.

- Bain, wybac mi. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Obiecałam sobie, że nie będę jędzą, ale...

Pochylił się gwałtownie, klnąc cicho pod nosem.

- Do diabła, Willy, nie rób tego! Jeżeli ktoś jest tu czemuś winien, to na pewno nie ty, w każdym razie nie bezpośrednio - Jego wargi wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu. - Trzymałem się długo, tak długo jak mogłem, ale w końcu poszedłem do ciebie. Ten kubek... to był pretekst. Miałem zamiar pożyczyć soli, piasku... cokolwiek, dzięki czemu mógłby cię zobaczyć. Nie potrafiłem się na niczym skupić, a ten deszcz przeważył szalę.

Westchnęła i zapytała? - Ty też?

Bain usiadł na jednym z dwóch wyplatanych krzeseł stojących przy stole z kamiennym blatem. Patrzył posepnie w przeciwległy kąt pokoju na Willy, siedzącą z podkulonymi nogami na wytartej, zielonej sofie. Cisza, jaka zawisła między nimi, nie była szczególnie przykra i postanowił jej nie przerywać. Nie ułożyło się między nimi - do tego było daleko. Ale nad tym, co się stało, nie można było przejść obojętnie.

ROZDZIAŁ 8

- Nie myślisz, że pewnego dnia obudzę się i zobaczę wody cieśniny Pamlico pod oknami sypialni? - spytała Willy nie mogąc już dłużej znieść ciszy. W obecnej chwili erozja brzegu była ostatnią rzeczą, jaką się przejmowała. Bardziej niepokoiła ją erozja czego innego - jej siły woli.

Bain potrząsnął głową, jakby usiłował zebrać myśli przed odpowiedzią.

- Nie, uważam, że zanim do tego dojdzie, opamiętasz się i wezwiesz fachowców, żeby zrobili wszystko jak należy. Dlaczego nie chcesz, żebyśmy się kochali, Willy?

Jej elegancko przycięte paznokcie wybiły się w skórę na kostkach. Była mu winna przynajmniej uczciwe wyjaśnienie. W końcu to ona ściągnęła go tu z deszczu.

- Bain, gdybym wiedziała, na pewno bym ci wyjaśniła. Słowo daję, że bardzo chciałam,, się kochać. Nie przeczę, że mnie pociągasz. To znaczy fizycznie.

- Ale w żaden inny sposób, prawda? - spytał sucho. Willy zmieszana odwróciła twarz od jego badawczo patrzących oczu.

- Bardzo mało się znamy.

- W dzisiejszych czasach to nie zawsze jest przeszkodą - odparł spokojnie.

- Dla mnie jest - obruszyła się gwałtownie. - Bain. nigdy nie spałam z żadnym mężczyzną poza Kielem. Ja... nie sądzę, żebym była stworzona do sezonowej miłości.

- Wcale nie musi być sezonowa. Popatrzyła mu sceptycznie w oczy.

- A jak może być inaczej? Nie kochamy się... A ty za sześć tygodni wyjedziesz.

- Wcale nie muszę wyjeżdżać - odważył się wykrztusić Bain, wstrząśnięty, że słyszy te słowa padające z jego ust.

Willy patrzyła w zamyśleniu. Stopniowo zaczęła się uspokajać. Rozmowa nie stanowiła żadnego zagrożenia. Śmiertelnie przerażało ją co innego.

- Czy nie masz nikogo... do kogo możesz wrócić?

Bain wstał zwinnie, prawie nie czując skurczu w kolanie i zaczął chodzić po pokoju. Zdawał sobie sprawę, że porusza się po bardzo cienkim lodzie. Przysięgał sobie, że będzie trzymał się z dala od podobnych komplikacji, a teraz jak głupi sam się o nie doprasza.

Rzucił palenie nieco ponad rok temu. Z przyzwyczajenia poklepał się po miejscu, w którym powinna znajdować się kieszonka koszuli, gdyby miał na sobie koszulę.

- Słuchaj, dlaczego nie ogłosimy na następne parę tygodni zawieszenia broni - zaproponował, przeczesując palcami rozczochrane włosy. - Mam pewne rzeczy do zrobienia i

ty też. W wolnych chwilach będziemy mogli poznać się lepiej. Proponuję układ czysto platoniczny. Kto wie, może w końcu zostaniemy serdecznymi kumplami. - Jego oczy spoczęły na bliźniaczych wypukłościach pod cienką bawełnianą koszulą i przełknął gwałtownie ślinę. Oczywiście - platoniczny. Wystarczyło, że na nią popatrzył, czuł jak ogarnia go żar.

- To brzmi dość rozsądnie - przyznała ostrożnie Willy. Przynajmniej będzie mogła wewnątrznie się pozbierać. - Na początek co byś powiedział o wspólnym spacerze? Pewnie nie zauważyłeś, więc na wszelki wypadek informuję cię, że ten bladożółty pasek na werandzie to słońce, które próbuje przebić się przez chmury. Czuję gwałtowną potrzebę spaceru. Bain uśmiechnął się złośliwie.

- Tak, ja też mam trochę energii do wykorzystania. Przedzierające się przez czarne chmury światło słoneczne rzucało oślepiające błyski na powierzchni wody o barwie cyny. Diamentowe krople deszczu połyskiwały na bladozielonych trawach wydm, a kępy dzikich hibiskusów podnosiły z nadzieją swe różowe, osmagane deszczem główki.

Bain zatrzymał się w miejscu, gdzie leśna ścieżka dochodziła do wąskiej, białej plaży i odetchnął głęboko. - Boże, ależ to cudowne - powiedział niemal z czcią.

Willy stała koło niego w milczeniu. Przyzwyczała się do dzikiego, niesforenego piękna tego zaniedbanego kawałka wybrzeża. Płataniny wybielałych korzeni i gałęzi wzdłuż brzegu były niemymi świadkami wieloletniego działania ostrych, pędzonych wiatrami przypływów, a sterty ciemnych wodorostów przesycaly ostrym zapachem słone powietrze.

- Myślę, że wystarczyłoby mi do szczęścia samo obserwowanie zmian pogody - mruknęła Willy. - Nawet w czasie strasznych upałów, codziennie jest jakaś drobna zmiana. Nawet deszcz ma tutaj swój szczególny urok, z jakim nie spotkałam się nigdzie indziej.

Bain zeskoczył z niewielkiego wzniesienia i odwrócił się, żeby podać jej rękę. Willy pozwoliła, aby pomógł jej zejść ścieżką, po której mogła poruszać się z zamkniętymi oczyma.

- Patrz, pędzi Spot - wskazała ciemnoczerwoną plamę poruszającą się wśród wysokich traw.

- Pewnie jemu też brakuje spacerów.

Słowa Baina przerwało pełne podniecenia szczekanie, oboje zaczęli biec. Spot od dawna przestał już szczekać na mewy.

Był to szop. Kiedy dobiegli do niskiego, osypującego się cypla wychodzącego na płyciznę, przeciwnicy znajdowali się w odległości czterech metrów od brzegu. Szop z charakterystyczną, czarną maską na pyszczku szarobrazowymi łapami obejmował kark setera; Bain widząc to, zeskoczył z niskiego, pokrytego darnią brzegu i pobiegł w stronę zwierząt.

- Bain, nie rób tego - zawołała Willy. - Zrobisz sobie krzywdę.

Bain próbował zawołać psa, ale został całkowicie zignorowany. Spot nagle zaskomlał i zaczął się cofać. Mały wojowniczy szop opuścił łapy, ale pozostał na miejscu.

- Wracaj, ty głupi kundlu! - Bain schwycił psa za obrozę i zaczął ciągnąć go w stronę brzegu.

- Możesz go puścić. Wykonał już swój pokaz *machismo*.

Teraz będzie pilnował brzegu dopóki nie zgłodnieje, a szop posiedzi w wodzie, aż się przekona, że brzeg jest wolny. Najprawdopodobniej ma w lesie małe i nie chce zaprowadzić do nich tego łobuza.

- Nie nudzisz się tu ani przez chwilę, prawda? - rzekł z podziwem Bain wylewając wodę z mokasynów. Spodnie, prawie już wyschnięte po niedawnym zmoknięciu, teraz znowu można było wyżywać.

- Czy chcesz wrócić i wysuszyć się, czy wolisz iść aż do końca? - zapytała Willy.

Uniósł ironicznie jedną brew. - Sądzę, że to nie była żadna dwuznaczność, co?

- Słusznie sądzisz - odparła z uśmiechem. - Chodźmy dalej. Możemy wrócić przez Zatokę Czapli. Możesz zostawić buty tutaj. Na tym odcinku nie ma żadnych ostrych muszli.

- A więc znasz tu każdego szopa i każdą muszlę. Czy możesz mi przysiąc, że za następnym cyplem zobaczę czaplę?

- Przykro mi, ale nie mogłam ich namówić, żeby się tam zbierały. Ale musiałam to miejsce jakoś nazwać, a zazwyczaj jest tam więcej czapli niż gdziekolwiek indziej. Kiedy się tu sprowadziłam, dostałam bzika na punkcie nazywania wszystkiego, co zobaczyłam.

Zatrzymała się, podniosła zbielałą kość i pokazała ją Bainowi.

- To żebro Czarnobrodego. Zginął niedaleko stąd. koło mielizn przy Ocracoke.

- Raczej resztki prosiaka z rożna. Pewnie teraz nazwiesz to miejsce Plaża Kości.

Willy uśmiechnęła się i odrzuciła kość, którą Spot natychmiast zaczął ostrożnie badać.

- Dobrze, możesz się ze mnie wyśmiewać. Wpisałam wszystkie nazwy na sporządzony przeze mnie plan parceli. Przydadzą się, kiedy rozpocznę zagospodarowanie różnych miejsc.

Szli plażą od czasu do czasu podnosząc kawałki wyrzuconego przez fale drewna czy zatrzymując się, by popatrzeć na parę rybołówów lecących na wieczorne polowanie.

- A co byś powiedziała - odezwał się Bain - na Cypel Szopa. W ten sposób zostałyby upamiętniona niedawna potyczka Spota.

- Może raczej Cypel Rejterady Spota?

- A jak się nazywa to miejsce po naszej stronie mokradeł, to z wiewiórką na drzewie laurowym - Zatoka Laurowa? [w oryginale Bay Bay - jest to gra słów, po angielsku bowiem

bay znaczy i laur, i zatoka]

Willy zachichotała. - Powinna się nazywać zatoka Więcierza, ale rzeczywiście masz rację. To Zatoka Laurowa. Tuż obok Bagna Żmij.

Bain ominął wystający pień i podał Willy dłoń.

żeby pomóc jej przejść przez przeszkodę. Ale zapomniał ją potem wypuścić.

- Zatoka Laurowa, co? A ten fragment przed twoim domem pewnie nazywa się Hamakowa Polana?

- Nie traktujesz tego poważnie, Bain. Zastanawiałam się, czy nie uhonorować cię nadając twoje imię wzgórzom na Bagnie Żmij, ale jeżeli masz zamiar sobie z tego kpić, to obawiam się, że...

Przyspieszył kroku, wyprzedził ją i schwycił za ramiona patrząc z żartobliwą groźbą.

- Śmiesz twierdzić, że sobie kpię? Ty, która wymyślasz te wszystkie nieprawdopodobności?

- Jak śmiesz nazywać moje nazwy nieprawdopodobnościami? Ty, który wymyślasz takie słowo jak nieprawdopodobność? A poza tym sam się do niektórych nazw przyczyniłeś.

- A nie zazdrościsz mi ich? Co mi za nie dasz? Ale uprzedzam, że nie są tanie. - Jego szczupła, ogorzała twarz była poważna, ale w szarych oczach tańczyły iskierki przypominające rozbłyski słońca na wzburzonych falach.

- Ha! Można cię kupić za talerz *huevos rancheros* - parsknęła. - A poza tym, dlaczego uważasz, że już nie nazwałam Hamakowej Polany? W końcu to moje podwórko, prawda?

- Już nazwałeś? - Jego palce, choć wcale się nie poruszały, zdawały się pieścić jej delikatne obojczyki i Willy poczuła, jak bardzo chce się przytulić do Baina.

Bez słowa pokręciła tylko głową.

- To dom, po prostu dom - roześmiała się po chwili i wyswobodziła z jego lekkiego uścisku. - Może nazwę to Znikające Wzgórze, albo., albo... Odpływające Piaski.

Bain spostrzegł, że jej ciemnozielone oczy pociemniały nagle. Objął ją przyjacielskim gestem i zawrócili z Zatoki Czapli, by skierować się w stronę domu.

Pewnego dnia będzie musiała się poddać i zlecić całą robotę fachowcom. Jeden dzień jednak nie robi większej różnicy, a nie chciał psuć reszty spaceru pouczeniami.

- Poczekaj - zastanowił się. - A jak ja bym nazwał te wzgórza pośrodku bagna pełnego węzów? Co byś powiedziała na Przeciwnadowe Poletko? Nie? Wolałabyś coś bardziej poetyckiego?

Cienie w jej oczach zniknęły i już z uśmiechem przyglądali się wieczornemu

polowaniu rybołówów. Ptak wynurzał się efektownie ze spienionej fali i wzbijał w górę z okazałym łupem.

- Jeżeli lubisz ryby, któregoś dnia zastawię sieci. Możesz mi pomóc łapać. Brodzenie jest doskonałym zabiegiem rehabilitacyjnym - powiedziała Willy.

Bain obiecał jej układ platoniczny, ale po tygodniu Willy doszła do wniosku, że wolałaby, aby nie zachowywał się tak szlachetnie. Pomagał jej napełniać worki piaskiem i układać je na brzegu, a ona rewanzowała mu się domowymi obiadami. Nalegał, żeby myć naczynia, i Willy pozwoliła mu na to. Nie zdarzyły się już historie takie jak w dniu, kiedy przestało padać. Z przygnębiającym brakiem rezultatów jej umysł starał się przekonać ciało, że jest za to wdzięczna, ale z każdym dniem coraz łatwiej popadała w irytację.

To zaczyna wymykać się spod kontroli! Trzy tygodnie temu żyła sobie beztrosko, zachowując energię na chłodniejszą porę, kiedy będzie mogła zacząć wyznaczać miejsca pod parę nowych domów. A teraz mogła myśleć jedynie o Bainie Scotcie. Co teraz robi? Czy lubi pieczoną rybę? Woli chleb kukurydziany, czy bułeczki? Czy białe - brązowa plażowa suknia nie jest zbyt przezroczysta, żeby nosić ją bez halki?

Willy kopnęła na bok kapcie, które porzuciła tu wczoraj wieczorem, włączyła radio. Zsuwając resztki ze swego talerza do miski Spota, słuchała rozmowy między Coast Guard a jednym ze statków uczestniczących w ostatniej ekspedycji „Monitor”.

Kiedy Spot zjadł bekon z jajkami i bułkę, przełączyła się na stację meteorologiczną i usłyszała najnowsze informacje o dwóch obserwowanych obecnie tropikalnych niżach. Jeden z nich przesunął się nad zatoką i wypełnił przynosząc gwałtowne deszcze w Brownsville w Teksasie. Drugi natomiast pogłębił się jeszcze bardziej i obecnie znajdował się w odległości dwustu siedemdziesięciu mil na południowy wschód od Miami. Kierował się na północny zachód i służby brzegowe postawiono w stan pogotowia. Oczekiwano, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin sztorm osiągnie siłę huraganu.

- Nie wierzę ani jednemu ich słowu, a ty, Spot? Ciągłe nas tylko straszą. - Ale mimo wszystko...

Chłopcy przyszli po swoją ostatnią pensję.

- Trudno będzie przyzwyczaić się do noszenia ubrania - powiedział Maurice, który w tym roku zaczynał studiować w college'u.

- Chwycimy znowu za szczotki i łopaty, gdy tylko skończy się szkoła - obiecał Buddy.

- Denny najprawdopodobniej przywiezie ze sobą żonę - żartował.

- Ale nie do zajmowania się gospodarstwem - odciął się Denny.

Willy wręczyła im kopertę z ostatecznym rozliczeniem, do którego dołączyła jeszcze

końcową premię. Z mieszanymi uczuciami patrzyła jak odchodzą. Byli dla niej niemal jak trójka młodszych braci. Będzie jej ich brakowało. A poza tym, musi znaleźć kogoś, kto ich zastąpi na ostatnie trzy tygodnie pobytu Baina.

Wieczorem, dwa dni później, siedzieli razem z Bainem. Kończyli właśnie jeść rybę, którą po południu złapali w sieci i słuchali przez radio wiadomości o sztormie.

- Myślę, że będziemy mieli kolejny sezon bez dużego sztormu - skomentowała usłyszane wiadomości, obgryzając kawałek cytryny.

Siedzący wygodnie w fotelu Bain wyciągnął rękę, żeby odstawić tacę na stojący między nimi niski stolik. Przyzwyczyił się do jedzenia posiłków na świeżym powietrzu, właściwie jeszcze nigdy nie jadł nic przy stole w jej pokoju.

- Najwyższa pora zająć się brzegiem. Jeżeli Augusta cię nie dopadnie, na pewno zrobi to Bobby.

- Albo Bain - mruknęła z roztargnieniem Willy. Była bardziej zaniepokojona, niż dawała to po sobie poznać. Wszystko wskazywało na to, że huragan Augusta będzie potężny i jeśli nawet odchyli się bardziej na północy - wschód, to i tak pewnie zaczepi ich skrzydłem.

- Bain huragan czy Bain mężczyzna?

Willy uniosła swoje jasne rzęsy i spojrzała w stronę sąsiedniego fotela. Zauważyła, że Bain przygląda się z otwartością, od której zrobiło jej się gorąco. Niepokojąco gorąco.

- Czy to była freudowska pomyłka? - nalegał.

- Ale nie moja. To ty włączyłaś swoje imię do spisu huraganów, nie ja.

- Przypomnij sobie, kochanie - przecież ty mnie tam umieściłaś. Siedziałem spokojnie, trawiąc złapaną przez siebie rybę i pilnując swojego nosa...

- Złapaną przez ciebie? - drażniła go Willy. - A kto tańczył jak żuraw, kiedy ja wyciągałam sieć?

Bain zrobił urażoną minę.

- A kto brodził po wodzie nic nie podejrzewając i został zaatakowany przez ławicę morderczych meduz?

- Ostrzegałam cię, żebyś założył długie spodnie i tenisówki, ale nie, musiałeś demonstrować swoją męskość.

Przez chwilę Bain wyobraził sobie swoją męskość i jej kobiecość grające główne role w jego ulubionym marzeniu, ale otrząsnął się z tego.

- Dobrze, niech i tak będzie, ale boję się, że umocnienie brzegu przed nadejściem huraganu wymaga czegoś więcej niż mojej mękości. A teraz obiecaj mi, że zatelefonujesz z samego rana. Sprawdziłem w spisie telefonów, że jest takie przedsiębiorstwo w Virginia

Beach. Jeżeli zabiorą się jutro do pracy, może...

- Jest jeszcze jedno, bliżej - oświadczyła niechętnie Willy, - Ale mają cały pakiet zamówień na skalę przemysłową.

- Czemu u diabła czekałaś aż do tej pory? - dał wyraz swemu zniecierpliwieniu Bain. - Nie znam się specjalnie na tym, ale to chyba nie jest robota na jedno popołudnie. Zadzwoń do przedsiębiorstwa w Wirginii z samego rana.

- Dzwoniłam już wczoraj - oznajmiła ze smutkiem Willy. Teraz, kiedy stanęła wobec groźby huraganu, zaczęła głęboko żałować, że zwleką tak długo. - Mogą kogoś przysłać dopiero na początku października.

- Spośród wszystkich nieodpowiedzialnych... Sceptyczne spojrzenie Baina spowodowało, że zerwała się jednym gwałtownym ruchem. Stanęła przed nim na szeroko rozstawionych nogach, z rękami opartymi na biodrach i pochyliła się do przodu, jakby chciała w ten sposób nadać wagę swoim słowom.

- Myślisz, że tylko się obijam, prawda? Uważasz, że jestem leniwe nic dobrego i że nie powinnam mieć ryle ziemi, skoro nie potrafię o nią zadbać - Groźnie wysunęła bródkę.

- Nie, ale mógłbym się założyć, że to właśnie powiedział ci przed wyjazdem Smith. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- To, o czym rozmawialiśmy z Frankiem, nie powinno cię interesować - oznajmiła surowo.

- Ohoho! Nawet o istniejącym rzekomo między nami romansie? - spytał szyderczo.

- Jakim romansie?! - Willy próbowała się cofnąć, ale Bain był szybszy.

Wstał energicznie, schwytał ją za rękę i powiedział, uśmiechając się ironicznie:

- „Jakim romansie?” - spytała niewinnie. Tym, o którym powiedziałaś Smithowi, że go masz ze mną.

Jego wewnętrzna męska siła przewyższała siłę trzymających ją dłoni. Walczyła, nie chcąc się poddać jego błyszczącym oczom, ustom z grymasem w lewym kąci. Zmusiła się, aby mówić spokojnym głosem:

- Wydaje mi się, że uszy masz równie wielkie, jak swoje *ego*, Bainbridge. Kiedy zechcę mieć romans. nie będę traciła czasu, żeby o nim mówić.

- Nie - odparł aksamitnym tonem. - Założę się, że nie będziesz, moja platoniczna przyjaciółko. A co więcej, założę się, że jeżeli się zdecyduję, będę cię miał dzisiejszej nocy w swoim łóżku.

Jej ręce zwiślały bezwładnie po bokach, ale palce zaczynały zaciskać się w pięści.

- No no, ty rzeczywiście jesteś strasznie w sobie zakochany - powiedziała ze

zdziwieniem.

Pokręcił wolno głową, wciąż wpatrując się w jej oczy.

- Nie, moje piegowate kochanie. Nie w sobie, ale w nas. I to coraz bardziej.

Wstrząśnięta Willy usiłowała się cofnąć.

- Hej, niech cię nie ponosi, kowboju... Wcale nie jestem jeszcze gotowa na takie zabawy i przyjemności.

Przycisnął ją mocno do piersi i Willy zrobiło się wstyd, własnej uległości. Trzymając usta tak blisko jej warg, że czuła ciepłe dotknięcie jego oddechu, powiedział:

- To wcale nie zabawa, Willy... Przyjemność, owszem, ale nie zabawa.

I zaczęła się przyjemność - jeżeli tak można określić tłukące się w piersi serce, uginające kolana i tętniącą ciężko krew w żyłach. Willy nieomal poczuła ulgę, kiedy rozchyliła usta do pocałunków Baina. Jego dłonie wolno gładziły jej plecy, wzbudzając dreszcze oczekiwania, przesunęły się po krągłych biodrach, podążyły po wcięciu talii i wsunawszy się w gorącą, ciasną przestrzeń między ich ciałami spoczęły na jej piersiach. Język Baina przeprowadzał zuchwałe rajdy, atakując jej niewielkie i szybko topniejące rezerwy siły woli. Wreszcie Willy objęła go ramionami w pasie i poczuła jego natychmiastową reakcję.

Oderwał usta od jej warg i szepnął.

- Nie rozumiesz, że zabijasz mnie po troszeczku, Willy? Tak bardzo cię pragnę.

- Ja ciebie też - wymruczała Willy. Opuszki jego palców badały przez cienką, bawełnianą suknię nierówną powierzchnię jej sutek i czuła jak w dół jej ciała spływa z nich fala gorąca. Wcisnęła dłonie z tyłu za pasek i błędziła nimi po twardych mięśniach jego pośladków, a on zaczął delikatnie gryźć ją w płatek ucha, wzbudzając w całym jej ciele dreszcze rozkoszy. Przytrzymując go za biodra, przywarła mocno do niego.

Poculi, jak przenika ich prąd. Bain z cichym okrzykiem schwycił ją na ręce i zaniósł do sypialni. Opuścił ją powoli, tak że osuwała się wzdłuż jego podnieconego ciała. Potem, kiedy stała już koło niego, tyłem do łóżka, uniósł dłonie do szerokich ramiączek jej sukni.

Nie spieszył się. Napięcie rosnęło w niej do niebezpiecznych granic, uruchamiając w jej oszołomionym umyśle najrozmaitsze sygnały alarmowe, ale Willy zignorowała je całkowicie. Dostyc myślenia - już jest na nie za późno. Pozwoliła mu zsunąć do pasa górę sukni, a potem sięgnęła do guzików jego koszuli.

Jej niepewne palce rozpięły guziki jeden po drugim. Kiedy dotarła do paska spodni, nabrała spazmatycznie powietrza w płuca i rozpięła go. Nieśmiało dotknęła zamka błyskawicznego i cofnęła rękę.

- O Boże, tylko teraz nie przestań - jęknął. Oczy mu się zwęziły i na jego wystających kościach policzkowych pojawił się niezwykły rumieniec.

Z wyrafinowaną powolnością rozpięła zamek, a potem wsunęła dłonie do środka, nad jego wąskie biodra, i zsunęła spodnie. Czuła się jak we śnie - zupełnie jakby panowała jedynie nad małym wycinkiem swojego umysłu. Ostatnio tego rodzaju sny dręczyły ją z narastającą częstotliwością, ale nigdy tak gwałtownie.

Schyliła głowę, przesuwając wargami po wijących się, ciemnych włosach na jego torsie do chwili, kiedy odnalazła swój cel - płaski, brązoworóżowy krążek z małym, napiętym czubkiem pośrodku. Zębami delikatnie przygryzła sutek i powoli przesunęła po nim językiem. Czuła łomoczące serce Baina, słyszała wyrwywane się z jego płuc głębokie, spazmatyczne westchnienia.

Wcisnęła dłonie pod białe slipki i zsunęła je w dół. Zrzucił mokasyny, spodnie i teraz ze zniecierpliwieniem, ruchem nogi odrzucił w bok ten kawałek białej, bawełnianej tkaniny.

Willy cofnęła się, pieszcząc dłońmi twarde mięśnie jego ramion.

- Jesteś • tak doskonały - szepnęła z podziwem. Bain stał obok niej, oddychając ciężko. Pozwolił, by błędziła spojrzeniem od czubka strzechy jego czarnych włosów do stóp. Nie próbował się usprawiedliwiać ani ukryć swego podniecenia. Uświadomił sobie, że mimo iż była kiedyś mężatką, przeżycie to było dla niej czymś zupełnie nowym i teraz musiało zapisać się dobrze w jej świadomości. Bez względu na to, ile czasu miałoby to potrwać, nie może jej popędzać, bo jeżeli nie zdarzy się to teraz, być może nigdy nie będzie miał ponownej szansy. Wycofa się za swoje wdowie welony i dla niego będzie to już koniec nadziei.

Willy wpatrywała się w niego w dalszym ciągu. Stopniowo zaczęła zdawać sobie sprawę z istnienia czegoś jeszcze poza potrzebami jej ciała. Gdzieś w głębi jej świadomości zaczęły rozbrzmiewać ciche słowa: *To jest Bain. I kocham go.*

Sięgnęła dłońmi do paska sukni. Bain przykrył je swoimi dłońmi.

- Nie. Pozwól, ja to zrobię.

Niezdarnie manipulował przy sprzączce jej plecionego paska. Wytrzymał jej spojrzenie. Obietnice widoczne w jego wzroku były ledwo uświadamiane przez nich oboje.

- Jesteś absolutnie cudowna, Willy, wiesz? I pragnę cię tak bardzo, że jestem niemal jak sparaliżowany. Pewnie będziesz musiała mi pomóc.

Roześmiał się drżącym głosem i Willy poczuła, że na jej ustach również pojawia się uśmiech. Poruszyła biodrami i cienka, bawełniana tkanina spłynęła kaskadą do jej stóp. Potem z wdziękiem wyszła spomiędzy jej fałd i usiadła na krawędzi łóżka.

- Jakoś bardzo w to wątpię - oznajmiła z żartobliwą powagą. - Jeżeli któreś z nas

potrzebuje pomocy, to na pewno nie ty.

Usiadł obok niej tak, żeby zdjąć z niej ostatnią pozostałą część ubrania.

- No cóż, w każdym razie udało nam się przejść pierwszy etap bez kłopotów. Nie martw się, kochanie... - Położył ją na wznak i obracając się, umieścił jej nogi na swoich kolanach. - Sądzę, że to jak jazda na rowerze. Kiedy się już raz nauczyło, to nigdy się nie zapomina.

Willy niezbyt mogła panować nad myślami, a co dopiero nad głosem.

- Tak. No cóż... wypadki się zdarzają nawet specjalistom. Mimo wszystko mogę spaść.

Jego niski śmiech sprawił, że poczuła jak dreszcz przebiegający po plecach odbija się echem w różnych bardzo dziwnych zakamarkach jej ciała.

- Uwierz mi, kochanie. Dopilnuję, żebyś nie spadła. Willy jęknęła bezgłośnie... Jednak to zrobiłam. Ale ta myśl została odsunięta na bok, gdy Bain wstał, ułożył starannie jej nogi na łóżku, a potem pochylił się i całował jej stopy. Czowała, jak pod jego delikatnym dotykiem narasta w niej podniecenie. Z nieskończoną cierpliwością pokrywał pocałunkami całą przestrzeń od czubków palców do miejsca tuż nad kolanem, a kiedy jego dłonie zaczęły pieścić jedwabiste wnętrze jej ud, nieomal odchodziła od zmysłów.

Ale wciąż nie zbliżał się do niej. Zamiast tego usiadł na krawędzi łóżka, opierając się na jednej dłoni. Willy chciała przyciągnąć go do siebie, ale nie była w stanie się poruszyć, widząc jak jego płonące oczy przesuwają się po każdym calu jej ciała.

Boże, jakąż ona jest cudowna. Widział już wiele kobiet i niektóre z nich były bliskie ideału. Kto inny jednak mógłby być tak piękny, tak niezależny, a jednocześnie tak wrażliwy i podatny na zranienie?

Jego oczy błędziły po jej cudownym ciele, wyszukując kropki bursztynowo - słonecznej barwy, od białych piersi, poprzez jej płaski brzuch, aż do zapierającej dech złotej kępki o kilka tonów ciemniejszej od rozjaśnionych słońcem włosów.

Ukryte pod ciężkimi powiekami i gęstą zasłoną rzęs, oczy Willy były ciemne z pożądania. Z cichym jękiem Bain pochylił się i wtulił twarz w jej miękkie ciało. Pieścił wargami nie opaloną, dolną część piersi, a potem przesunął je delikatnie na ciemny szczyt i czubkiem języka wyczuł tężejące, napięte brodawki.

Była gotowa... wszystko mu o tym mówiło. Poczł dłonie Willy na swoich ramionach i jej mocne palce wpijające się w ciało. *Już za chwilę, kochanie.* ~ obiecał jej w myśli. Ale najpierw...

Willy drgnęła, czując palącą wilgotność jego języka na całym nagim ciele. Już, Bain, proszę... proszę - błagała bezgłośnie, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Nie była w

stanie mówić, nie była w stanie się ruszyć, poddawała się instynktownemu, zniewalającemu ją
pożądaniu.

Podczas jego rytualnych pieszczot, czuła, jak gdzieś w jej wnętrzu zbierają się
cudowne wrażenia. Ciało Willy zaczęło kołysać się rytmicznie, a potem dłonie, które
trzymały jej uda, wsunęły się pod jej[^] biodra i Bain uniósł się nad nią.

ROZDZIAŁ 9

Willy, spowita ciepłą wilgocią, otworzyła oczy i spostrzegła skroń Baina w odległości kilku zaledwie cali od swoich ust. Spostrzegła, jak jego puls stał się niemal letargicznie wolny, tak jak bicie jej serca. Czuła wciąż przenikającą ją słodycz i dopiero po kilku chwilach uświadomiła sobie, że się uśmiecha. Uśmiech ten zniknął, gdy delikatnie pocałowała go za uchem.

Kocham go, pomyślała z narastającym smutkiem. Kocham go. Cud wreszcie się zdarzył - wszechogarniający płomień. Nie sądziła, że jeszcze kiedyś go poczuje. Było to coś równie rzadkie i piękne, jak podwójna tęcza - i niemal równie nietrwałe. Za parę tygodni wyjedzie. Wróci do tego, co zostawił. A ona znowu będzie sama.

Wolno i bez przekonania oswobodziła nogi spod jego łydki. Okazało się jednak, że zupełnie nie jest w stanie unieść głowy z jego ramienia. Tu było jej miejsce. Jak stworzone dla niej.

Oczy Baina otworzyły się lekko.

- Gdzie jest pożar?

- Nie martw się, już zgasł. - Odsunęła się, zanim zdołał ją ponownie objąć. Z powodu, którego do końca nie rozumiała, musiała pozbyć się go ze swojego łóżka.

- No to wracaj i pozwól mi się objąć.

I zacząć od nowa? Willy, czując niewiarygodną pokusę, stanęła, oparta kolanem o krawędź łóżka. Ten człowiek, nawet na wpół senny, był środkiem zapalającym, podczas gdy ona stała się łatwopalnym materiałem.

- Czy to nie pora, żebyś wrócił do domu, do swojego własnego łóżka? - Udało jej się nawet powiedzieć to lekko kpiącym tonem.

Bain usiadł, oparł się plecami o zagłówek łóżka i spojrzał na kobietę, która przycupnęła w nogach. Jej ciemnozielone oczy znowu jakby przysłoniły zasłony. Instykt powiedział mu, że Willy ukrywa bardzo gwałtowne uczucia i natychmiast wzbudziło to jego ciekawość. Czy to żal? Złość? Spróbował zgadnąć.

- Czujesz się zakłopotana?

- Może... Trochę - odpowiedziała szczerze. Powiedziałam ci, że to dla mnie coś nowego.

Bain poczuł nieoczekiwany przyływ opiekuńczych uczuć.

- Przynajmniej nie spadłaś z roweru - przypomniał jej.

Willy zdołała się niepewnie roześmiać.

- Nie. Ale może będzie lepiej, jeśli od tej pory ograniczę się do chodzenia.

Bain widział uczucia malujące się na jej twarzy. Nie dostrzegł nic, co choć w przybliżeniu przypominałoby to, które budziło się w nim samym. Zobaczył zakłopotanie, ostrożność, nawet lęk, ale nic bardziej obiecującego. Z poczuciem całkowitej przegranej zaczął organizować obronę. Następne odrzucenie byłoby dla niego nie do zniesienia. Jakiś wewnętrzny głos powiedział mu, że byłoby śmiertelne.

- O... jest dopiero... - Willy odwróciła głowę, żeby spojrzeć na zegar - jedenasta trzydzieści. Możesz wrócić do domu i dobrze się wyspać, zanim Augusta wpadnie z rykiem do miasta.

Głos Baina, w przeciwieństwie do jej serdeczności, brzmiał ostro.

- Będzie musiała dodać trochę gazu, żeby zdążyć tu na rano, ale zrozumiałem aluzję, łaskawa pani. Mam grzecznie wyjść tylnymi drzwiami i zapomnieć, że się to kiedykolwiek zdarzyło, prawda?

Willy skrzywiła się bezradnie i skinęła głową.

- Proszę, Bain... Byłabym wdzięczna.

Z wymuszonym uśmiechem podniósł się z łóżka i stanął przed nią, całkowicie nie zdając sobie spraw }' ze swojej nagości.

- Nie powiem, że nie było mi przyjemnie, choć z drugiej strony, takie przygody na jedną noc nie są w moim stylu.

- Bain, przestań! Powiedziałam ci, co czuję. Nie mogę zmienić tego, jaka jestem, a więc jeżeli mamy pozostać przez resztę twojego pobytu dobrymi sąsiadami... Proszę, nie mów nic więcej.

Willy patrzyła uważnie na wielką czarną mrówkę, która ciągnęła po podłodze sypialni coś dwa razy większego od niej samej. Poczowała ruch, kiedy Bain zbierał swoje ubranie. Do diabła, nawet nie okazał na tyle delikatności, żeby ubrać się w sąsiednim pokoju!

Zgrzytnięcie błyskawicznego zamka przerwało niezręczną ciszę i nagle okazało się, że Bain stoi obok niej tak blisko, że poczuła na swojej nagiej skórze ciepło jego ciała. Podciągnęła prześcieradło do szyi, ale jej plecy wciąż były odsłonięte.

Czuła, jak jej myśli atakuje mnóstwo pytań, oskarżeń i uparcie koncentrowała swoją uwagę na mrówce. Dom Willy został wybudowany w samym środku królestwa mrówek i musiała zaakceptować ich naturalne prawa.

- Do licha, Willy, może przestaniesz mnie ignorować choć przez chwilę?

- Wcale cię nie ignoruję, Bain. Obserwuję, jak mrówka niesie liść po podłodze.

Pewnie też niepokoi się sztormem. Mrówki się na tym znają.

Bain przez chwilę trzymał ręce nad jej ramionami, a potem opuścił je bezwładnie.

- Willy, chcę ci coś powiedzieć, ale pod warunkiem, że zdołasz oderwać wzrok od tego cholernego robaka.

- Mrówka nie jest robakiem - wyjaśniła mu cierpliwie. - To ma jakiś związek z liczbą nóg.

- Nie obchodzi mnie, nawet gdyby to był nosorożec! Spójrz na mnie, Willy, albo to zatłukę. Nie mam zwyczaju rywalizować o względy kobiety z jakimś robactwem. Spójrz na mnie!

Być może wewnętrzny bezwład sprawił, że Willy nie odwróciła głowy. Czowała straszliwe zmęczenie. Bez względu na wszystko jej ciało po prostu odmawiało spełniania poleceń mózgu.

- Ostrzegam cię, Wilhelmino - Bain stanął przed nią i uniósł obutą w mokasyn stopę,. Willy ocknęła się. Schwyciła go za rękę i szarpnęła tak mocno, że musiał się o nią oprzeć.

- Nie waż się rozdeptać mojej mrówki!

- Willy, jesteś szalona - usiadł ciężko na łóżku, wciąż trzymając ją za ramiona, żeby utrzymać równowagę. - To robak. Większość osób, które mają robactwo w swoim domu nazwałoby to dezynsekcją.

- Mrówki są bardziej czyste niż ludzie. To mrówki drzewne. Żywią się nasionami, orzechami i jagodami, myją łapki przed jedzeniem i...

- I jesteś kompletną wariatką, jak Boga kocham. - powiedział cicho z nutką zdumienia.

- Nieważne, ile ma nóg, jest zwariowanym robaczkiem, jak ty. Uważam, że mylisz myszy polne i szopy z mrówkami, ale jeżeli cię to uszczęśliwi, oszczędzę życie twojej sypialnianej towarzyski.

Willy czuła jego dłonie na swoich ramionach i całe jej myślenie zostało zablokowane jak ruch uliczny o piątej po południu na dużym skrzyżowaniu. Miał rację, była zupełnie zwariowana, ale jednocześnie strasznie się bała, że gdy tylko spojrzy w oczy Baina, rzuci mu się w ramiona i wygada wszystko, co lepiej żeby zostało nie wypowiedziane.

Wstał znowu. Ramiona niemal rozsadzały szwy koszuli, gdy skrzyżował ręce na piersi. Willy zmusiła się, żeby nie patrzeć na jego ironicznie wykrzywione wargi. Przynajmniej udało jej się odwrócić uwagę Baina od prawdziwej sprawy.

- A więc skoro to rozumiesz, to... nie chciałabym, żebyś zakłócał równowagę ekologiczną mojego domu.

Bain mruknął coś niezrozumiałego i kręcąc głową wyszedł z pokoju. Usłyszała, jak

pazury Spota stukają po podłodze, potem dobiegł ją cichy głos Baina i wreszcie opadła na łóżko. *Odejdź stąd do licha... Po prostu odejdź stąd!*

Zawołał do niej z saloniku.

- Wyprowadzę Spota na spacer, a potem zabiorę go na noc do mnie. I słuchaj, Willy... Zapomnij o tym, co było, dobrze? Nie warto się martwić. Myśl raczej o tym, jak uchronić swój dom przed spłynięciem do morza.

Opanowała się całą siłą woli i odpowiedziała spokojnie:

- Dziękuję ci, Bain. Dam ci znać, jeżeli dowiem się coś o Augustacie.

Gdy Willy usłyszała zatraskujące się za nim drzwi, wyszła na werandę i opadła na jeden z chłodnych, winylowych foteli. O Boże, rzeczywiście do tego doszło. Dopuszczała do tego - ona, kobieta z doświadczeniem, która miała za sobą udane, choć tragicznie krótkie małżeństwo. Można by pomyśleć, że ma wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, żeby nie iść na oślep, nie rozbijać sobie głowy o mur. A do tego właśnie doprowadziła. Miała nieszczęście zakochać się bez opamiętania w człowieku, który nie powiedział nawet słowa, że uważa ją za kogoś więcej niż godną pożądania, choć troszkę zwariowaną sąsiadkę.

Przed dwudziestoma trzema laty huragan Donna z niszczącą siłą zaatakował atlantyckie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Według ostatnich prognoz z Miami huragan Augusta może przynieść sztorm kończący ponad dwuzestoletni okres, w którym środkowemu wybrzeżu Atlantyku oszczędzone były zniszczenia i straty. W chwili obecnej huragan Augusta osiągający w porywach prędkość ponad dziewięćdziesięciu mil na godzinę pustoszy południowe wybrzeża Georgii. Oczekuje się, że będzie podążał swym północno - wschodnim kursem z prędkością dziesięciu mil na godzinę. Służby brzegowe powinny...

Willy wyłączyła radio, nie musiała słuchać komunikatu Narodowej Służby Meteorologicznej, żeby wiedzieć, co się dzieje. Czowała to w kościach. Wychowała się na Florydzie i całe dorosłe życie spędziła na wybrzeżu Północnej Karoliny. Już odczuwała subtelną zmianę, jaka zaszła w atmosferze. Powietrze tego poranka było ciężkie, duszące, drzewa i woda znieruchomiały całkowicie. Wyobraziła sobie plastycznie gigantyczną paszczę sztormu, która wsysa powietrze z tysięcy mil kwadratowych otaczających skłębiony wir i wszystko, co żyje na wschodnim wybrzeżu zmusza do walki o każdy oddech.

Zmieniła pogniecioną batystową sukienkę na szorty i stanik, a potem spędziła cały dzień umacniając brzeg. Co chwila spoglądała nie widzącym wzrokiem na powykręcany pień drzewa, wspominając wydarzenia ubiegłej nocy. Wszystko to zaczynało stawać się jakąś na wpół zapomnianą bajką - mityczną, magiczną i niezupełnie prawdziwą.

Siedziała w kucki, opierając brodę na dłoniach w roboczych rękawicach, kiedy na

szczyt z boczka pojawił się Bain.

- Pomóc ci? - zapytał lakonicznie.

Willy wzruszyła ramionami.

- Zrobiłam już prawie wszystko, co mogło mi przyjść do głowy.

Zszedł prosto na dół, z wystającego korzenia na worki, a potem na mocno ubity piasek plaży.

- Przepraszam, że nie przyszedłem wcześniej. Spałem jak zabity do południa i obudziłem się z piekielnym bólem głowy.

Willy zerknęła na niego, nie wstając z miejsca. Jego twarz miała lekko zielonkawy odcień.

- Barometr musi spadać na łeb. Mattie ze sklepu zaklina się, że kiedy rwą ją palce u nóg, huragan przekracza granicę między Georgią i Południową Karoliną. Chcesz trochę aspiryny?

Bain usiadł na worku z piaskiem w odległości kilku stóp od Willy i ostrożnie pokręcił głową. To nie nadciągający sztorm niemal go wykończył, ale prawie pół butelki szkockiej, którą wypił ubiegłej nocy, kiedy ostatecznie przyznał sam przed sobą, co się właściwie z nim stało.

Spojrzał na nią z podziwem. Siedziała w kucki w głębokiej na osiem centymetrów wodzie i wyglądała całkiem niewinnie. Zupełnie jakby nie zbiła go zupełnie z nóg, I pomyśleć, że wpakował się w tę aferę z szeroko otwartymi oczyma. Po odejściu Suzanne był pewien, że jest na to uodporniony.

Poklepał pustą kieszeń w poszukiwaniu papierosów i jeszcze raz usiłował zakwestionować niepodważalne dowody - ale w tej konkretnej sprawie występował jako przegrywająca strona.

Willy straciła męża dość wcześnie, by jego urok nie zdążył jeszcze zblednąć. Bez względu na to, co będzie reprezentował sobą mężczyzna, który spróbuje znaleźć miejsce w jej życiu, wizerunek zmarłego męża będzie zawsze wyidealizowany. Czas jedynie utrwali ten obraz. Czy człowiek o zdrowych zmysłach będzie próbował rywalizować z ukochanym zmarłym?

Byłby szalony, gdyby chociaż dopuszczał do siebie myśl, że ma jakieś szanse. Ostatnia noc była...

Ostatniej nocy doświadczył głębi uczuć, o których istnieniu nigdy nawet nie marzył. Willy była tak niewiarygodnie czuła i oddana, że przez moment dał się ponieść wyobraźni. A teraz, w jasnym świetle dnia, uświadomił sobie, że nigdy się to nie uda.

Przerywając trwającą przez kilka minut ciszę zapytał:

- Czy należysz do kościoła?

- Kościoła?

- Metodystów, katolickiego... coś w tym rodzaju. Mój ojciec jest pastorem w kościele metodystów.

Willy opanowała zaskoczenie, nie próbując nawet odgadnąć, do czego zmierza.

- Należę do kościoła prezbiteriańskiego, ale nie jestem zbyt praktykująca. Mój ojciec pracował w handlu nieruchomościami... - Na jej twarzy pojawił się leciutki uśmiech. Było to spore niedopowiedzenie. Jasper obracał nieruchomościami o rozmiarach Rhode Island i kwartałami budynków wypełnionymi biurkami, ale były to mimo wszystko nieruchomości.

Ojciec Baina jest pastorem? Willy z trudem potrafiła sobie wyobrazić Baina jako syna duchownego. Ale mogła go sobie przedstawić, jak buntuje się przeciw ograniczeniom narzucanym mu przez sytuację rodzinną.

Bain nie zwracał uwagi na żar piekący go w plecy. Wciąż czuł ból głowy, podsycany przez walkę toczącą się od wielu godzin w jego umyśle. Cóż mógł zaproponować takiej kobiecie jak Willy? Choć ubierała się niemal jak włóczęga i jeździła przerobionym samochodem plażowym, to jednak pochodziła z zamożnego środowiska. On zaś wyrastał na kolejnych, bardzo skromnych plebaniach. Jej niezagospodarowana parcela była warta kilkakrotnie więcej niż wszystkie jego zasoby.

Wspominając swoje pierwsze dni na wyspie, skrzywił się. Kiedy tu wylądował, był naprawdę człowiekiem trudnym do zniesienia. Wściekły, obolały, z psychiką okaleczoną przez kobietę i ciałem poranionym serią AK - 47, Willy nie zwracała uwagi na jego obraźliwe zachowanie, uśmiechała się, słysząc przekleństwa, i za pomocą kukurydzianego chleba i swego leniwego uśmiechu wytworzyła w nim poczucie fałszywego bezpieczeństwa.

Matowy głos Willy wdarł się w jego pełne troski myśli.

- Co o tym sądzisz? - spytała, wskazując swoje ostatnie dzieło, na które składały się arkusze sklejk, worki z piaskiem, gruz oraz przerdzewiałe, metalowe tablice. Wszystko było powiązane ze sobą i umocowane do pni drzew i sterczących korzeni.

Była dumna ze swojego opanowania. Nie przychodziło jej to łatwo, ale zdołała odsunąć wspomnienia ubiegłej nocy na dalszy plan.

- Sądzę, że gdyby Augusta miła choć trochę zdrowego rozsądku, to trzymałaby się z dala od tego miejsca. Najprawdopodobniej zakrzusił się tym stosem śmieci - uśmiechnął się, kręcąc głową. W walce Willy z resztą świata, postawiłby wszystkie pieniądze na Willy.

- Powinno wytrzymać - stwierdziła z namysłem. - Skończyła mi się lina i musiałam

pociąć moją sieć na kawałki. Przypomnij mi, żebym je zeszyła, kiedy będzie już po wszystkim.

- A w tym czasie żadnych smażonych ryb? A zresztą pewnie i tak nie szłyby w sieci.

- Oczywiście, że tak. Kiedy Augusta już sobie pójdzie pożyczę łódź z silnikiem i popłyniemy z siecią na drugą stronę kanału. Przedtem łapałam ryby dalej, ale wpadłam na coś pływającego pod samą powierzchnią i rozwaliłam koło zamachowe. - Wylała pot z czoła, zostawiając smugę brudu. - Gdyby nie ta awaria, pewnie nigdy bym się nie zorientowała, że mogę oszczędzać paliwo i łapać w dalszym ciągu ryby brodząc po pas w wodzie.

Bain przypomniał sobie, jak Suzanne zderzyła się z furgonetką rozwożącą pizzę. Kłęsa tak zawzięcie, że nieco go to zaskoczyło, a potem zażądała nowiutkiego buicka. Długo próbował ją przekonać, że jest nierozważnie rozrzutna, ale bez najmniejszego skutku. Po prostu nie miała cierpliwości użerać się z rzeczoznawcami z towarzystwa ubezpieczeniowego i mechanikami w warsztacie.

Jeżeli istniało jakieś podobieństwo między Suzanne a Willy, to właśnie w tym. Przyglądał się beztroskiej kobiecie, która siedziała obok niego. Rozbawienie sprawiło, że jego ostre rysy nagle złagodniały. Nie, nie było między nimi żadnego porównania i dobrze wiedział, której pragnie.

- Co się stało z twoją łodzią i silnikiem?

- Jest w hangarze we Frisco. Kiedy mechanik będzie miał czas, postara się wyszukać dla mnie zapasowe koło zamachowe. Nie przypuszczam, żebym wygięła wał, ale następnym razem użyję zapalek zamiast zawleczek i oszczędzę sobie kłopotów.

- Wciąż mnie zadziwiasz, Willy Faulkner, jestem zaskoczony, że nie próbowałaś sama tego naprawić.

Willy całkiem poważnie stwierdziła, że rozważała taką możliwość.

- Utrzymuję swoje samochody w zupełnie dobrym stanie, ale nie miałam żadnego doświadczenia z przyczepnymi silnikami. Jesteś głodny?

Jego uśmiech zdradzał rozbawienie połączone ze swego rodzaju podziwem.

- Taak... Na tym chyba polega mój prawdziwy problem.

- No to chodźmy zjeść parę kanapek, a potem chyba powinniśmy pojechać do sklepu, zanim wszystko rozkupią. Jeżeli Augusta zdecyduje się złożyć nam wizytę, drogi na kilka dni mogą zostać zalane, a nie bardzo chciałabym narażać mój samochód na kontakt z morską wodą.

Pojechali samochodem plażowym i Bain pomógł Willy załadować kilka toreb z żywnością, naftę do lampy i butlę z gazem do jednopalnikowej kuchenki, którą

przechowywała w razie nieprzewidzianych okoliczności.

Przy kasie nastąpił krótki spór, wygrany przez Baina. Oznajmił, że prędzej go lichorowie, niż pozwoli, żeby kobieta płaciła za jego zakupy. Zapakowali wszystko do bagażnika zainstalowanego na drewnianej skrzyni ładunkowej nieszczęsnego mercedesa i skierowali się w stronę plaży. Po drodze zatrzymali się, żeby popatrzeć na ocean.

Szara, jakby oleista powierzchnia oceanu falowała posepnie. Ten widok był według Willy wyraźnym ostrzeżeniem. Na południu niebo przesłonięte było bezbarwną mgiełką i kiedy stali na drewnianym chodniku prowadzącym przez wydmy, Willy instynktownie przysunęła się bliżej do stojącej obok niej wysokiej postaci.

- Wiesz, ja naprawdę tego nie lubię - mruknęła. - Wolę, jeżeli moje życie jest spokojne i równe, bez wielu zawirowań.

Niewymuszonym gestem objął ją w pasie, opanowując z całej siły chęć przyciągnięcia Willy do siebie i zacałowania na śmierć. Ale tylko podprowadził ją do samochodu. Gdy dochodzili do niewielkiego parkingu, odwróciła się w jego stronę i jej zielone oczy rozpromieniły się uśmiechem.

- Może poprowadzisz? Nogę masz już zdrową i nie powinieneś mieć kłopotów ze sprzęgiem.

Nie zdążył odpowiedzieć, a ona już siedziała na fotelu pasażera i poklepywała przykryte ręcznikiem miejsce za kierownicą.

- No jedźmy. Ale zanim pojedziemy do domu, zatrzymaj się przed pocztą.

Zanim pojedziemy do domu. To ładnie brzmiało. Niestety dom był jej, a on był tylko lokatorem. Gdyby próbował zaaranżować coś bardziej trwałego, a Willy chciała przystać na podobne rozwiązanie, wyszedłby na oportunistę. Bezrobotny weteran bez perspektyw poszukuje bogatej wdowy, która utrzymałaby go w czasie prac nad dziełem o problemach Ameryki Środkowej. Wspaniale! Wrzucił wsteczny bieg, przycisnął pedał gazu i zwolnił sprzęgło. Willy schwyciła się ramy.

- Masz prawo jazdy, co? Zapomniałam cię zapytać.

- Przepraszam - mruknął. Zaczerwienił się, ale udało mu się w końcu opanować emocje. - Miałem przerwę.

Po chwili wyszła z poczty, przeglądając całą stertę korespondencji. - Hej, mam tu również coś dla ciebie - powiedziała podając mu zaadresowaną odręcznie kopertę.

Bain rzucił na nią okiem, schował do kieszeni i zapuścił silnik. W drodze do domu, czuł, że Willy rzuca na niego od czasu do czasu zaciekawione spojrzenie. Odezwała się jednak dopiero, gdy przyjechał na miejsce.

- Trudno zgadnąć, ile czasu tam leżał. Powinam była zapytać wcześniej.

- Gdybym spodziewał się jakiejś poczty, uprzedziłbym cię - powiedział krótko. -
Chodź, zaniemiemy zakupy.

- Część z nich jest twoja.

- Jeżeli sądzisz, że zostawię cię tu samą na czas jakiegoś cholernego huraganu, to
masz nie po kolei w głowie. - Podniósł ciężką torbę wypełnioną puszkami z żywnością i
poczekał, aż otworzy drzwi.

- Augusta może skrócić w stronę morza - zawołała i sięgnęła po jedną z pozostałych
toreb.

Odebrał ją od Willy w połowie schodów, ona zaś poszła do samochodu po ostatni
pakunek. Kiedy wróciła, powiedziała do Baina:

- Nie skreśl w stronę morza. I wiesz co, Bain... naprawdę się cieszę, że tu zostaniesz -
wyznanie to sporo ją kosztowało. Istniały większe niebezpieczeństwa niż wiejący z
prędkością stu mi) na godzinę wiatr i sztormowe fale. Takie na przykład jak podanie samej
siebie na srebrnej tacy człowiekowi, który skorzysta z tego, a potem wstanie i odejście od
stołu nawet się nie obejrzawszy. Bez trudu poznawała kobiece pismo. Koperta, którą oddała
Bainowi, niemal poparzyła jej palce.

Kiedy zabezpieczyli dom i odprowadzili obydwie pojazdy w stosunkowo osłonięte
miejsce, było już strasznie gorąco i duszno. Bain wykonał wszystkie ciężkie prace, ale Willy
towarzyszyła mu wszędzie. Widząc, jak szybko i sprawnie pracuje, doszła do wniosku, że
jest kimś bardzo przydatnym w trudnych sytuacjach. Człowiekiem, którego dobrze mieć przy
sobie. Kropka. Gdyby nawet tylko siedział, patrząc, jak szamocze się z ciężkimi okiennicami
czy przesuwają do środka wszystko, co mogłoby zostać zdmuchnięte, i tak chciałaby go mieć
przy sobie.

Przenieśli hamak i całe umeblowanie werandy poza dwoma lekkimi fotelami
plażowymi. Bain zostawił nieco uchylone jedno z bardziej osłoniętych okien, wychodząc z
założenia, że łatwiej sobie poradzą z odrobiną wody niż ciągłymi zmianami ciśnienia w
szczelnie zamkniętym pokoju.

- Wydaje mi się, że przeżyłeś już parę huraganów - zauważyła, nalewając mrożonej
kawę. Nałożyła do niej lody czekoladowe, które i tak by się zepsuły, gdyby na dłuższy czas
wyłączono prąd.

Bain mocno uszczelnił północno - wschodnie okno ręcznikiem.

- Tajfuny, huragany... Na Okinawie nazywają je *bohos*. Tak, widziałem już parę.

Obszedł spokojnie cały pokój podkładając ręczniki, żeby wchłaniały wodę, która

niewątpliwie przecieknę między framugami okien. Nie kulał już ani trochę. Poruszał się jak dobrze dostrojona maszyna, której wszystkie części współpracują w idealnej harmonii.

Włączyła wentylatory pod sufitem. - Mam nadzieję, że elektryczność nie wyładuje, zanim nie zacznie mocniej wiać... W przeciwnym razie rozpuścimy się bez nich.

- Bardzo wątpię, czy długo będziesz narzekać na brak wiatru. - Bain przed pracą rozebrał się do szortów. Na kędzierzawych włosach jego szerokiego, opalonego torsu błyszczały krople potu.

Przygryzła dolną wargę.

- Mam nadzieję, że dobrze umocowałam sklejkę. Bardzo bym nie chciała, żeby zaczęła tu latać w ciemności. - Wyszła na werandę, trzymając w ręku szklankę z mrożoną kawą. Czuła wewnętrzny niepokój, który jedynie częściowo spowodowany był nadciągającym sztormem.

- Twój dom stoi dość wysoko. Sądząc po drzewach rosnących wokół, niewiele burz atakowało ten teren.

Bain rozsiadł się wygodnie w drugim fotelu. Przed zapadnięciem zmroku przyniósł parę rzeczy ze swojego domu. Nie miał pizamy, ale zabrał swoje przybory toaletowe, torbę i zmianę bielizny. Pozostało jeszcze pytanie, gdzie mógł je położyć... I pozostawała także odpowiedź.

ROZDZIAŁ 10

- Odejdź od tego cholernego okna! Czy straciłaś rozum?

Bain podskoczył do niej. Odsunął ją na bok i zatrzasnął okno sypialni. Willy wyteżęła wzrok, wpatrując się w groźną ciemność i usiłowała zobaczyć, czy brzeg jeszcze się trzyma. Klnąc wściekle otworzył znowu okno i pochylając głowę, aby osłonić twarz przed siekącym deszczem, próbował namacać łomocącą okiennicę.

- Jakim cudem udało ci się przeżyć tyle lat, skoro nie masz nawet tyle rozsądku co twój pies?

- Spot wykazał wspaniałą orientacją - odparła spokojnie Willy, Seter postanowił przeczekać burzę w spiżarni pod stosem chodników. - Po prostu chciałam się przekonać, czy moje umocnienia się trzymają.

- Gdzie są baterijki do latarki?

Willy włożyła dłonie pod pachy, starając się nie dygotać. W pozamykanym dokładnie domu było gorąco i duszno, ale zanim Bain zatrzasnął okno, przemokła do nitki.

- W łazience, druga szufladka od dołu, za mydłem - powiedziała ponuro. - A po co?

Bain zignorował pytanie i wymaszerował z pokoju. Huragan trwał już od wielu godzin i przez cały czas zajęci byli wyżymaniem ręczników z parapetów okiennych i wycieraniem wody, która w jakiś sposób przesączyła się przez gonty dachu. Kiedy wszystko się już skończy, prawdopodobnie trzeba będzie dokonać paru napraw, ale przynajmniej dach wytrzymał. Między kolejnymi rundami wycierania przygotowywali kawę na kuchence gazowej.

Usłyszała spadającą na ziemię kostkę mydła, serię przekleństw i po chwili w drzwiach pojawił się Bain. Odkręcił końcówkę latarki, wyjął stare baterie i włożył nowe.

- Masz kolejny przeciek - mruknął. - Całe szczęście, że nad wanną. Chyba wykorzystaliśmy już wszystkie garnki i wiadra.

Willy zdmuchnęła z wilgotnego czoła kosmyk włosów i westchnęła:

- I nie ma już ani jednego suchego ręcznika w całym domu. Ciekawa jestem co z drugim domem?

- Zrobiliśmy wszystko co możliwe. Nie martw się tym. Augusta już się chyba wyszalała, a my wciąż tu jesteśmy. - Położył latarkę na toalecie i podszedł do Willy. Stanął przed nią i spojrzał przenikliwie.

Uśmiechnęła się słabo i oparła o niego. Poczuła, jak pod wpływem jego męskiej siły

zaczynają ustępować zmęczeniu i zmartwienia. Wydawało się jej, że kąpała się przed wieloma dniami, a przy zabezpieczaniu obu domów pracowali jak woły robocze.

- Bardzo się ucieszę, kiedy znowu włączą elektryczność i będę mogła wziąć prysznic.

- Przecież na zewnątrz marnuje się taki wspaniały natrysk... Złap mydło, a ja się do ciebie przyłączę.

Roześmiała się, wtulając twarz w pachnący słono tors i mruknęła, że to bardzo kusząca propozycja. Była zmęczona. Możliwość stawiania oporu była znikoma, a potężny czar emanujący od Baina zaczynał przenikać ją do szpiku kości, wysyłając drobne impulsy, które coraz bardziej niweczyły jej wolę trzymania się na dystans. Do tej pory mieli zbyt wiele zajęć, żeby myśleć o czymś bardziej osobistym, ale teraz atmosfera nagle wydała się naładowana elektrycznością, atakującą każdy obnażony nerw. Usłyszała jak szepce jej do ucha:

- Nareszcie wiem, czym pachniesz. Doprowadzało mnie to do szaleństwa od pierwszej chwili, kiedy cię spotkałem.

Willy uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Przecież nie używam żadnych perfum. Miałam je kiedyś, ale się skończyły i nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby kupić sobie nowe.

Roześmiał się i ten dźwięk całkowicie zniweczył jej opór.

- To twoje mydło, głuptasie. Używaś dziecięcego mydła. Uświadomiłem to sobie, kiedy grzebałem w szufladzie szukając baterii.

- Nie podoba ci się? - spytała z powagą. Jego oczy pociemniały nagle. - Podejrzewam, że wiesz, jak to na mnie działa... Tak samo jak twój sposób chodzenia... twój dotyk.

- Wiesz - powiedziała nerwowo - wiatr zmienił kierunek. Oko huraganu musiało przejść gdzieś w stronę morza. - Jej głos brzmiał dziwnie głucho w zamkniętym szczelnie domu. Podeszła niespokojnie do okna, które wychodziło na cieśninę.

- Teraz moje umocnienia oberwą. Obserwował ją, mrużąc oczy w mdłym świetle lamp naftowych. Burza na zewnątrz była niczym w porównaniu z szalejącymi w nim żywiołami, ale nawet gdyby miało to go zabić, nie może teraz wykorzystać sytuacji. Teraz, kiedy nerwowe napięcie ich obojga nie pozwalało na trzeźwy osąd...

Nie, nie mógł tego zrobić.

Coś z trzaskiem uderzyło w ścianę domu i Willy odwróciła się w jego stronę.

- Zobacz, co się stało, Bain - zawołała.

- Spokojnie, kochanie. To pewnie ta dolna gałąź sosny... I tak była już uschnięta.

Czując, że zbliża się coś nieuniknionego Bain przytulił Willy do siebie. Ich gorące

wilgotne ciała przywarły do siebie.

- Niszczy mój brzeg, Bain. Wiem to - wtuliła twarz w jego tors i zamknęła oczy.

Bain walczył z pożądaniem, które ogarniało jego ciało. Bardzo pragnął ją pocieszyć, ale jego odporność też miała granice.

- Dobrze, już dobrze. Zbiegnę na dół i sprawdzę, o ile w ogóle można coś zobaczyć. Tyle w końcu może dla niej zrobić. Postara się, żeby przestała się martwić o swoją posiadłość. A kiedy skończy się huragan, wyjedzie stąd jak najszybciej^ Więcej spokoju ducha znalazł w dżunglach Ameryki Środkowej.

Pięć minut później był z powrotem.

- Ten cholerny deszcz nie pozwala nic dostrzec. Woda przesącza się przez podłogę od strony oceanu, ale nie jest słona - spróbowałem. - Strzepnął z włosów krople deszczu i wytarł twarz w leżącą obok koszulę.

- Jak sądzisz, czy mogłabym wyjść na zewnątrz, poświecić na ziemię i sprawdzić, czy nas nie zalewa?

Spojrzał na nią z wyrazem twarzy nią dopuszczającym żadnych dyskusji.

- Jeżeli postawisz nogę za progiem, obedrę cię żywcem ze skóry. Ja też tego nie zrobię. - Ostre rysy jego twarzy wygładziły się nagle. - Kochanie, dopóki huragan się nie uspokoi, nie wyjdę nawet dla ciebie. W taką noc może człowiekowi urwać głowę.

Poddała się, ściągając ze zmartwienia brwi.

- Czy nie powinnam podłożyć jeszcze czegoś pod meble na dole?

Bain pokręcił głową.

- Zrobiliśmy już wszystko. Dywany są na górze, drobiazgi umieściliśmy na łóżkach... A poza tym, nie sędzę, żeby groziła nam powódź. - Chyba że brzeg zarwie się aż do samego domu, dodał w myśli. Jednak było to mało prawdopodobne. W końcu od urwiska dzieliło ich siedem, osiem metrów.

- Jesteśmy tu dość wysoko nad poziomem morza, kochanie.

Willy skrzyżowała ramiona na piersi i wbiła spojrzenie w geometryczny wzór dywanu. To piętro było bezpieczne, chyba że złamie się konar któregoś z gigantycznych dębów rosnących przed domem.

Pozostawało pytanie o jej własne bezpieczeństwo. Barometr podniósł się nieco, w miarę upływu czasu wiatr zaczął trochę słabnąć i burza przestawała być już problemem. Zaczęło jednak rosnać inne napięcie. Willy przełknęła głośno ślinę i spróbowała coś powiedzieć, żeby przerwać denerwującą ciszę.

- Musiał nas minąć od strony morza. Ale przyływ w cieśninie przy wietrze wiejącym

z zachodu i pomocnego zachodu będzie bardzo wysoki.

Przyglądał się jej w dalszym ciągu. Blask dwóch lamp naftowych nie pozwalał odczytać wyrazu jego oczu.

- Jesteś tu bezpieczna. Może stracisz trochę ziemi, ale nie aż tyle, żeby zagroziło to domowi.

Bezpieczna? To śmieszne, nigdy dotąd nie czuła się tak zagrożona.

- Kiedy tylko się to skończy - mruknęła właściwie do siebie - przede wszystkim wpiszę się na listę oczekujących i każę porządnie umocnić brzeg. - Mówiła o brzegu, ale myślała o mężczyźnie obserwującym ją jak rybołów wypatrujący ofiary.

- Czy wytrzymasz to finansowo?

Wzruszyła ramionami. - Oczywiście. Odłożyłam dosyć, żeby wybudować parę domów, no to wybuduję tylko jeden. A potem, jeżeli zechcę, mogę wziąć kredyt budowlany i ciągnąć prace dalej.

Jakie to łatwe. Pokręcił głową i po jego smagłej, szczupłej twarzy przemknął smutny uśmiech. Gdyby znajdowali się w odwrotnej sytuacji.

- Czy przeczytałeś już list? - po chwili milczenia zapytała Willy. - Znalazłam go, gdy składałam torby po zakupach i położyłam na stole.

- Kim jest ta kobieta, pytała w milczeniu. - Co dla ciebie znaczy?

- Wydaje się, że mamy wciąż pewne problemy z korespondencją. Ja znajduję twoje listy, a ty moje.

- Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby gasił swe pragnienie, pieszcząc spojrzeniem jedwab jej policzków, szyję, dołek między obojczykami.

Odepchnął się lekko od kredensu, przeszedł przez pokój i stanął tuż przed nią.

- List był od kobiety, która ma na imię Suzanne - oznajmił. - Mieszkaliśmy wspólnie przez ponad dwa lata. Byłem z nią, kiedy tylko znajdowałem się w Stanach.

Willy poczuła przeszywający ból.

- Przy... przypuszczam, że martwi się o ciebie. Powinieneś być do niej zadzwonić, zanim nie zostało przerwane połączenie telefoniczne.

- Żałuję, że o tym nie pomyślałem. Mam jej parę rzeczy do powiedzenia, ale sądzę, że to może poczekać.

Na twarzy Willy pojawił się wymuszony uśmiech, kiedy podniosła wzrok, by spojrzeć w jego oczy.

- Może upłynąć parę dni, może nawet tydzień, zanim nareperują linie. Szosa pewnie została rozmyta w kilku miejscach. Może nawet będziemy mieli tam jakąś nową zatoczkę.

Niewykluczone, że ugrzęzniesz tu na Bóg wie jak długo. - Próba żartu zakończyła się żałościwie. Zamrugła czując, jak oczy zachodzą jej łzami.

Bain wciąż patrzył na jej długie, piegowate nogi, pochylone ramiona, znajomy, wypłowiały, czerwony stanik. Przez moment zastanawiał się, czy nosi w zimie buty. Boże, czemu zgodził się tu przyjechać na rekonwalescencję? Wyjedzie stąd w o wiele gorszej, formie niż przybył. W końcu odezwał się, robiąc wszystko, by jego głos brzmiał zupełnie neutralnie:

- Posłuchaj, wiatr rzeczywiście osłabł.

Willy wstała gwałtownie, przeszła na drugą stronę pokoju i otworzyła drzwi frontowe. - Chłopcy byliby zachwyceni - mruknęła. Bain podszedł i stanął obok niej.

- A więc Augusta rzeczywiście poleciała dalej. Szybko się uwinęła. - Oddech towarzyszący wypowiedzianym ochrypłym głosem słowom, poruszył kosmyki włosów na karku Willy. Upięła je wysoko, żeby w ten sposób mniej dokuczały jej nieuniknione gorąco i wilgoć.

Dłoń Baina spoczęła na jej ramieniu i Willy poczuła, jak zapiera jej dech w gardle.

- Chyba pójde popatrzeć z drugiej strony - wykrztusiła. - Może w świetle latarki zdołam dojrzeć, co się tam dzieje.

Palce na jej ramieniu zacisnęły się z taką siłą, że aż się skrzywiła.

- Willy... - zaczął.

Nie mogąc złapać oddechu popatrzyła, na jego groźnie zmarszczoną twarz.

- Chodź, Bain, pomóż mi zdjąć okiennice na werandzie.

- Willy, do licha!...

- Bain, już po wszystkim, pozostała tylko sprawa przypiływu. Nie martw się, nie zrobię żadnego głupstwa. Na jej plecach spoczęła druga dłoń Baina i odwróciła ją od otwartych drzwi.

- Popatrz na mnie, do diabła... Nie, nie spuszczaaj głowy. Willy, zniosłem tyle, ile mogłem. Odkryję wszystkie moje karty, a potem mam zamiar kochać się z tobą po raz ostatni. Później wyniosę się stąd, choćbym miał nawet płynąć pieskiem do stałego lądu!

Zaklął gwałtownie, pochylił głowę i pocałował ją w usta tak gwałtownie, jakby chciał stłumić w ten sposób trawiącą jego duszę rozpacz. Zęby zderzyły się z zębami, języki splatały. Przycisnął ją do siebie jak mógł najbliżej i pil z jej podatnych ust, jakby umierał z pragnienia.

Wreszcie uniósł głowę i Willy zadrżała.

- Ja... Sądziłam, że mamy najpierw porozmawiać - wyszeptała.

- Nie oczekuj ode mnie, że będą się rozsądnie zachowywał. Zniszczyłaś każde źdźbło zdrowego rozsądku, jaki miałem przed przyjazdem tutaj.

Poczuła, że jego serce tłucze się przy jej piersi jak wzburzona fala przyływu.

- Zniszczyłam? Powtórzył urywanym szeptem.

- Tak, zniszczyłaś. I dobrze o tym wiesz. Słyszałem, że w dawnych czasach wzdłuż tych brzegów grasowali piraci, ale nie sądziłem, że pierwsza osoba, którą tu spotkam, ukradnie mi duszę i serce”. - Uśmiechał się smutno, z przymusem. - Możesz wziąć i ciało... Do niczego innego się nie nadaje.

Twarz Baina poweselała nieco, gdy poprowadził ją od otwartych drzwi w stronę wygodnej sofy. Usiadł, pociągnął Willy w dół, sadzając na swych kolanach, a potem przechylił ją do tyłu, tak że jej ramiona spoczęły na wypchanych zagłówkach.

- Nie nadaje - powtórzył zdecydowanie i pochylił do przodu, aby pogрузić się w otchłani jej łagodnych, zielonych oczu.

- Kto składa reklamację, ty czy Suzanne? - Zmusiła się, by wypowiedzieć to imię i poczuła dumę, że w jej głosie zupełnie nie słychać było drżenia, które zaczynało ogarniać jej ciało.

Bain nie odpowiedział, tylko sam zadał pytanie:

- Willy, z kim się naprawdę kochasz, kiedy trzymam cię w ramionach? Ze mną czy z Kielem?

Wstrząśnięta, mogła tylko patrzeć na niego bez słowa.

- Odpowiedz mi, Willy, proszę. Chcę to wiedzieć, - Musiał znać odpowiedź, nawet najgorszą.

Zastanawiała się długo. Jej serce zaczęło bić szybciej, a na twarzy pojawił się rumieniec. I wreszcie powiedziała mu prawdę:

- Bain, nie sądzę, bym ubiegłej nocy w ogóle myślała o Kielu. Nie dałeś mi okazji. Przez cały czas byłeś ty. Choć z tobą czułam się inaczej - skończyła z wahaniem.

Pochylił się nad jej twarzą, jakby chciał odczytać z niej prawdę. - Jak inaczej? - zapytał.

Odwróciła wzrok. Kiedy te szare oczy wpijały się w nią, kiedy czuła jego dłonie na swych ramionach, a jego ciepły oddech muskał jej wilgotną skórę, nie mogła zebrać myśli.

Potrząsnął nią.

- W jaki sposób inaczej, Willy? Inaczej, bo po raz pierwszy był to mężczyzna, którego nie kochałaś?

Oczy Willy zaszły mgłą i przełknęła ślinę.

- Tak inaczej, jak może przeżywać to kobieta, kiedy wie... kiedy wie, że może to ostatni raz... Kiedy próbuje zatrzymać wszystko, co czuje, i boi się, że nigdy nie będzie już miała tyle szczęścia.

Znowu odnieśli wrażenie, że słupek rtęci w barometrze opadł gwałtownie, W całkowitej próżni słycać było tylko bicie dwóch serc. Przemogła się, by mówić dalej. Skoro zaczęła, dokończy, a potem spróbuje zapomnieć wszystko. - Po śmierci Kiela ja... po prostu nie przypuszczałam, że mogę znowu się zakochać. To była ostatnia rzecz pod słońcem, jakiej bym chciała. - Popatrzyła na niego oskarżycielskim wzrokiem. - Kiedy miłość sprawia tyle bólu, że chciałoby się umrzeć, ale wciąż obawiasz się, że ból będzie trwał nawet później, nie zaczynasz jej szukać. Po prostu jesteś szczęśliwy, że rany się zabliznyły i możesz przetrwać kolejne dni bez płaczu.

Wyprostował się i odsunął od niej. Położył rękę na oparciu sofy i ukrył w niej twarz. O Boże, dlaczego zaczął tę rozmowę? Dlaczego nie wyniósł się stąd, dopóki miał tę szansę? Willy mówiła dalej, szepcząc cicho:

- A potem, kiedy już się stało, kiedy uświadomiłam sobie, co zrobiłam, chciałam zwinąć się w kłębek i umrzeć. Nie wierzyłam, że wytrzymam to jeszcze raz - miłość i utratę.

Otworzył przesłonięte ramieniem oczy. Czy dobrze słyszał? Miłość? Utrata? Uniósł głowę i popatrzył na Willy - badawczo, obawiając się tego, co może odczytać w jej twarzy. - Miłość? - powtórzył ochryplym, pełnym napięcia głosem.

Skinęła głową.

- I utrata. Ale tym razem nie będzie aż tak źle. Mam już trochę doświadczenia i w końcu będę wiedziała, że wciąż jesteś - gdzieś. Będę wiedziała, że żyjesz i jesteś szczęśliwy.

Bain przyłożył dłoń do czoła i zamknął oczy. Bał się, że obudzi się i przekona, że leży sam w łóżku, że wszystko mu się tylko przyśniło.

- Willy..., Choć może zrobię z siebie kompletnego durnia, to jednak muszę ci to powiedzieć. Przybyłem tu wściekły na cały świat, a na kobiety szczególnie. Miałem wątpliwą przyjemność być odtrąconym przez kobietę, którą jak sądziłem, kochałem. Pojawiła się przed nią perspektywa lepszej pracy i zniknęła jak sen.

- Suzanne?

Skinął głową.

- Suzanne. Mała spryciara. Wie, czego chce, i sięga po to. Podobno oznacza to, że myśli jak mężczyzna, ale szczerze mówiąc, nie uważam tego za komplement - dla żadnej płci.

- Ale ten list? - spytała Willy. Musiała dowiedzieć się, co z Suzanne.

- Jej ostatnie posunięcie - wiceprezesura - nie powiodło się. Wciąż ma swój klucz do

mieszkania i sprowadziła się z powrotem. Chce wiedzieć - dodał z ironicznym skrzywieniem ust - kiedy wracam do domu.

- A kiedy wracasz?

Słowa te jakby zawisły między nimi - sedno sprawy, oko huraganu.

- Nie wracam - oznajmił stanowczo. - Willy, nie mam już domu. Nie jestem zainteresowany powrotem do Suzanne, a moi rodzice żyją w dwupokojowym mieszkanku w domu dla starców w Arizonie. Wprawdzie nie mam pracy, ale nie jestem też pewien, czy chcę otworzyć prywatną praktykę. Znam hiszpański i portugalski wystarczająco dobrze, żeby uczyć tych języków, nie mam jednak odpowiednich świadectw. A więc jak widzisz, moje zasoby razem wzięte nie wystarczyłyby na podatki za twoją posiadłość. - I na tym polega problem.

- Jaki? - Willy mrugnęła, zastanawiając się, gdzie zniknęło dotychczasowe podenerwowanie. Pragnęła, żeby nie był tak daleko od niej. Jej biodra w dalszym ciągu spoczywały na jego udach, ale zdawał się tego nie zauważać, zupełnie jakby była kocykiem do przykrywania kolan.

- Willy, czy ty nie rozumiesz, co mówię? - powiedział ze zniecierpliwieniem. - Jestem praktycznie bez grosza. Mam tyle pieniędzy, żeby utrzymać się przez rok, i to wszystko. Żadnych uprawnień emerytalnych, ubezpieczenia, pensji co miesiąc.

- No to co chcesz zrobić?

W jego uśmiechu pojawił się cień złośliwości. - Chcę zabrać cię do sypialni, nawet gdyby były tam mrówki, rozebrać nas oboje i robić z tobą wszystko co zechcę. Przez całą noc. A możliwe, że również i rano.

Willy poczuła jak spoczywające pod nią ciało budzi się do życia i że ma sucho w ustach.

- Bain, ja... jeżeli ty...

- Willy, czy chciałabyś udzielić schronienia początkującemu literatowi bez grosza, którego jedyna książka zostanie sprzedana tylko w tylu egzemplarzach, ilu pisarz ten ma krewnych? I to pod warunkiem, że jakimś cudem uda mu się ją wydać.

Manipulował palcami przy jej plecach i w chwilę później poczuła, że zapięcie stanika puściło.

- Nie skończyłeś mówić mi o Suzanne - zaprotestowała. - Jeżeli okażesz się doskonałym autorem bestsellerów, pod żadnym pozorem nie mam zamiaru dzielić się tobą z jakąś byłą miłością.

- Nie ma tu nic więcej do dodania, ale lepiej będzie jeżeli zawczasu sporządzimy jakąś

umowę - powiedzmy długoterminowy kontrakt wyłączności.

- Szarpał zamek błyskawiczny jej szortów. Wszystkie myśli o Suzanne zniknęły z jej głowy.

- Trochę mydła i wody powinno pomóc.

- W czym? - Jego palce zatrzymały się i spojrzał na nią pytająco.

- Z zamkiem - udało jej się wykrztusić. Bain wstał unosząc ją w ramionach.

- Czy myślisz o tym samym, co ja? Willy skinęła głową.

- Przyniosę mydło.

Parę chwil później stali pod przefiltrowanym przez sosnowe igły natryskiem spływającym z cyprysowych rynien. - Zawsze wiedziałam, że jeśli będę odwlekać naprawę rynny, wyniknie z tego coś dobrego - oznajmiła zarozumiale, Willy namydlając szerokie, nagie plecy Baina. Zdawało jej się, że jego skóra jest jak jedwab. Stopniowo jej ruchy stały się powolniejsze i dłonie przesunęły się do wgłębień na muskularnych pośladkach mężczyzny. - Kochani twoje ciało - szepnęła.

Bain jęknął cicho, czując, jak resztki jego powściągliwości ulatują w mrok. Odwrócił się i przytulił ją do siebie, przyciskając twarz do jej namydlonego karku.

- Czarownica - mruknął - hurysa, anioł... złodziejka. Boże, uwielbiam cię.

- Naprawdę? - zapytała Willy nie mogąc złapać tchu. Szukała wzrokiem jego oczu widocznych w blasku padającym przez otwarte okno. - Czy naprawdę mnie kochasz, Bain, na dobre, na zawsze, mimo wszystko?

' - Na dobre i na zawsze - potwierdził. - Ciebie i twojego psa, twoje pestki brzoskwiń i nasiona jabłek, domowe mrówki i dzieci, które możemy mieć... A skoro już o tym mowa...

Bain wsunął dłonie pod pośladki Willy i uniośł ją. Jej palce zacisnęły się na mięśniach grzbietu mężczyzny i zaczęły kreślić drobne wzory wzdłuż pleców. Trzymając Willy mocno w pasie, odchylił się, by spojrzeć na nią. Pachnąca cyprysową żywicą woda spływała na jej ramiona, połyskiwała na jasnych półkulach i spływała z małych, sterczących sutek. Bain pochylił głowę i pił wodę z jej piersi.

Jęknęła, gdy poczuła, jak klęka, wciąż obejmując ją w biodrach. Zmiękczonej wodą zarost mężczyzny drapał ją w łono, gdy przycisnął twarz do jej miękkiego, mokrego ciała. Poczowała, jak wirujący płomień zaczyna lizać jej lędźwie.

- Bain, och Bain... - głos Willy zamierał stopniowo, w miarę jak opuszczał ją rozsądek. Mimowolnie rozchyliła uda, przycisnęła głowę Baina do swego ciała, wczepiając palce w gęste, czarne włosy. Poczowała, jak przebiegają przez nią fale oszałamiających wrażeń.

Dłonie mężczyzny gładziły jej uda, objęły jej twarde pośladki. Ze sprawiającą ból

powolnością zaczął przesuwac wargami tam i z powrotem, zatrzymujac się co chwila, aby pieścić, smakowac, drażnić. Palce stóp Willy zagłębiły się w miękkim piasku, z zamkniętymi oczyma i ustami otwartymi w niemym okrzyku rozkoszy oparła się o ścianę domu.

Dłonie Willy na próżno szarpały jego ramiona. - Bain... O Boże, co ty robisz? - wyszeptala.

Niemal przez nieskończoność byla świadkiem, jak cały wszechświat chwieje się i kołysze. Zanim się zatrzymał, Bain wstał, ocierajac się o nią. Gorąco, jakie od niego płynęło, ostro kontrastowalo z chłodem wody spływajacej po plecach. Przytulajac ją mocno do siebie, odetchnął głęboko.

- Nigdy nie będę miał cię dosyć, kochanie... Coś ty ze mną zrobiła?

- To nawet nie połowa tego, co mam zamiar z tobą zrobić - obiecala matowym głosem. Odepchnęła się od ściany. Przesunęła palcami po ciemnej smudze włosów przecinajacej jego tors i zatrzymała tuż przed swoim celem. Czula jak każdy mięsień jego ciała napina się w oczekiwaniu i uśmiechnęła się w ciemność. Słyszac jego niski jęk, pochyliła głowę i schwycila wargami mały, płaski krążek ukryty we włosach na piersi. Poczula, jak drgnął konwulsyjnie.

- Cierpliwości - upomniała go, rozgrzewajac się coraz bardziej. Uklękła przed nim i ukryła twarz w jego twardym, gorącym cieple, obejmujac ramionami uda Baina. Pod jej wrażliwymi palcami poszarpane blizny sprawialy wrażenie goracej satyny. Potem dotknęła ich wargami i powoli zaczęła przesuwac się ku gorze.

- O Boże, Willy, proszę... Zabijasz mnie - wychrypiał. Czula przesuwajace się po nim pełne miłość dotknięcia jej warg. Oddychajac głośno przez otwarte szeroko usta, czepiał się resztek świadomości. Gorące, cudowne pocałunki, chłodna, czysta woda... Wzbierajaca w nim burza wkrótce przyćmiła huragan, który dopiero co przeszedł nad nimi.

Jakiś czas później, kiedy Bain odzyskal wreszcie głos, odezwal się z przejęciem:

- O Boże, kocham cię tak bardzo, że niemal tracę zmysły. Willy, nie będę próbował zajac miejsca Kiela. ale jezeli masz w sercu maleńki kącik dla człowieka, który kocha cię do szaleństwa, powiedz mi o tym.

Willy ujęła jego dłonie i przycisnęła je do swoich piersi.

- Czujesz bicie mego serca, Bain? Jest twoje. Pochylił głowę, żeby ją pocałowac. Napawal się delikatnym zapachem dziecięcego mydła oraz igieł sosnowych, przemieszonym z aromatem jej ciała. Willy obejmowala z całych sił jego ramiona, przyciskajac się do niego. Odszukala dłonią włosy na jego karku i przesunęła po nich palcami. Gwałtowność reakcji Baina oszołomiła ją.

Przygryzł jej dolną wargę w miłosnej torturze i szepnął:

- Powiedziałaś mi kiedyś, że nigdy nie chodzisz, kiedy możesz jechać, i zawsze wolisz pozycję poziomą od pionowej. Powiedz mi, moja słodka Willy, czy przypadkiem nie jesteś trochę zmęczona tym stanem?

Wyślizgnęła się z jego uścisku i podbiegła tanecznym krokiem, rzucając mu przez piegowate ramię zapraszające spojrzenie.

- Zdaje mi się - szepnęła bez tchu - że i w poziomej pozycji trudno będzie przy tobie wypocząć.